

B-486

OŁEŚ BERDNYK



PUCHAR AMRITY



Oleś Berdnyk

Puchar Amrity

Powieść fantastyczna

Przełożył z ukraińskiego Adam Galis

Instytut Wydawniczy · Pax · 1971

Tytuł oryginału
ЧАША АМПИТ

Okładkę projektowała
Zuzanna Lipińska

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX”, WARSZAWA 1971

Wydanie I. Nakład 3000+350 egz. Ark. wyd. 13,1; ark. druk. 15. Papier rotogr. kl. V, 65 g, 84×108 z fabryki papieru w Skolwinie. Oddano do składania w marcu 1971 r. Podpisano do druku i druk ukończono w czerwcu 1971 r. Zam. nr 588/A/71. U-100.

Printed in Poland by
ŁÓDZKA DRUKARNIA DZIEŁOWA
Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45

Cena zł 22.—

Wielki jest ocean — lecz nawet
dziecko, jeśli zechce, zaczerpnie
zeń wody.

Z aforyzmów wschodnich

Pamiętaj, skoro zamykasz drzwi
przed błędami, że i prawda nie
będzie mogła wejść do twego domu

Rabindranath Tagore

Zamiast prologu — maja

Samochód podskakiwał na wybojach drogi. Z wyciem wspinał się na stromiznę. Potem zjeżdżał w dół. Mychajło poczuł, że się dusi — nie starczało tchu. Duszna skrzynia nadwozia wypełniona jeńcami przesiąkła wyziewami dziesiątków ciał. Ani się ruszyć, ani schwytać odrobiny świeżego powietrza. Dokąd ich wiozą? Nikt nie wie. Trzeba wytrzymać, nie zemdleć...

Wóz zakoleysał się mocno kilka razy i stanął. Rozległy się głośne rozkazy, wściekle ujadanie psów. Drzwiczki otwarły się na oścież. Fala chłodnego wonnego powietrza wtargnęła do wnętrza wozu, do płuc osłabionych jeńców, odurzyła ich.

Mychajło usiłował się podnieść. Zachwiał się, upadł głową w dół, uderzając mocno o kamienisty grunt. Obok rozległ się śmiech. Potem ktoś krzyknął:

— Wyłazić! Prędko! Schnell! Schnell!

Jeńcy zaczęli wyskakiwać z wozu, rozglądając się dookoła. Ktoś pomógł Mychajle podnieść się z ziemi, ktoś wytarł mu krew na skroni. Mychajło zwilżył językiem suche wargi, rozejrzał się. Wysokie góry przesłaniały horyzont, pokryte lodem wierzchołki sięgały pod niebo. To pewnie Alpy — pomyślał.

Jeńców otoczyli strażnicy w czarnych mundurach, z automatami w ręku. U ich nóg ogromne psy szczyrzyły zęby i nerwowo tłukły kosmatymi ogonami o ziemię.

Dwaj Niemcy w szarych mundurach bez naramienników zaczęli wyjmować kajdanki ze skrzyni i skuwać jeńcom ręce. Para kajdanków — na trzech żołnierzy. Mychajło Sahajdak znalazł się w pierwszej trójce, jako skrajny z lewej strony. Do jego prawej ręki przykuto żołnierza brytyjskiego w bladezielonym poszarpanym mundurze. Mychajło spojrział z ukosa i zdziwił się. Jeniec miał na głowie zielony turban, surową śniadą twarz okalała czarna

bródka. Chyba z korpusu kolonialnego. Pewnie Hindus. A trzeci na prawo to Amerykanin. Sądząc z odznak — lotnik.

Do kolumny zbliżył się oficer-esesman. Założywszy ręce za plecy, mierzył każdego jeńca uważnym, rzeczowym spojrzeniem od stóp do głów. Mychajło nie spuścił oczu. Poczł nagle przypływ rozdrażnienia i gniewu. Dlaczego, dlaczego znalazł się tutaj, z tymi chłopcami? Jakim prawem ten bydlak z oczami żmii ogląda ich jak owce na targu?

Oficer poszedł dalej. Hindus popatrzył na Mychajłę, uśmiechnął się lekko, jakby rozumiejąc jego stan wewnętrzny. Amerykanin przyglądał się szczytom gór, nachmurzywszy gęste czarne brwi.

Rozległa się przeciągła komenda. Psy zaszczekały. Kolumna ruszyła górską drogą wiodącą nad głęboką przepaścią, na której dnie szalał zielonkawy pienisty potok. Zza wysokich parkanów wyglądały zaciekawione twarze, gdzieś zapiwały koguty. Słońce podniosło się wysoko, z gór płynął zapach choin.

Hindus głęboko westchnął i zwracając się do Mychajły zapytał cicho po angielsku:

— Nie wiesz, gdzie jesteśmy? Cudowne miejsce! Jak w Himalajach...

Mychajło szukał w myśli słów (niezle rozumiał język angielski, ale nie nauczył się go). Odparł szeptem:

— Nie wiem dokładnie. Albo na południu Niemiec, albo w Austrii...

— Austria — rozległ się za nim ochrypły głos sąsiada-jeńca. — To Austria. Ja wiem...

— Dziękuję — rzekł Mychajło, nie odwracając się. — Ja też tak sądziłem. Tylko po co nas tutaj przywieźli — nie rozumiem...

— Nie jesteś spostrzegawczy — uśmiechnął się Hindus.

— Dlaczego?

— Przywieziono nas do ciężkiej pracy. Popatrz: wszyscy jeńcy są zdrowi, silni. Ani jednego chorego lub słabego. Jasne, że nie na stracenie...

— Masz rację. — Mychajło odetchnął z ulgą. — Tym lepiej. Jest jakaś nadzieja...

— Poczekaj miesiąc lub dwa — odezwał się cicho jeniec za nim. — Niemcy umieją zabijać nadzieję...

Nadal otoczeni strażą przeszli przez wąski mostek przerucony nad wąwozem i zbliżyli się do bramy niewielkiego obozu. Za drutami kolczastymi widać było rzędy niskich szarych baraków, po bokach wznosiły się cztery wieże wartownicze, na długich linkach biegały wokół ogrodzenia psy. Na widok kolumny zaczęły szarpać się na uwięzi, zachłystując się wściekłym ujadaniem.

Brama otworzyła się jak złowroga paszcza, połykając szeregi jeńców jeden za drugim.

Sahajdak dosłyszał kilka zdań:

— Dobrze było...

— Podziękować szefowi... Praca pilna, a stare szkapę wyzdychały...

— Zrozumiałeś? — zapytał Hindus, ledwie poruszając wargami.

Mychajło skinął głową. Amerykanin milczał. W jego oczach zabłysł gniew. Tymczasem konwojenci podeszli do jeńców i zaczęli zdejmować kajdanki. Mychajło westchnął z ulgą, rozcierając purpurowe pręgi na rękach.

Ustawiono ich w dwa rzędy. Jeden z oficerów — wysoki, chudy, o obojętnym, zimnym spojrzeniu — wystąpił do przodu i wygłosił krótkie przemówienie. Dwaj żołnierze powtórzyli jego apel po angielsku, rosyjsku, polsku i francusku.

— Jeńcy — powiedział oficer. — Nazywam się major von Gieren, jestem komendantem tego obozu. Każde moje słowo jest dla was prawem. Za nieposłuszeństwo — śmierć. Na życie i wolność po skończeniu wojny możecie zasłużyć tylko wydajną pracą dla wielkiego Reichu i naszego Führera. W każdym baraku są starostowie. Oni wytłumaczą wam resztę. Skończyłem!

Sahajdak wraz z pierwszymi czterema trójkami jeńców trafił do siódmego baraku. Starostą był tam gruby, krępy Ukrainiec o chytrych wesołych oczach. Nazywał się Hryćko Bojak. Ucieszył się bardzo, dowiedziawszy się, że Mychajło jest jego rodakiem, i dał jemu oraz Hindusowi i Amerykaninowi miejsce przy oknie, na górnych pryczach. Amerykanin wlaź tam od razu, wyciągnął się wygodnie, aż mu stawy zatrzęszczały. Starosta pokiwał głową.

— Sojusznik lubi widocznie wylegiwać się. Tu długo się nie leży. Od wczesnego ranka galop, cały dzień jak w piekle. Ludzie umierają jak muchy. Przywożą zdrowych, a wywożą w rogoży. Ot, tak, ziomku. No, nie martw się, połóż się, odpocznij. Wkrótce przyniosą zupę na kolację.

Starosta podszedł do Mychajły i szepnął błagalnym głosem:

— Co tam słyhać?

— Gdzie?

— U nas. Ty kiedy wpadłeś? Dawno?

— Na wiosnę. Przed półtora miesiącem. Na Kaukazie...

— Boże — jęknął Bojak — to Niemczura tak daleko załazł. To nie ma na niego rady? To koniec z nami?

— Początek — powiedział spokojnie Hindus nawlekając igłę. Zdjął koszulę i zaczął cerować dziurę na plecach. Nie podnosząc oczu, powtórzył surowo: — Początek...

— A ty kto? — zdziwił się Bojak. — Jakiś nie nasz. I nie z wojsk sprzymierzonych. Takich jeszcze nie widziałem.

— Indie — powiedział Hindus.

— Z daleka — westchnął Bojak. — A skąd wiesz, co i jak? Po prostu — uspokajasz?

— Nie. Znam dobrze historię...

— Bodajbyś — szepnął Bojak rozglądając się wokoło. — Bodajś powiedział prawdę, dziwny człowieku! Przez twoje usta przemawia Bóg!...

— Może i tak — odpowiedział cicho Hindus, przegrzając nitkę. — Jesteśmy wszyscy Jego dziećmi...

— Jesteś wierzący?

— Wszyscy są wierzący — uśmiechnął się Hindus. — Nie ma niewierzących. Jedni wierzą w Boga, inni w szatana, inni znów w okrutną przemoc, jeszcze inni — w człowieka, w miłość...

— Dobrze mówisz — rzekł Bojak, drapiąc się w kark. — Mądry jesteś, choć jeszcze młody. A skąd umiesz mówić po naszymu?

— Nauczyłem się. Znam przeszło dwadzieścia języków...

— O-o-o! — powiedział starosta z szacunkiem. — Masz głowę. No, urządzajcie się. Zaraz przyniesiemy sienniki, a potem — kolacja. I spać! Bo jutro na katorgę...

Starosta ruszył szybko w głąb baraku. Przy narach

krzatali się jeńcy, układali sienniki. Rozlegał się różnorodny gwar. Niektórzy znużeni ciężką drogą, od razu padali na łóżka i zasypiali. Hindus dotknął palcami ramienia Mychajły i rzekł przyjaźnie:

— Poznajmy się, bracie...

— Chętnie... Nazywam się Mychajło Sahajdak. A ty?

— Harry Fitzgerald Thawn — odezwał się nieoczekiwanie Amerykanin z nar.

— Swami Rishideva — powiedział Hindus. — Indie...

— Że jesteś z Indii, widać od razu — powiedział życzliwym głosem Thawn. — A ty kto, Rosjanin?

— Ukraińiec.

— Ukraina — westchnął Hindus, spoglądając przychylnie na Sahajdaka wielkimi czarnymi oczami. — Bodhisatwa Taras... Czytałem kiedyś...

— A gdzie ta Ukraina? — zaciekał się Amerykanin. — Czyba na Syberii?

— W Europie — roześmiał się Mychajło. — Słabo znasz geografie, kolego. A przecież jesteś lotnikiem!

— Więc co z tego? — Harry wzruszył ramionami. — Przed każdym lotem dają mi mapę...

— To nie wystarczy — powiedział Mychajło. — Powinno się znać ziemię, na której się mieszka...

— A ty znasz Amerykę?

— Coś niecoś o niej wiem. Znam wiersze waszego Whitmana. Ty pewno nie znasz naszego Tarasa. A przecież pisał o waszym bohaterze narodowym:

O plemię próżne i przekłete,
kiedy zdechniesz wreszcie, kiedy
Washingtona się doczekamy
z nowym, sprawiedliwym prawem?
Lecz doczekamy się jednak...

Rishideva przetłumaczył te słowa na angielski. Harry skinął energicznie głową, w jego niebieskich oczach zabłysnął wyraz uznania.

— All right! Znakomicie! Naród, który ma takiego poetę, jest wielkim narodem. Żałuję, że nie wiedziałem przedtem. Dla nas wy wszyscy jesteście Rosjanami.

— Kiedyś tak było. Lecz dziś stanowimy braterski związek ludów — odparł z dumą Sahajdak. — W naszym państwie żyją zgodnie setki narodów i narodowości...

— Propaganda! — mruknął Harry ze sceptycznym grymasem. — Nie lubię gadulstwa. Wszędzie na świecie jest tak samo...

— Właśnie, że nie! — wybuchnął Sahajdak. — U nas jest inaczej!

— Słyszałem kiedyś takie przysłowie słowiańskie... Jak ono brzmiało... Aha, przypomniałem sobie! Każdy lis...e...lis...

— Wiem — roześmiał się Sahajdak. — Każda lizka swój ogonek chwali. Niech będzie. Może. A jednak nie ma na świecie kraju, w którym ludzie żyliby tak zgodnie...

— To prawda — odezwał się poważnie Hindus, ściskając rękę Mychajły. — Od dawna obserwuję was. Nauczyłem się wielu waszych języków, poznałem tradycje, historię. Wydaje mi się, że wasze narody mają szczególną misję historyczną. Jeszcze nie wszystko jest jasne... wiele jest ciemności... ale inicjatywa jest imponująca. Na przykład teraz — kto mógłby tak dzielnie walczyć przeciw hordom zła?

— Masz rację, Rishidevo — skinął głową Harry. — Nie da się zaprzeczyć...

Zamyślili się, zamilkli.

Harry, kładąc ręce pod głowę, wyciągnął się na wznak i mruknął:

— Zdrzemnę się, zanim przyniosą jedzenie. Zmęczyłem się bardzo.

Mychajło zamknął oczy. Gdzie jest? Co się z nim dzieje? Czy mu się nie śni, czy nie przywidziało mu się?

Całkiem niedawno — szkoła, piosenki na wygonie, piękne bajki babci, zabawy wśród burzanów, warczące traktory na rozległych polach, porywające doświadczenia na lekcjach fizyki... i gwiazdy, cudowne niebiańskie ogniki w szklach teleskopu. Marzenia, czarujące marzenia o przyszłości. Złamane, splugawione. Na zawsze...

Ręki Mychajły dotknęła ciepła dłoń. Zbudził się z zadumy.

Ciemne, głębokie oczy Hindusa spoglądały nań szczerze i smutno. Swami ogarnął spojrzeniem wysokie blade czoło, zmierzwił jasnoblonde kędziory, spierzchnięte wargi, żałosne zmarszczki wokół ciemnoszarych oczu.

— Prawo życia — powiedział. — Połączenie ciemności i jasności. Jak można inaczej nas doświadczyć?

— O czym mówisz? — zdziwił się Sahajdak. — Przecież milczałem.

— Ale myślałeś — rzekł Rishideva, uśmiechając się łagodnie. — Twoja twarz jest otwartą księgą. Przeczytałem twoje myśli. Dlatego uspokoję cię. Żołnierz nie boi się bitwy...

— I ja nie boję się bitwy — odparł chmurnie Mychajło. — Niech będzie walka. Niech świszczą kule. Niech będzie walka wręcz, oko w oko... Ale tak, w niewoli...

— Najstraszniejsza bitwa w milczeniu — rzekł surowo Hindus.

— Nie rozumiem.

— Kiedyś pojdziesz. Przypomnij sobie życie wielkich ludzi. No, chociażby waszego bodhisatwy Tarasa. Jego największy bój toczył się na pustyni, kiedy pozostał sam, wśród wrogów. Czytałem jego dziennik i krew zalewała mi serce...

— Dziwny jesteś, Swami — powiedział z podziwem Mychajło. — Pochodzisz z daleka, a znasz naszych bohaterów lepiej niż my...

— Oni nie są tylko wasi — sprzeciwił się Hindus. — Należą do ludzkości.

— Może masz rację. On kochał wszystkich ludzi bez względu na pochodzenie. Byleby mieli otwarte serce. Ale dlaczego nazywasz go bodhisatwą? Jakieś dziwne słowo!

— Oświecony mądrością. Człowiek, który żyje nie dla siebie, lecz dla świata. Bodhisatwowie różnych narodów tworzą naszą świadomość. Oni są naszymi matkami. Tak mówi starożytna mądrość...

— Może i tak — powiedział zamyślony Mychajło. — Nie wiem, nie czytałem, nie słyszałem. Dopiero co ukończyłem szkołę. Ty też nie jesteś starszy ode mnie, a wiesz tak dużo!

— Mam cudownego guru — odparł łagodnie Swami. — To jego zasługa.

— Kto to jest guru?

— Po waszemu — nauczyciel. Tylko nie zwykły nauczyciel, lecz serdeczny. Takiego nauczyciela nikt nie może zastąpić. On jest na zawsze. Tylko bodhisatwa może być takim guru...

— Zrozumiałem cię — podchwycił gorąco Mychajło, trzymając w ręku smukłe palce Swamiego. — Guru może

być tylko ten, kto oddaje się bez reszty swoim przyjaciołom. Jak nasz Kobziarz!

— Tak — zgodził się Rishideva. — Każdy naród ma świętych guru. W Ameryce — Whitman, Washington, w Rosji — Tołstoj, Lenin, we Francji — Joanna d'Arc, w Indiach — Budda, Ramakrishna, Gandhi. Tylko nie wszyscy to rozumieją i szukają fałszywych skarbów na obczyźnie...

— Swami, przyjacielu — rzekł błagalnie Mychajło. — Opowiedz mi o tym wszystkim. Proszę cię...

— Oczywiście — uśmiechnął się Swami. — Chętnie...

Z góry rozległ się głos Harry'ego:

— Hej, chłopcy! Przebudziliście mnie. A śniło mi się morze — błękitne i ciche. I domek na brzegu. Palmy, plaża. I dziewczyna jak marzenie, niebieskie oczy, długie jasne włosy, nogi jak z marmuru, smukłe... no, i wszystko inne... Do diabła! Tak omamić człowieka! Obudziłem się — barak, niewola!

— Hindusi nazywają to maja — powiedział sceptycznie Swami.

— Co to jest maja? — zapytał Sahajdak.

— Iluzja, mara. Bardzo głęboka myśl. To nie jest przywidzenie czy halucynacja... Jak by ci to powiedzieć... Może tak dla przykładu: Jakiś milioner zdobył wielkie bogactwa, ma stopy złota, obmyśla sobie teraz i marzy o tym, jak się będzie bawić i używać życia. Nagle — atak sercowy, zawał, śmierć. Właśnie te marzenia, wysiłki, plany — to maja!

— Co wobec tego nie jest mają? — zapytał Sahajdak.

— Bracia, łapcie sienniki! — wrzasnął nagle Bojak. — Szukujcie, co kto ma, miski, puszki. Zupę niosą!

Rzucił na prycze trzy zwinięte sienniki. Amerykanin zaczął przygotowywać legowisko. Hindus wdrapał się na górę, by mu pomóc. Potem przycupnął na brzegu nar, zwieszając nogi. Patrząc z tej wysokości na zamyślonego Mychajłę, podrapał się po gęstej czarnej brodzie i parsknął śmiechem.

— Filozofia wschodnia jest zdania, że wszystko w świecie materialnym jest mają. Co się urodziło, musi zniknąć. Świat form nie jest realny. Tylko jedno nie jest mają: nasz nieśmiertelny duch Atman.

— Przesady — odpowiedział Sahajdak lekceważąco. —

Jesteś mądrym, wykształconym człowiekiem, a wierzysz w jakiegoś Atmana...

— Wcale nie wierzę. — Swami uśmiechnął się. — Wiem.

— Bujasz — odezwał się Harry. W jego niebieskich oczach zabłyśły figlarne iskierki. — Chcesz sobie z nas zakpić. Ja, bracie, też nie wierzę w Boga. Ani w nieśmiertelność duszy. Chociaż... chyba jednak kłamię! Bo kiedy wsiadam do samolotu i wzbijam się pod niebo — wówczas wierzę w Boga. I modłę się! Ale po wylądowaniu — znów nie wierzę!

— To nie jest wiara, to są po prostu tkwiące w tobie resztki tradycji — powiedział Hindus.

— Prawda. Jakże by inaczej. Wierzyć naprawdę? Nie ma w co. W ukrzyżowanego Boga? Jakież to Bóg, kiedy Go ludzie ukrzyżowali? Przecież lepszy jest karzący, z błyskawicą w ręku, jak Zeus!

— Nie mówię o Bogu stworzonym przez wyobraźnię człowieka — odrzekł ironicznie Swami. — Atman to nasza nieśmiertelna istota, która przeżywa fizyczne ciało...

— Jakaż jest ta istota? Do czego jest podobna?

— Atman jest poza światem zjawisk. Nie jest podobny do niczego. Jest wodą w oceanie. A nasz świat to fale na powierzchni oceanu, piana na grzebieniach fal...

— Dziwne rzeczy mówisz — powiedział zamyślony Mychajło. — Nie czytałem nigdy nic podobnego. Ale uwierzyć, że po nas coś zostaje... Nie, to nieprawda...

— Może coś zostaje — rzekł pojednawczo Amerykanin, drapiąc się w kark. — Jakaś siła, energia. Tylko że nieświadoma...

W baraku zaszumiało. Wniesiono wielki ceber z kolacją. Mychajło wziął miski swych towarzyszy, stanął w kolejce. Wesoły, ruchliwy jeniec we francuskim mundurze nalał mu trzy porcje ciepłej lury, dał trzy kawałki gliniastego czarnego chleba. Sahajdak wrócił, postawił jadło na narach, wlaź na górę. Hindus spojrział na zupełnym krytycznym okiem, wziął swoją porcję i podzielił na pół — między Mychajłę i Harry'ego. Sahajdak zaprotestował:

— Dlaczego to robisz? Co będziesz jadł?

— Wystarczy mi chleb.

— Jak to? Przecież odwalisz kite!

— Co to znaczy: „odwalisz kitę”? — zaciekał się Swami.

— To takie powiedzonko. Oznacza: umrzesz, zginiesz...

— Aha! Nie martw się o mnie, nie umrę. Kiedy studiowałem jogę, nie jadałem czterdzieści, sześćdziesiąt dni...

Mychajło odgryzł kęs chleba, żuł pracowicie, siorbiąc ciepłą, mdłą ciec.

— Sześćdziesiąt dni! Ho-ho! Aleś się zagalopował. Żaden człowiek nie wytrzyma tak długo.

— Wytrzyma — zapewnił go Hindus. — A gdyby nie wykonywał żadnego wysiłku fizycznego, mógłby wytrzymać jeszcze dłużej. Więc nie obawiaj się o mnie. Pożyję jeszcze ze trzydzieści lat.

— Nikt nie może znać własnej przyszłości — powiedział Mychajło. — To jest jakiś mistycyzm...

— Ale mój guru zna — oświadczył Rishideva. — To on mi przepowiedział moją przyszłość.

— A o mnie co powiesz? — zapytał Harry ze sceptycznym uśmiechem. — Ile jeszcze będę żyć?

— Nie wiem — westchnął Swami. — Ale mogę o to zapytać mojego guru...

— To znaczy, że musimy poczekać na odpowiedź, aż się wojna skończy? — rzekł Mychajło z rozczarowaniem. — Może już jutro zdechniemy!

— Nie musicie czekać — powiedział Swami. — Zapytam go zaraz...

Hindus zapatrzył się w skupieniu w przestrzeń. Rysy twarzy wyostrzyły mu się, otworzył lekko usta. Na obliczu zatlił się ciepły uśmiech, jakby ujrzał kogoś drogiego, upragnionego. Mychajło i Harry spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Dziwny, niepojęty jest ten ich nowy towarzysz. Ale coś ich ostrzegało w duchu: nie drwijcie sobie z niego.

W milczeniu spożyli posiłek. Tymczasem Swami ocknął się i spojrzał na Mychajłę.

— Przeżyjesz wojnę — powiedział szeptem. — Harry również. Tylko tyle może powiedzieć mój guru. Nie trzeba wdawać się w szczegóły. Byłoby to wtrącaniem się do karmana. Do losu, jak wy powiadacie...

Mychajło niedowierzająco spoglądał na Hindusa. Nie wiedział, jak potraktować jego słowa: rozgniewać się czy roześmiać.

— Gdzież jest twój guru? Skąd nas zna? Przecież my go nie znamy...

— Jest tu, blisko — odrzekł poważnie Swami. — Wi-
dzi nas. Przed chwilą rozmawiałem z nim.

— Bodaj cię! — zaśmiał się Mychajło. — Ale z ciebie
zartowniś! Choć i to dobre, z tobą będzie nam różnie!

Harry klepnął Hindusa po plecach.

— Wy, Hindusi, jesteście mistrzami we wszelkim czar-
noksięstwie. Zresztą, może mówisz prawdę? Jeśli tak,
jeżeli przeżyję tę wojnę, odnajdę cię w twoich Himalajach
i pokłonię się nisko!

— Nie zapominaj o tej obietnicy — rzekł poważnie
Rishideva. — Nigdy nie rzucaj słów na wiatr...

Po kolacji Sahajdak pobiegł do kibla, potem do baku
z wodą, wymył naczynia. Powróciwszy wyjrzał przez
okno. Nad górami osiadał zmierzch, w baraku zrobiło się
ciemno.

Nagle do baraku wszedł oficer w asyście dwóch żoł-
nierzy.

— Kontrola! — krzyknął Bojak. — Złazić z pryc!

Jeńcy zerwali się na nogi, ustawili się szybko w dwu-
szeregu. Żołnierze, tupiąc buciorami, liczyli, tykając pal-
cem każdego jeńca.

— Einundzwanzig, zweiundzwanzig, dreiundzwanzig —
słysząc było monotonne głosy.

— Czy to też jest maja? — zapytał z goryczą Mychaj-
ło, kiedy Niemcy opuścili barak.

— Tak, to maja — potwierdził Swami. — Iluzja wła-
dzy. Utracą ją bardzo szybko.

— Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje! — westchnął
Mychajło.

— Piękne przysłowie — pochwalił Hindus. — Nie pod-
stawiaj oczu pod rosę...

— Spać! — wrzasnęła Bojak. — Spać, bracia! Jutro
rano do pracy!

Barak ożywił się, rozbrzmiał głosami. Jeńcy zaczęli ukła-
dać się na narach. Mychajło położył się również. Odwi-
nął owijacze, zsuł buty. Z ulgą wyprostował otarte palce.

W pomieszczeniu zapłonęły ciemne lampki. Gwar cich-
nął.

Harry odwrócił się do sąsiadów i wyszeptał:

— Nie chce mi się spać. Wiecie co, poznamy się...

— Przecież już się znamy — zdziwił się Mychajło.

— Znać czyjeś imię wcale nie oznacza znajomości — sprzeciwił się Amerykanin. — Chciałoby się wiedzieć coś o przyjacielu. Wiecie, dlaczego?

— Dlaczego? — zainteresował się Sahajdak.

— Świat dzieli się na dwie części. Światło, mrok. To jest jasne. My wszyscy jesteśmy za ludzkością, za życiem, za miłością. Tamci to wandale. Ale i my jesteśmy różni. Więc co nas łączy? To chciałoby się wiedzieć.

— Mądre życzenie — zgodził się Hindus. — Popieram. Mychajło, jesteś najmłodszy — zaczynaj...

— Nie damy ludziom spać. Będą krzyczeć...

— To rozmawiajmy szeptem.

— Przecież Harry nic nie zrozumie... Za słabo znam angielski.

— Będę mu szybko tłumaczyć... Zaczynaj, Mychajło, mów... Chciałbym wiedzieć wszystko o tobie. Książki to jedno, ale żywa psychika — to coś całkiem innego. Chcę wiedzieć jak najwięcej o was, nowych ludziach...

— Jaki ja tam „nowy” — westchnął Mychajło. — Jestem zwykłym chłopcem. Takich są miliony.

— Wy sami jeszcze nie znacie siebie — zapewnił go Swami. — I to dobrze. Pachnąca róża nie uświadamia sobie swej urody. Mów, opowiadaj...

Gdzieś za ścianami okrzykiwały się warty, potężny promień reflektora obmacywał pusty plac obozowy, niekiedy wdierał się do wnętrza baraku, oświetlając martwym światłem rzędy jeńców. Słysząc było postękiwania, ktoś gadał przez sen. Dziwne, upiorne, niewiarygodne. Jak wydostać się z tej ponurej rzeczywistości? Jak wrócić do dalekiego świata dzieciństwa?

Mychajło przysunął się do ściany i oparł na łokciu. Swami i Harry zbliżyli się do niego. Sahajdak mówił urywkami, głucho, jakby wrywając z przeszłości słowa wspomnień. Hindus natychmiast przekazywał cichym głosem treść jego opowieści:

— Dniepr... Przyjaciele, jak przekazać wam jego piękno? To niemożliwe... Spokojny prąd, przestwór, białośnieżne, żółte, jasnożółte piaski, cudowne łąki porośnięte trawą i kwiatami... Lubiłem na bosaka biegać między kwiatami, lubiłem leżeć w gęstej trawie i patrzeć w nie-

bo. A potem kąpać się w przezroczystej żółtawej wodzie, łowić okonie wśród splecionej łozy i płynąć przez silne wiry, z lękiem i dumą, czując pod sobą zachłanną głębieć...

A las... Nasze lasy są osobliwe... Przejrzyste, czyste, wypełnione soczystą wonią sosen... Lubiłem zbierać grzyby, poziomki. Na wiosnę lubiłem słuchać śpiewu ptaków. Kiedy byłem mały, matka zabierała mnie ze sobą do lasu, siadała na jakimś pniu i trwała tak w milczeniu całymi godzinami. Nie dziwiłem się temu, bo też odczuwałem niezwykły urok starego lasu. Dziś, wspominając owe dawne czasy, myślę, że odwiedziny w lesie były czymś niezwykłym, podobnym do modlitwy czy...

— Tak, tak — szepnęła Hindus. — Pięknie mówisz, Mychajło. Mów dalej.

— Lubiłem także chodzić za pługiem. W pobliżu wielkie, silne traktory ciągnęły za sobą potężne kombajny, ostry lemiesz gorliwie odwracał skiby sytej ziemi, która parując pod wiosennym słońcem, wydawała jakąś podniecającą woń... Takie dni wiosenne zawsze były pełne niemal magicznego uroku... Kawka nad polem, wysoko pod niebem skowronek wywodzący trele aż do kresu sił, świeże pędy na drzewach, rozkwitające pąki, smutne wezwania brzmiące w klangorze żurawi... Ale dość już o tym... Tyle jest tych wspomnień, trudno wszystkie opowiedzieć. Zresztą was na pewno interesowałoby raczej coś konkretniejszego...

— Wcale nie — powiedział Amerykanin. — To było bardzo ciekawe. Masz duszę poety. Z ciebie byłby niezły farmer.

— Właśnie te wspomnienia są najważniejsze — dodał Hindus. W głębi jego czarnych oczu zabłysło uznanie. — Wszystko inne jest tylko powierzchowną formą. Słuchamy cię, Mychajło...

— Potem poszedłem do szkoły. Nowe idee zaczęły docierać do mojego umysłu. Nauczyłem się rewolucyjnych pieśni, dowiedziałem się o bohaterach, którzy nie szczędzili życia w imię lepszej przyszłości. Nie wyobrażacie sobie, jaki to ma wpływ na umysł dziecka, na duszę młodego człowieka! Potem, w późniejszym czasie, kiedy napotykałem w życiu wiele zjawisk ujemnych, obcych,

odpychających, nie rozczarowałem się mimo wszystko do tych idei...

— Bo do szlachetnych ideałów nie można się rozczarować — roześmiał się Hindus. — Nikt i nic nie jest w stanie splamić ideału. Wręcz przeciwnie, według mnie wypaczenie ideału powinno prowadzić do walki o jego ziszczenie... Wy, wasz kraj, realizujecie wielką sprawę — wszczepiacie dzieciom najwyższe ideały ludzkości...

— Przesadzasz, Swami — wtrącił ironicznie Harry. — Idealizujesz. U nich również znajdziesz beżładu co nie-miara!

— W czynach — zaoponował Hindus. — Ale nie w idei. Idea to ziarno. A w ziarnie tkwi przyszła roślina. Wi-cher beżładu przeminie, jeśli nie dziś, to w przyszłości. A ziarno nowego świata wyda swój owoc...

— Poezja — westchnął Harry. — Choć jest pewien sens w tym, co powiedziałaś... Bo jednak w naszych szkołach nie głosi się idei powszechnego braterstwa...

— Właśnie... Mów dalej, Mychajło...

— Od najmłodszych lat interesowałem się astronomią. Gwiazdzone niebo wzruszało mnie, pociągało, niepokoilo swą odwieczną tajemnicą. Już w trzeciej, czwartej kla-sie zabrałem się do czytania wszystkiego, co udało mi się znaleźć o pochodzeniu życia na ziemi, o dalekich plane-tach, przyszłych lotach do innych światów. Szczególnie przypadł mi do serca Ciołkowski, który głęboko wierzył w przyszłe loty kosmiczne...

— To wielki bodhisatwa — powiedział Hindus. — Czy-tałem o nim. To człowiek przyszłości...

— Nie wiem, kim jest — rzekł zamyślony Mychajło. — Jednak jego przykład jest zdumiewający. Samouk, głu-chy, bez środków do życia, bez przyjaciół, sięga w sa-motności myślą w niezmierzone głębie. Nie tylko snuje marzenia, lecz działa, buduje modele, dokonuje obliczeń. Kochałem się również w literaturze fantastycznej. Jules Verne, Wells, nasz pisarz Bielajew. Stare, zatłuszczone książki Francuza Kamila Flammariona o kosmogonii...

— Wiem — Harry kiwnął głową. — Znakomity po-pularyzator.

— Oni właśnie pomogli mi rozszerzyć horyzonty umy-słowe, wybrać drogę. Postanowiłem nieodwołalnie zostać astronomem lub astrofizykiem. Prócz zwykłego, powszed-

niego życia istnieje jeszcze nieskończoność i trzeba do niej torować szlaki...

— Cudownie — odezwał się Hindus. — Dobrze powiedziałeś. Zwrócę ci tylko uwagę, że „zwykłe życie” jest również pełne tajemnic. W każdym człowieku tkwi nieskończoność...

— Nie myślałem o tym — rzekł Mychajło. — Zbyt mało jeszcze wiem. Prawdę powiedziawszy, nie jestem jeszcze całkowicie ukształtowany...

— Samokrytyka — Harry błysnął zuchwale niebieskimi oczami. — Taki macie zwyczaj?

— Dobra cecha — przeciwstawił mu się Hindus. — On mówi prawdę. Kształtujemy siebie nieustannie, nawet w podeszłym wieku. A ty... ile masz lat, Mychajło?

— Dwadzieścia... W czterdziestym pierwszym ukończyłem szkołę dziesięcioletnią. Złożyłem papiery na uniwersytecie. Chciałem wstąpić na wydział astronomii. I nagle — wojna. Nie czekałem na powołanie do wojska. Zgłosiłem się na ochotnika. Zawieziono nas na wschód. Kilka miesięcy trwało szkolenie, i od razu na front. Brałem udział w kilku bitwach. Pod Chersoniem. Potem pod Rostowem. Z początku było to dla mnie straszne. Potem przyzwyczaiłem się. Eksplozje, samoloty nad głową, mokre okopy, śmierć towarzyszy. Czasami, w nocy, kiedy ucichała kanonada, widziałem gwiazdy nad głową, a do duszy napływały uczucia z dzieciństwa, z lat szkolnych... migotały fantastyczne marzenia o lotach, o gwiezdnych niebie... a potem wszystko znikało, walki trwały, padali moi przyjaciele — ranni albo zabici, i widziałem tylko jedno: nie kończące się, straszne boje z jakąś zmorą, z nawałą, która zalała naszą ziemię. Potem kontuzja — i niewola. Gdzieś na Kubaniu, niedaleko od Kaukazu. Ocknąłem się w obozie. Wagony, transporty, Niemcy. Potem — tutaj. Jeszcze nie mogę oprzytomnieć, zrozumieć wszystkiego, co się stało. Nie wierzę, nie chcę wierzyć, że wróg zwycięży. Nie może zwyciężyć. Bo w takim razie życie byłoby farsą, chimera, wstrętną komedią... To wszystko, przyjaciele... Co mogę jeszcze powiedzieć? Za krótko żyłem... Chyba to jeszcze, że cieszę się ze spotkania z wami. Bardzo się cieszę. Oto moja ręka na znak przyjaźni...

— Okay! — powiedział Harry, ściskając mocno dłoń Mychajły. — Ja też się cieszę. Jesteś dzielnym chłopcem. Lubię takich. No cóż, teraz kolej na mnie. Moja opowieść będzie krótka. Mój ojciec był rybakiem z dziada pradziada. Emigrowaliśmy do Ameryki z Irlandii. Osiedliliśmy się na wybrzeżu Kalifornii. Burze, ocean, fale, sztormy — wszystko to weszło w krew naszego rodu. Idee rodu — też takie same: wolność, pogarda dla śmierci, kult bohaterów. Każde dziecko od najmłodszych lat wiedziało o Washingtonie, Lincolnie, Spartakusie. No i o rodzimych bohaterach, których wy nie znacie. Oto, jak żyliśmy. Ojciec od dziecka zabierał mnie ze sobą na morze. Przywykłem do słonych bryzgów, do zapachu ryb, wodorostów, do sztormów i fal. Sądziłem, że podejmę tradycje rodu i zostanę rybakiem. Ale pewnego razu przyszło nieszczęście. Ojciec nie wrócił z połowu. Wszystko połknął ocean — rybaków, szkunery, nasze nadzieje...

Mieliśmy piękną willę nad brzegiem oceanu. Ogród, garaż, kwiaty. Góry na horyzoncie. Chodziłem do szkoły. Po śmierci ojca trzeba było sprzedać wszystko na licytacji, by spłacić dług za willę. Zostaliśmy niemal bez środków do życia. Ruszyliśmy z matką na wędrowkę po kraju. Matka szukała pracy i znalazła ją w stołówce szkoły pilotów cywilnych. Zaczęło się nam lepiej powodzić. Ukończyłem szkołę. Potem — do wojska. Skierowano mnie do szkoły sił powietrznych. Wojna. Zostałem zestrzelony nad Ardenami. Co — moje życie jest uboższe niż Mychajły? Prawda?

— To wygląda trochę inaczej — powiedział Hindus. — Po prostu jesteś bardziej skryty, zamknięty w sobie. Wyczułem wiele z twoich przemilczeń. Lecz najważniejsza rzecz, druhowie moi, to fakt, iż jesteśmy zespoleni, choć pochodzimy z różnych krajów. Chcecie wiedzieć, co nas złączyło? Teraz można to powiedzieć: poczucie człowieczeństwa...

— Tak, to prawda — szepnął Mychajło.

— Okay! — potwierdził energicznie Harry, uśmiechając się zyczliwie. — Tego nic nie może zastąpić...

— Teraz kolej na ciebie, Swami. Twoja opowieść będzie chyba najciekawsza — odezwał się Sahajdak. — Mów...

— Może na dziś wystarczy. Już późno. Trzeba się wyspać. Moja opowieść potrwa dość długo. Może jutro. Przy robocie albo tutaj, po kolacji...

— Wątpię, czy uda się nam pogadać podczas roboty — ziewnął Amerykanin. — Naziści nas zastrzelą. Jeszcze ich nie znacie. Opowiadali mi jeńcy — chyba w piekle jest lepiej...

— To się okaże za dnia — rzekł tajemniczo Rishideva. — Dobranoc...

Amerykanin odwrócił się na prawy bok i natychmiast zaczął pochrapywać. Mychajło położył się na wznak, zapatrzył się w ciemność baraku i nasłuchując sennego mrużenia współtowarzyszy niedoli, poddał się fali wielkiego znużenia. Swami w dalszym ciągu siedział na skraju nar, bez ruchu, z rękami złożonymi na piersi. Co to za dziwny człowiek!

W końcu ciężki sen zmorzył Sahajdaka. Spał bez snów aż do świtu.

Przywołał go do rzeczywistości złowrogi głos syreny. Podskoczył na narach, uderzył głową o niski sufit. W baraku słychać już było krzątanie jeńców, brzęczały miski. Szarawe światło poranku napływało przez okno. Swami siedział z podkurczonymi nogami na skraju pryczy i patrzył niewidzącymi oczami w kąt baraku.

— Nie spałeś? — zdziwił się Mychajło, przecierając oczy.

— Spałem trochę — odparł Hindus z uśmiechem. — Mnie wystarczą dwie lub trzy godziny. Przyzwyczaiłem się do tego.

— Gdzie Harry? — spytał Sahajdak, rozglądając się dokoła.

— Poszedł się myć. A teraz pobiegł po śniadanie.

Zjawił się Bojak. Błysnął sprytnymi oczkami, skinął na powitanie.

— Cześć, rodaku. Umyj się prędzej, bo jak przyjdzie kapo, to nie zdążysz.

— Co za „kapo”?

— Lepiej go nie znać. Nadzorca, Niemiec, recydywista. Wysługuje się nazistom. Zwierzę!

Bojak pobiegł dalej. Mychajło ruszył natychmiast do umywalni i znalazł się w wielojęzycznym tłumie jeńców. Umył się, uczesał bujną czyprynę. Przy baku z poidłem spotkał Harry'ego. Amerykanin wyszczerzył białe zęby w uśmiechu. W jego zimnych niebieskich oczach zapłonął ognek.

— Good morning, przyjacielu! — Skinął głową. — Bierz swoją porcję.

Zupa parowała, drażniła apetyt. Mychajło połykał ślinę, patrząc żałośnie na mizerną porcję czarnego chleba. Wraz z Harry'm przepchnęli się na swoje miejsce, wleźli na nary. Swami tak jak wczoraj, wziął chleb i w milczeniu odsunął miskę z zupą.

— Co ty? — rozgniewał się Mychajło. — Chcesz umrzeć?

Na ustach Hindusa ukazał się łagodny uśmiech. Uspokajającym gestem dotknął ramienia Sahajdaka.

— Jedz, mój przyjacielu. Dla mnie wystarczy.

— A z czego będziesz żyć?

— Rezerwy psychiczne — rzekł poważnie Swami.

— Niech będzie — zgodził się wesolo Amerykanin. — Dla nas lepiej. Wcinaj, Mychajło!

Prędko wychłęptali zupę, zjedli chleb, wylizali miski. Harry westchnął, spoglądając sceptycznie na dno naczynia.

— Po takim żarciu dużo się nie napracujesz...

— Wycho-o-odzieć! — rozległo się przed drzwiami. — Prędeej! Schnell! Schnell!

Jeńcy ruszyli tłumnie do wyjścia, wybiegali na dwór, ustawiając się rzędami.

Obok przeszedł pospiesznie kapo. Miał niskie czoło, przenikliwe spojrzenie małych oczek, ubrany był w szary frencz wojskowy bez oznak. W rękę chwiała się zło-wrogo gumowa pałka. Jeńcy zamilkli, spoglądając w bok. Gdzieś na przedzie wybuchła sprzeczką, kapo pospieszyl tam, rozległ się krzyk. Pałka podniosła się, jeńcy zaszemrali głucho.

— Cicho! — ryknął kapo. — Ręce...

Dwaj żołnierze szybko, wprawnie wkładali kajdany, skuwając jeńców ręka przy ręce. Rozległa się komenda. Kolumna ruszyła w stronę bramy, wyszła z obozu. Przed nią, za nią i z boków szli konwojenci z psami. Wysoko

na niebie zabłysły wierzchołki gór, oświetlone porannym słońcem. Gdzieś piał koguty. Głęboko w wąwozie szumiał gniewny potok.

Kolumna, ominąwszy mostek, szybko skierowała się w dół. Minęła rzadki las sosnowy i dotarła do głębokiego kamieniołomu. Miejsce, w którym wydobywano kamienie, tworzyło jakby olbrzymi amfiteatr. Było stąd tylko jedno wyjście: droga do potoku, przez most i do autostrady. Pionowe ściany zamykały przestrzeń. O ucieczce nie było co myśleć. Niemcy wiedzieli o tym, dlatego rozkuwali jeńców przy wejściu do kamieniołomu i wpuszczali bez konwoju.

— Nowicjusze! — krzyknął kapo, wymachując pałką. — Starostowie pokażą wam miejsca pracy. Nie próbujcie wymigiwać się! I żadnych papierosów!

Bojak poprowadził jeńców ze swego baraku. W wielu miejscach wznosiły się stosy kamieni — już od świtu pracowali tu minery.

— Chłopcy, rozkładajcie deski, przygotujcie taczki — zakomenderował Bojak. Podchodząc do Mychajły, szepnął: — Nie naderwij się, bo się prędko wykończysz. Kłaść nie za dużo, bo wam oczy na wierzch wyleżą! Tu macie taczki, młoty, kilofy. Tu jest wasze miejsce, a tam zawoźcie i zrzucajcie do wozów.

Jeńcy rozproszyli się po kamieniołomie. Między kamieniami ukazał się fantastyczny zarys dróżki z desek. Warknęły maszyny i jęcząc podjeżdżały do punktów załadunku.

— No, co? — westchnął Mychajło. — Ja pierwszy. Ładujcie, chłopcy, czas!

Chwycił taczki za uchwyt. Swami i Harry wrzucili kilka głazów. Mychajło pchnął taczki, zachwiały się, nie chciały ruszyć z miejsca.

— Daj mnie — powiedział Harry. — Ja już to robiłem...

Wprawnie spychał taczki po deskach do samochodu, wrzucił ładunek do nadwozia wywrotki i wrócił.

— Ja tak nie potrafię — powiedział z zazdrością Mychajło.

— Nauczysz się — rzucił Bojak, przebiegając obok. — Choćbyś nie chciał i tak się nauczysz. Róbcie, bracia, tylko nie przemęczajcie się zanadto!

Słońce weszło nad górami. Powiał ciepły wiatr. Zrobiło się duszno. Samochody podnosiły kłęby kurzu nad kotłownią, trudno było oddychać. Jeńcy porozbierali się, ich ciała błyszczały od potu. Mychajło pracował na zmianę z Harry'm — ładowali na samochód, nie oddając taczek Swamiemu — zbyt delikatnie wyglądały ręce Hindusa w zestawieniu z tak prymitywnym narzędziem. Wtedy zjawiał się kapo, popatrzył w milczeniu na ich grupkę, zatrzymał spojrzenie na Swamim, nic nie powiedział i poszedł dalej.

Mychajło odczuwał wielkie zmęczenie, chciało mu się jeść, nogi i ręce bolały od straszego wysiłku. Żeby tak sięść i odpocząć! Spróbuj! Za coś takiego pałka kapo już spadła na głowy kilku jeńców, tnąc do krwi ciała nieszczęśliwych ludzi.

Mychajło odpoczął trochę, oparty o trzonek łomu. Lecz minuta szybko mijała, samochody podjeżdżały do pagórka i trzeba było znów ładować na taczki obmierzłe głązy, wieźć po chwiejnych deskach.

Minuta za minutą. Godzina za godziną. Wściekły rytm wyczerpywał, przed oczami płynęły kolorowe koła, pot zalewał oczy. Harry otarł dłonią szarą twarz i szepnął:

— Koledzy! Długo tak nie wytrzymamy...

— Cicho! — westchnął Mychajło.

— Zastanowimy się — powiedział Hindus. — Prócz rąk mamy jeszcze głowę...

— I ja tak sądzę — ucieszył się Harry. — Czyżbyśmy mieli zginąć w tej jamie? Gdzieś nasi chłopcy tłuką tych boszów, a my...

— Tss! — syknął błagalnie Sahajdak. — Kapo jest blisko. Czy chcesz pierwszego dnia...

Z dala rozległa się syrena. Nad kamieniołomem przetoczył się gwar zadowolenia. Był to sygnał na obiad. Po stromej wstędze drogi podjeżdżał samochód, za nim kuchnia polowa. Zatrzymała się, jeńcy ruszyli w jej stronę.

— Ja przyniosę — rzekł Mychajło.

Złapał miski, podbiegł do gromady. Stał w kolejce. Na obiad był rzadki barszcz rudego koloru i zapiekana soja. Mychajło postawił miskę na misce, nakrył je pokrywką, położył na niej chleb i soję. Przechodząc ostrożnie z kamienia na kamień, zaniósł długo oczekiwany obiad przyjaciółom.

Swami podzielił barszcz między towarzyszy, sobie wziął chleb i połowę porcji soi. Gdy Mychajło znów zaczął się z nim sprzeczać, Hindus rzekł surowo:

— Dajmy spokój skrupułom. Już raz powiedziałem. Starcza mi tego, co sobie zostawiam.

Mychajło i Harry chciwie pochłaniali ciepłą strawę. Swami przykucnął obok głazu, spokojnie, niedbale żuł skórkę chleba, popijając wodą z butelki.

Amerikanin rozejrzał się dokoła, wygrzebał gdzieś z kieszeni podartego frencza papierosa, zapalił kartonową zapalną i zaciągnął się aromatycznym dymkiem.

— Póki trwa przerwa, opowiadaj, Rishidevo, o sobie. Twoja kolej. Kapo jest daleko, posłuchamy...

— Niech będzie — zgodził się Hindus. — Opowiem...

Rishideva zamyślił się, spojrzeniem był gdzieś daleko, jego mowa płynęła szybko, harmonijnie. Zdawało się, że przeszłość odradza się w nim i że widzi ją naprawdę — zadziwiająca gama uczuć malowała się na subtelnym, uduchowionym obliczu.

— Urodziłem się w małej wiosce nad Gangesem, w pobliżu Gai, świętego miejsca buddystów. Rodzice — prawowierni bramini, byli bardzo biedni. Mieliśmy ubogą chatkę, kawałek ziemi. Z tego żyliśmy. Ojciec pracował również u miejscowego właściciela ziemskiego, pomagał w prowadzeniu rachunków, czytał święte księgi.

Otrzymałem wychowanie religijne. Potem uczelnia typu europejskiego w Benaresie. Wicher nowych pojęć wdarł się do świadomości, wchodził w konflikt z wiarą ojców, z tradycjami, z bezwładem umysłu. Znalazłem się na rozdrożu. Wielu młodych Hindusów łatwo zrywało ze starożytną filozofią, drwiąc z bogów, z obrzędów, z tradycji. Bez zastrzeżeń przyjmowali kulturę europejską, a wraz z nią ateizm, kult techniki, pogardę dla tego, co własne, odwieczne, indyjskie... Dla zamydlenia oczu ludziom odprawiali modły, udawali, że są jaroszami, trzymali się zwyczajów kastowych, lecz zbierając się wieczorem zrzucali z siebie pozory potulności, jedli potrawy mięsne, pili alkohol, palili tytoń, używali narkotyków.

— A ty? — zaciekawiał się Harry. — Ty zostałeś świętoszkiem?

— Nigdy nie byłem świętoszkiem — odparł poważnie Swami. — Ale nie mogłem też stać się cynikiem. Od dzieciństwa niepokoiła mnie jedna myśl: poznać prawdę. Nie można żyć nie poszukując prawdy. Nie mogłem przyjąć idei europejskich w całej pełni, były często zbyt powierzchowne, niepoważne, mechanistyczne. Poza tym cywilizacja europejska niosła ze sobą niewolę, cynizm, demoralizację, podczas gdy nasze tradycje przechowywały w tajemnych przekazach i zwyczajach ziarna wiedzy, dawały nadzieję na wielkie poznanie. W Indiach nie tylko czytało się o wielkich bojownikach i bohaterach, lecz można było także spotkać współczesnych żyjących głosicieli prawdy. Byli to ludzie, którzy znali Vivekandę i Ramakrishnę, można jeszcze było spotkać Rabindranatha Tagore, stąpał jeszcze po indyjskiej ziemi Mahatma Gandhi...

— Wstyd mi, ale nic o nich nie wiem — rzekł Michajło. — Ramakrishna, Vivekanda?

— Czytałem coś niecoś o nich — odezwał się Harry. — W książkach Romain Rollanda. Wzruszające opowieści. Sądzę jednak, że to tylko mistyka, piękna baśń.

— Piękna baśń jest lepsza niż rzeczywisty, złowrogi światopogląd — odrzekł smutno Swami. — Powiem ci o nich kilka słów. Ramakrishna był braminem, podobnie jak ja. Od najmłodszych lat zajął się żarliwie niezwykle ciekawą ideą — zapragnął dotrzeć do istoty wszystkich nauk, zbadać, na czym polega ich wartość. Chciał dociec, który z głosicieli — współczesnych czy dawnych — głosi prawdę. Za którym należy pójść. Zaabsorbowany tymi myślami, coraz głębiej wnikał w świat różnych koncepcji religijnych, wybierał z nich wszystko, co najpiękniejsze. Znaleźli się nauczyciele, którzy mu w tym pomogli. Nie czas teraz na szerszą analizę jego poglądów, lecz Ramakrishna doszedł do niezwykłych wniosków. Oświadczył, że świat niesłusznie jest podzielony. Każdy człowiek, wszystkie nauki, wcześniej czy później dotrą do jednej idei — idei jedności świata. Ramakrishna zaczął głosić naukę o jedności. Zyskał uczniów i naśladowców. Najwybitniejszym był Swami Vivekanda — wielki filozof i reformator. Vivekanda wstrząsnął Indiami. Zmusił je do przebudzenia się z długotrwałego snu. Powiedział, że czas już zdobyć się na śmiałość i męstwo. Oświadczył,

iż uznaje tylko jedno — pozyskanie wszystkich narodów dla swej idei. Kto służy ludziom — służy Bogu...

— Czyli jest komunistą — rzekł Mychajło z satysfakcją. — Jakiż więc z niego wierzący?

— Tsss! — syknął Amerykanin, pochylając się ku niemu. — Zgłupiałeś. Nie wymawiaj tego słowa. Jeśli usłyszysz — koniec z nami.

— Nie usłyszysz, samochody warczą. Mów, Swami, dalej...

— Koncepcje Vivekandy zachwyciły mnie. Poznałem także idee Ramakrishny, jego zwolenników. Dostrzegałem wyraźnie drogi syntezy, prowadzącej do odrodzenia mojej ojczyzny. Było to połączenie wszystkiego, co najwartościowsze w nauce światowej. Współczesnej i dawnej, w filozofii starożytności i dnia dzisiejszego, w technice i jodze. Ptak nie może latać o jednym skrzydle, podobnie ludzkość zatrzyma się w rozwoju, jeśli odrzuci zdobycze wielu tysięcy lat dawnych epok. Indie zanadto uległy urokowi zjawisk nadprzyrodzonych. Europa zaś ugrzęzła głęboko w technicyzmie. I tam, i tu — ślepy tor. Postanowiłem przestudiować myśl naukową Zachodu i poznać głęboko jogę. Los przysłał mi nauczyciela — guru. W Sikkimie, na łonie niebotycznych gór, w cichym aśramie zgłębiałem jogę...

— Co to jest joga? — rzucił pytanie Mychajło. — Nie spotykałem nigdy książek na ten temat. Nauczyciel powiedział nam kiedyś podczas lekcji, że jest to sekta mistyków.

— W jodze nie ma nic z mistycyzmu — odparł Hindus z uśmiechem. — To po prostu nauka o człowieku. W dosłownym przekładzie joga oznacza „związek”...

— Jaki związek?

— Człowieka z człowiekiem. Człowieka ze społeczeństwem. Człowieka z kosmosem. Człowieka z Bogiem, jeśli wierzy w Niego...

— A czy może być jog niewierzący?

— Wszyscy w coś wierzą — powiedział Swami. — Otóż, joga to walka o jedność, o zrozumienie jedności...

— Moim zdaniem jedność to utopia — odezwał się Harry z westchnieniem. Zgasił niedopałek i włożył do kieszeni frencza. — Wszystko osiągało się przez indywidualizację. Gdzie jedność — tam tłum!...

— Aleś powiedział — rzekł oburzony Mychajło. — Wobec tego każdy sam sobie? Tak robią faszysci...

— Właśnie faszysci działają we wspólnym froncie — uśmiechnął się złośliwie Amerykanin. — Nie to, co my. Oddaliśmy Francję, oddaliśmy całą Europę. Wy wpuściliście ich aż do Kaukazu...

— Cicho — zwrócił się do nich Swami. — Zaplątaliście się, przyjaciele. Sprawa jest prosta. To zależy, jaka jedność. Ciemne siły nie znają jedności, lecz integrację, zjednoczenie oparte na strachu, na złości. Prawdziwa jedność polega na harmonii, na wspólnocie celu. Indywidualizacja właściwie również nie sprzeciwia się jedności. Powinny się łączyć jednostki, narody, grupy ludzi. Na przykład my — jesteśmy tak różni, a przyjaźnimy się.

— Masz rację — roześmiał się Amerykanin, podając rękę Swamiemu. — Niech łączą się wszyscy, byle tylko nie tracili wolności...

— Żeby coś stracić, trzeba to mieć — powiedział Hindus. — Kto ma wolność? Cały świat jest w niewoli. Świat musi jeszcze odnaleźć wolność. To jest najwyższy cel wszystkich filozofii, religii, utopii społecznych. Ale odbiegłem od tematu, chciałbym zakończyć opowieść o sobie. Musiałem zostać sannjasinem, wędrownym mnichem, by głosić idee Wedanty. Sannjasin to ten, który wyrzekł się świata, kto nie zna niczego prócz służenia ludziom. Dla siebie — tylko minimum. Ani żony, ani rodziny, ani żadnych przyjemności. Przeznaczenie chciało jednak inaczej. Pojechałem kiedyś do Benaresu, żeby coś kupić dla aśramu. Było to w roku czterdziestym pierwszym. Przeczytałem gazety i przeraziłem się. Zobaczyłem mnóstwo zdjęć — ruiny miast, zwłoki pomordowanych. Nie mogłem odzyskać spokoju, nie mogłem spać, jeść, modlić się. Cały mój stoicyzm, cała moja joga wywróciła się do góry nogami. Pomyślałem: jak ja mogę spokojnie pograzać się w ekstazie, kiedy świat zachłystuje się krwią? Oczy dzieci, oczy zamęczonych matek patrzyły mi w duszę. Lecz jog sannjasin nie może brać udziału w ludzkich zmaganiach. Poniżej, zgubi własną duszę. Więc postanowiłem — niechaj zginie moja dusza, lecz stanę do walki przeciw mro-kowi...

— Ale zuch z ciebie, Swami — szepnął z zachwytem

Mychajło, obejmując Hindusa. — Ale zuch. Dobrze zrobileś!

— To nie jest takie proste. Przygniatał mnie ciężar wątpliwości, cierpienia, rozpacz. Ale nie zawróciłem z drogi. Wstąpiłem do korpusu ekspedycyjnego. Zawieziono nas do Europy. Wszystko było dla mnie niezwykle, straszne. Brać w ręce broń, strzelać? O Ramo! Bramin — i broń? Ale potem uspokoiłem się. Usłyszałem w duszy głos guru. To on mnie uspokoił. Powiedział: „Wyrzekłeś się dla ludzi swego zbawienia i w ten sposób dokonałeś czynu. Jestem z tobą. Przypomnij sobie Ardżunę”.

— Kto to jest Ardżuna? — zapytał Mychajło.

— Bohater starożytny. Współtowarzysz Kryszny. Kryszna — awatar Wisznu, nauczyciel i asceta. Na polu bitwy starły się dwie armie. Ardżuna męczył się, nie chciał ruszyć na wroga, bo w jego szeregach ujrzał swych krewnych. Lecz Kryszna kazał mu stanąć do walki. „Dharmy, czyli obowiązki muszą być wykonane — rzekł Kryszna. — Nie możemy kierować się własnymi uczuciami. Istnieje obowiązek i prawo człowieczeństwa.” „Jesteś braminem — powiedział guru — lecz w twoim sercu żyje kszatrija, rycerz. Idź za głosem serca. Nie modlitwa, lecz walka jest twoją sprawą. Ręka moja jest z tobą.” I poszedłem. Toczyły się zaciekle walki w Afryce. Straszne ataki czołgów Rommla. Cofaliśmy się aż do Kairu. Na pustyni wpadłem do niewoli. Przywieziono nas do Europy. A potem — tutaj...

— To brzmi jak legenda — odezwał się Mychajło, trąc szczecinę na policzku. — Aż trudno uwierzyć. Gdybym to opowiedział gdzieś u nas, na Ukrainie, uśmieliby się...

— Trzeba szerzyć związki między narodami — powiedział Swami. — Joga jest wszechobjmująca. Od przygotowania fizycznego do psychicznego. Od religijnego — do naukowego. Każdy może znaleźć coś cennego. My u was. A wy — u nas...

Syrena zawyła przeraźliwie. Klnąc, wstawali do pracy zmęczeni jeńcy. Zatrzeszczały deski pod kołami taczek, grzmotnęły kamienie spadające na wywrotki.

Górskie słońce piekło niemiłosiernie. Kilku jeńców, nie mogąc znieść upału, runęło na ziemię. Rozległy się wście-

kłe krzyki, jęk katowanych ludzi. Harry odwrócił się, w jego oczach zapłonęła nienawiść. Swami dostrzegł to, westchnął ze współczuciem.

— Nie można pozwalać sobie na emocje. Gorące serce powinno także posiadać chłodny rozum.

— Przyjdzie czas, że i my opadniemy z sił — powiedział gorzko Amerykanin. — I te ciosy spadną na nasze grzbiety. A potem — kula.

— A co poradzisz? — zapytał chmurnie Mychajło, rzucając kamień na taczkę. — Spróbujesz ich bronić — zastrzelą cię...

— Może już lepiej zginąć, niż czołgać się przed nimi po to tylko, by nędznie wegetować — szepnął gniewnie Harry, schwycił taczki i potoczył je aż do wozu.

— Dzielny chłopiec — rzekł Swami — tylko nie zrównoważony. A jednak mówi prawdę. Musimy myśleć, myśleć. W przeciwnym razie — śmierć.

— Jak wygląda wobec tego przepowiednia guru? — spytał ironicznie Mychajło, ocierając pot z czoła. — Przecież powiedział, że przeżyjemy wojnę.

— Myślisz jak dziecko — odpowiedział z politowaniem Swami. — Znajdujesz się dopiero na pierwszym stopniu poznania filozoficznego. Elementarny przykład: idziesz do jakiejś wsi. Już widać chaty, ludzi. Nic ci nie może stanąć na przeszkodzie. Ale zachciało ci się odpocząć. Potem pospać. Potem napotykasz kompana-pijanicę. Zaprosił cię do karczmy. A karczma znajduje się w przeciwnej stronie. Wypiliście. Wywiązała się bójka. W tej bójce zostałeś ranny lub nawet zabity. Takim czynem pogwałciłeś przeznaczenie. Samowola jednostki zniszczyła możliwości. Mój guru powiedział, że dla nas wszystkich istnieje możliwość przeżycia wojny i twórczej działalności. Ale można się także tego pozbawić.

— To dziwne — pokiwał głową Mychajło. — Ale ciekawe...

— Filozofujecie? — zapytał pochmurnie Harry, powracając z taczkami. — Moim zdaniem, całe nieszczęście świata tkwi w filozofii. Jazda, Mychaj, ciągnij taczkę, bo kapo się wścieka. Można pierwszego dnia dostać w kość...

Mychajło potoczył taczkę. Swami popatrzył smutno na Harry'ego.

— Łatwo ulegasz nastrojom, przyjacielu — powiedział cicho. — Nie można zmieniać poglądów pod wpływem afektu. Dlaczego filozofowie winni są nieszczęściom świata? Zresztą — jacy filozofowie?

— Wszyscy! — Harry chwycił młot, silnymi uderzeniami rozłupał wielką bryłę. — Zwykli ludzie pracują, sieją zboże, łowią ryby, hodują sady, budują maszyny. A filozofowie wymyślają doktryny, które powodują rozlew krwi...

— Mylisz się — zaprzeczył łagodnie Swami. — Każdy człowiek, każdy z twoich „zwykłych” siewców czy sadowników, lub robotników — jest filozofem. Tylko że nie pisze traktatów. Każdy ma światopogląd prosty czy złożony. Już w gromadzie pierwotnej toczono walkę o światopogląd...

— Nieprawda! — Harry nie przestawał walić młotem. — Mój ojciec i jego przyjaciele-rybacy nie filozofowali. Łowili ryby, sprzedawali je, kupowali niezbędne rzeczy i żyli niezależnie...

— Oj, nie tak, Harry — pokiwał głową Hindus. — Zachowałeś romantyczne pojęcia dzieciństwa. Życie twojego ojca czy innych ludzi pracy jest ściśle związane z całym światem. A prawo, którym się kierował, jest prawem życia, któremu podporządkowuje się również nauka myślenia, filozofia...

— Nie wiem — odrzekł posepnie Harry, dysząc ciężko. — Nie wiem... Może istotnie jestem we władzy żywiołu. Ciężko mi, pierś rozsadza mi burza. Zębami poszarpałbym dręczycieli...

— Poczekaj... Trzeba przyjrzeć się ludziom... Może coś obmyślimy...

— Koniecznie, Swami! Koniecznie! Bo nie wytrzymam, rzucę się na automaty...

Na pagórku koło samochodu ukazał się kapo. Tłukąc pałką o but, krzyknął:

— Mało! Jedna taczka to za mało. Jeden niech ładuje, a dwaj odwożą. Samochód za długo czeka!

— Jednemu jest za ciężko ładować — rzekł Mychajło. — Przecież trzeba również rozłupywać kamienie...

— Ty rosyjska świno! — ryknął kapo. — Będiesz mi tu się wymądrzać. Jutro macie ładować dwiema taczkami. Słyszycie?

— Słyszymy — odezwał się Amerykanin. — No, Swami, trzymaj się. Kilka dni jakoś tam będzie, a potem zwalimy się!

Słońce wolno, nieznacznie wolno spływało ku zachodowi. Zdawało się, że ten dzień nigdy się nie skończy. Jeńcy nie patrzyli na urozyste białe szczyty ani na zgrabne pulchne chmurki, ani na ciemnozielone linie świerków na zboczach gór. To cudowne piękno dręczyło, szarpało serce straszną tęsknotą, zatruwało pragnieniem wolności...

Gdzieś koło czwartej zrobiono przerwę. Jeńców zagnano do wgłębienia pod osłonę olbrzymiej skały. Do kamieniołomu weszli minerzy, założyli ładunki wybuchowe. Wkrótce skała zatrzęsa się od wybuchów. Nad kotłnią kłębiła się chmura pyłu.

— Do roboty! — krzyknął kapo. — Schnell, schnell!

Znów zazgrzytały wozy. Znów nie kończąca się drewniana ścieżka i obmierzała taczka, tępy ból w plecach, rękach.

— Mychaju — powiedział Harry szeptem — musimy dowiedzieć się, gdzie przechowują dynamit...

— Widziałem — odpowiedział Sahajdak, rozglądając się ostrożnie dokoła. — Tam, w głębi kopalni. Stamtąd minerzy przynosili ładunki...

— Po co wam to? — spytał Swami.

— O! — zaśmiał się złowrogo Amerykanin i szczęki poruszyły mu się pod skórą. — Gdybym miał dziesięć ładunków, już bym coś wymyślił! Zatańczyliby u mnie!

Hindus nie odezwał się, wrzucał kamienie na taczki.

Wreszcie zawyła tak oczekiwana syrena. Jeńców zebrano przed wyjściem z kamieniołomu, przeliczono, zakuto w kajdanki. Ruszyli w milczeniu nad potokiem. Słysząc było tylko groźne okrzyki konwojentów i warczenie psów.

Minął wieczorny apel. Jedni położyli się spać, inni śpiewali cicho tęskne pieśni, jeszcze inni łatali podartą odzież. Harry wywołał przyjaciół na dwór. Spacerowali wolno za barakiem, rozglądając się co chwila na wszystkie strony, żeby uniknąć zbędnych świadków.

— Mam taki plan — szeptał Harry. — Postarać się o ładunki dynamitu, przygotować je. Potem porwać wy-

wrotkę. Obita jest żelazem. Podjechać do warty. Obrzucić ją ładunkami dynamitu. Potem przez most na autostradę. Przejechać dziesięć, piętnaście kilometrów, auto do potoku, a sami — w góry!...

— Dobra! — ucieszył się Mychajło, błyskając jasnymi oczami. — Dla wolności warto zaryzykować! Tylko jak zdobyć dynamit? Jak?

— W obozie mogą być judasze — rzekł Harry. — Na pewno są. Nie można ufać wszystkim... A ten twój rodak?

— Bojak? Jeszcze go nie znam... Zdaje się, że to dobry człowiek.

— Zaczekajcie, przyjaciele — odezwał się Swami. — Jeszcze trochę poczekajcie. Może wymyślimy coś innego...

— Co innego? — Amerykanin wzruszył ramionami. — Przejść przez ścianę na wylot? Postarać się o czapkę-niewidkę?

— Nie — poważnie odparł Hindus. — Twój plan jest najlepszy. Ale o dynamicie raczej jeszcze nie mówmy nikomu. Sam postaram się go zdobyć...

— Jak?

— Pozwolisz, że tego nie powiem.

— Nie rozumiem.

— Harry, a dlaczego Swami nie miałyby wykazać potęgi jogi? — zapytał zjadliwie Mychajło. — Przecież może uciec tak, że go nikt nie zobaczy. Jogowie umieją hipnotyzować. Dlaczego Swami nie miałyby spróbować?

— Mógłbym się stąd wydostać — rzekł Hindus poważnie. — Mógłbym nie znaleźć się w niewoli...

— Więc dlaczego...

— To jest właśnie najistotniejsza różnica między nami a Europejczykami — powiedział w zamyśleniu Swami. — Siły jogi nie można wykorzystać dla siebie. Kto chce tak robić — degraduje ją do czarnej magii. Siła jogi — to siła całej ludzkości. Można jej używać tylko dla wspólnego dobra.

— Nie rozumiem — wzruszył Harry ramionami. — Czy uciekam po to, żeby zrobić coś dobrego dla ludzi? Najpierw dla mnie, a potem dla innych...

— Jezuicka filozofia — odpowiedział niewzruszenie Swami. — Oszukać można nawet siebie, lecz istnieje prawda obiektywna, której się nie ominie. Na razie nie

trzeba mówić o tym. Nadejdzie czas, wtedy powiem wam wszystko...

— Po prostu zawracasz nam głowę, Swami — machnął ręką Harry. — Opowiadasz bajeczki, legendy. Gdzie są dowody? Gdzie są realne siły? Już wolę coś robić własnymi rękami, niż czekać na cud...

— Cudów nie ma — odparł spokojnie Hindus, jego oczy zabłyśły łagodnie. — Istnieją siły znane i siły nieznanne. To, co wy nazywacie cudem, będzie w przyszłości czymś zwyczajnym. Trzeba osiągnąć taki poziom, żeby te siły nie były cudem.

— Chodźmy do baraku. Kapo może zauważyć, że spacerujemy tutaj, i wtedy będziemy dopiero mieli cud! — odezwał się Mychajło. — Dogadamy się lepiej po cichu, na pryczy...

Przyjaciele wrócili do baraku. Zapadł mrok. Horyzont purpurowiał jeszcze pasiastymi chmurami. Jeńcy układali się do snu. Harry wyciągnął się na sienniku i odwrócił do ściany. Hindus zamienił spojrzenie z Sahajdakiem, wskazując głową na Amerykanina.

— W gorącej wodzie kąpany — powiedział. — Nie ma cierpliwości. Ale cierpliwość kształtuje się w męce. Nie szkodzi, niech się męczy...

Swami usiadł na brzegu nar, zamyślił się. Zdawało się, że rozmawia z kimś. Twarz skupiona, spojrzenie utkwione w przestrzeni, ciało napięte. Kogo on widzi, gdzie?

Mychajło dziwił się, ale nie zakłócał przyjacielowi spokoju. A gdy Swami poruszył się, zapytał cicho:

— Swami, czy ty naprawdę wierzysz w twoje urojenia?

— Jakie urojenia, Mychajło? — zdziwił się Hindus, mrużąc oczy. Zdjął zawój, zaczął rozczesywać gęste włosy. — O czym ty mówisz?

— No, czy wierzysz w tych twoich bogów? Agni, Brahma, Wisznu... i jeszcze jakichś, już zapomniałem...

Swami roześmiał się bezgłośnie. Przysunął się do Sahajdaka i objął go za ramiona.

— Jesteś nieukiem, przyjacielu. Nie obrażaj się, lubię cię. Zanim się coś skrytykuje, trzeba tę rzecz dobrze poznać. Po prostu nie wierzę w takich bogów, jakich czczą analfabeci hinduscy. Dla nich Agni, Siwa, Brahma — to kosmiczne kolosy o ludzkich obliczach, z rękami

mi, nogami, z bronią, pałacami, królestwami. Dla mnie są to tylko symbole. Symbole sił natury i żywiołów...

— Jakie symbole?

— Takie same, jakie zna nauka na Zachodzie. Przecież wy stworzyliście terminy: pole magnetyczne, kwanty, grawitacja, atom, czas, przestrzeń i wiele innych. U nas, filozofów wschodnich, określa się te wszystkie pojęcia pewnymi imionami. Przysuń się tutaj, do ściany, to ci zwięźle opowiem o tym...

— A Harry? Zbudzimy go?

— Nie trzeba. Opowiem mu innym razem... jeżeli zechce. Na początek alfabet naszych Wed...

— Słyszałem o nich. Czy to są hymny religijne?

— Hymny. Tkwią w nich ziarna kosmogonii hinduskiej. Odwieczna filozofia przyrody. Powstała przed wielu tysiącami lat. Poza tym, jest to również cudowna poezja. Chcesz, zacytuję ci mały fragment wstępu? W wolnym przekładzie...

— Proszę bardzo...

— Więc słuchaj...

Nic nie było: ani czystego nieba,
Ni błękitnego bezmiaru dokoła ziemi.
Co więc obejmowało wszystko?
Co ograniczało? Co chowało w sobie?
Czy były to niezmierzone głębiny wód?
Nie było nieśmiertelności i śmierci nie było.
Nie było granicy między ciemnością i światłem.
Tylko Jedyne w oddechu bez tchnienia
Było, a oprócz niego nie było bytu.
Panował Mrok, a wszystko było ukryte
W głębinach ciemnego Oceanu.
Zarodek schowany w Jaju,
Pod wpływem Agni rozwinął się w Przyrodę...
Kto poznał tajemnicę? Kto powiadomił?
Skąd wszystkie wielobarwne twory?
Nawet bogowie urodzili się później —
Któż więc opowie o wielkości tworzenia?
Może to, skąd wyszło wszystko żywe?
Czy Jego wola stworzyła wszystko, czy też milczała?
Czy wie o tym Jasnowidz Niebiański,
Czy może i on o niczym nie wie?

Hindus zamilkł. Popatrzył pytająco na Mychajłę. Ten zdziwiony pokiwał głową.

— To brzmi bardzo dziwnie. Nigdy czegoś takiego nie

czytałem. Jednak czuję, że to nie jest religianctwo. To nauka...

— Widzisz!... — powiedział zadowolony Swami. — Wyczułeś. A teraz coś o bogach. Agni... Czy wiesz, jak go przedstawiają?

— Jak?

— Jadącego wierzchem na jagnięciu.

— Dlaczego?

— Jagnię to symbol ofiary. Wiesz o tym?

— Wiem. Symbol kościelny. Baranek...

— Otóż to. W waszym języku pozostało nawet współbrzmienie. Agni — jagnię. Tylko że Kościół wypaczył symbole. Zamiast ognia pozostało biedne jagnię, które palono, nie wiedząc nawet po co. Sam ogień — to ofiara...

— Nie rozumiem.

— Wytłumaczę ci. Ogień, Agni — to jednolita energia wszechświata. Mówi o tym przecież nauka europejska. Jednolite pole, podstawa wszystkich przejawów materii. Symbolicznie: ofiara jednolitego pola, ognia, przejawia się w tym, że jest on we wszystkim, sam wyraża siebie w niezliczonych formach, lecz jest w niewoli, niewidzialny...

— Bardzo ciekawe... ale dziwne...

— Nie szkodzi, trzeba przyjmować również cudze sposoby myślenia — uśmiechnął się Swami. — A więc, Agni to siła napędowa kosmosu. Bez niego nie ma ruchu, nie ma życia. A on sam jest przykuty...

— Prometeusz! — wybuchnął Mychajło. — Tytan, który przyniósł ludziom ogień z nieba.

— Może — zgodził się Hindus. — Istnieje bogactwo tradycji u różnych narodów.

— Świetnie — rzekł Sahajdak. — Niech i tak będzie. Ale ty modlisz się do niego, zwracasz się do niego. A on jest nieświadomy — twój Agni? Energia kosmiczna działa nieświadomie...

— Za to ja działam świadomie — odpowiedział Swami. — Nawiązuję z nią kontakt, z rzeką Agni, jak pływak z prądem. Można walczyć przeciw prądowi — a wówczas nieuchronnie zginiesz. Można wykorzystać ruch prądu — a wówczas prędzej osiągniesz tamten brzeg...

— Jaki brzeg? — zapytał z niedowierzaniem Mychajło. — Skąd wiesz, dokąd płynie Agni?

— Wiem. Wszystko jest bardzo proste. Jego nurt — to jedność. Ogień jest jeden dla wszystkich. A więc braterstwo, miłość, prawda, piękno — to jego nakazy. Należy w ten sposób postępować, a znajdziesz się w nurcie, dotrzesz do tamtego brzegu. Tamten brzeg — to Nowy Świat, Mychajło, gdzie ludzkość stanie się jednością...

— No cóż... Ja się zgadzam... Mów dalej! Co to jest Wisznu?

— Wisznu to właśnie jest wspólnota, jedyna przyroda, apeiron starożytnych Greków, pramateria. Agni — jest jego twórcywem, jego wysłańcem, wykonawcą. Wisznu zawsze wymieniany jest w triadzie. Jest jeszcze Sziwa i Brahma. Brahma — to symbol prawa ewolucji. Sziwa — to twórca, ale jego metodą działania jest niszczenie tego, co stare, zacofane. Sziwa — to rewolucjonista, który przygotowuje, toruje drogę dla Wisznu. A Wisznu — to równowaga, jednolite prawo, które syntetyzuje, godzi zmiany rewolucyjne i ewolucyjne, ochrania wszystkie najlepsze zdobycze...

— Wspomniałeś słowo „awatar”. Awatar Wisznu. Co to oznacza?

— Wysłaniec Wisznu.

— Przecież Wisznu nie jest bogiem, sam mi wyjaśniłeś! Jakże on może posyłać?

— Znowu nie rozumiesz symbolu. Kiedy powstaje konieczność zmian, zjawienia się elementu nowego, ewolucyjnego, zjawia się również człowiek czy kilku ludzi, którzy z pełną odpowiedzialnością biorą na siebie ciężar niezbędnego uderzenia. Stanowią oni jak gdyby punkt równowagi, na którym spoczywa dźwignia ewolucji, dynamicznego działania Wisznu...

— Nie pojmuję — pokręcił głową Mychajło — to zbyt skomplikowana filozofia.

— Wcale nieskomplikowana — zaprzeczył Swami. — Trzeba spojrzeć na te pojęcia pod nowym kątem. Patrz na cały świat jak na jednolity organizm. Kiedy w organizmie jakaś część doznała urazu, mkną tam białe ciała krwi — obrońcy. To właśnie są awatarowie jednolitego organizmu. Działają w imię jedności, nie myśląc o sobie.

— Teraz zrozumiałem — westchnął z ulgą Mychajło. —

Zgoda... Ten symbol jest teraz dla mnie jasny... Taki był Spartakus. Taras — nasz Kobziarz — taki sam. Taki był Giordano Bruno...

— Dużo ich jest — awatarów Wisznu — powiedział zamyślony Swami, wpatrując się w sufit. — Widzialnych i niewidzialnych. Różnie ich nazywają, ale na nich trzyma się planeta. A teraz spać, Mychajło. Czas już. Wszyscy zasnęli, a my tu szepczemy.

Mychajło rozebrał się szybko, bluzę i spodnie położył pod głowę, przykrył się cienkim szynelem. Potem podniósł głowę i ziewając, szepnął:

— Słuchaj, Swami...

— Co tam? — odezwał się Hindus, otrząsając się z zadumy.

— Opowiadasz takie cuda o jogach, o waszych ideałach... Więc dlaczego nie osiągnęliście tego, co my... no, w Europie?

— A wy co osiągnęliście? — zapytał drwiąco Swami.

— No, chociażby technika... Samoloty, maszyny, radio, koleje...

— Ewolucja techniczna to zjawisko czasowe. Należy rozwijać siły psychiczne, wrodzone możliwości jednostki, naszej osobowości. Człowiek dalekiej przyszłości będzie sam w sobie miał i radio, i zdolność przewidywania, i zdolność analitycznego poznawania materii. Będzie latać w powietrzu bez aparatury, stworzy sobie nowe, subtelniejsze, plastyczniejsze ciało.

— Nowe ciało? — zdziwił się Sahajdak. — To ty już...

— Pożyjemy — zobaczymy — powiedział Hindus tajemniczo. — A jeśli nie dożyjemy, zobaczą to nasze dzieci... Śpij, Mychajło...

Minęła krótka noc letnia.

Zaczął się nowy dzień katongi. Nad górami przeszła burza, kamieniolomy zalewały potoki deszczu. Wartownicy skryli się w budkach, jeńcy mokli pod ulewą, taczki ślizgały się na chwiejnych deskach. Ludzie padali, tłukąc kolana, ręce. Kapo szalał, jego pałka nie знаła wytchnienia. Słychać było strzały. Przed wieczorem w kolumnie nie doliczono się dwóch jeńców. Zwłoki wywieziono na wywrotkach. Na coś takiego nie zwracano tu

już uwagi, przyzwyczajano się. Harry wieczorem był przygnębiony, posępny. Obojętnym głosem powiedział:

— Tak i nas... kiedyś...

Swami i Mychajło milczeli.

Tego wieczoru nikt nic nie opowiadał. Leżeli cicho, po-grażeni w ciężkich rozmyślaniach. Potem Sahajdak nie-postrzeżenie przekradł się do Bojaka, który spał koło drzwi, i obudził go. Bojak łypnął na chłopca zaspanymi oczami, zdziwił się.

— Czego chcesz?

— Chcę ci coś powiedzieć — wyszeptał Mychajło.

Starosta ziewnął, popatrzył na zakurzoną żarówkę, wzruszył ramionami. Kiwnął palcem na Mychajłę, podszedł do drzwi. Zatrzymał się w małym korytarzu, wyjrzał przez szparę. Potem zmierzył Mychajłę podejrzliwym spojrzeniem od stóp do głów.

— Czego chcesz? Mów...

— Bojaku, dłużej tak nie można — powiedział zde-nerwowany Mychajło.

— Jak nie można? — pochmurnie powtórzył pytanie starosta.

— Milczymy, padamy pod ciosami. Jak bydło. Umie-ramy. Na froncie nie baliśmy się iść pod kule, a teraz... Serce nie wytrzymuje, rodaku! Rozumiesz? Ot, nie wy-trzymam, rzucę się na gadów!

— Cicho, głupcze! — szepnął Bojak, chwytając chłopca za ramię. — Też się znalazł bohater! Tu wszyscy są żołnierzami, patrzyli śmierci w oczy! No, rzuć się, za-strzelą cię jak psa! A co dalej? Tym, co żyją, jeszcze trudniej będzie coś zrobić!

— Bojaku! — westchnął błagalnie Mychajło. — To wy coś...

— Milcz! Ani słowa! Ściany mają uszy. Coś się robi. Będę teraz liczyć także na ciebie. A jak twoi sąsiedzi... so-jusznicy?

— Ręczę jak za siebie. To ludzie ze stali!

— Ze stali! Nam trzeba żywych, z ludzkim sercem. Uważaj, żebyś się nie pomylił! Idź, ale ostrożnie — w ba-raku są szpiedzy! Dla pewności posiedź na kiblu, żeby uniknąć podejrzeń.

Kiedy Sahajdak wrócił na swoje miejsce, Hindus otworzył oczy i zapytał niedosłyszalnym szeptem:

— Gdzie byłeś?

— Rozmawiałem ze starostą...

— No i co?

— Jest nadzieja...

Rishideva zamilkł, nie odzywał się więcej. Obaj długo nie spali, patrząc na szary sufit baraku, póki fale snu nie przesłoniły oczu.

O świcie, po pobudce, weszli do baraku żołnierze. Kazali Rishidevie, żeby poszedł z nimi. Zaniepokojony Mychajło popatrzył na towarzysza i zapytał:

— Dokąd cię wzywają?

— Nie wiem — rzekł Swami, zeskakując z pryczy. — Spokojnie, przyjacielu. Wszystko będzie dobrze...

Żołnierze zaprowadzili Hindusa do komendanta obozu. W gabinecie siedział oficer niemiecki w mundurze pułkownika. Koło biurka stał mężczyzna w mundurze niemieckim bez naramienników. Z uśmiechem patrzył na Swamiego. Rishideva zdziwił się — człowiek ten był niewątpliwie Hindusem. Obcy zrobił krok naprzód na spotkanie Rishidevy i złożył dłonie w tradycyjnym powitaniu wschodnim.

— Witam cię, Swami Rishidevo!

— Ty mnie znasz? — zapytał zdumiony jeniec.

— Znam. Spotykałem cię w himalajskim aśramie. Któż ciebie nie zna — ulubionego ucznia Bezimiennego Guru?

— Jak się nazywasz?

— Atmananda. Możesz mi mówić po imieniu.

Rishideva uśmiechnął się nieznacznie, nie odezwał się. Następnie przeniósł spojrzenie na oficera, który z ciekawością przysłuchiwał się rozmowie Hindusów.

— Doskonale, Atmanando. Ale mam nadzieję, że nie zostałem wezwany dla prowadzenia towarzyskiej rozmowy?

— O nie! — uśmiechnął się z uznaniem Atmananda. — Sprawa jest poważna. Byłem zdziwiony, kiedy dowiedziałem się, że jesteś w niewoli. A jeszcze dziwniejsze było to, że wstąpiłeś do korpusu ekspedycyjnego. Do ko-

go przystałeś, mądry Rishidevo? Do odwiecznych tyranów, do pyszałkowatych Anglosasów, którzy od wieków wyzyskują nasz naród?

— Jak na ciebie zbyt wiele słów — zachmurzył się Swami. — Przecież wiesz, że jestem daleki od demagogii. Wielka Brytania jako imperium dożywa swych ostatnich dni. Nie ona jest groźna, ale dyktatura nowych pretendentów do panowania nad światem!

Atmananda rzucił na oficera ogniste spojrzenie, zacisnął cienkie sine wargi.

— Więc pogadajmy krótko. Czarnemu Zakonowi potrzebni są tacy ludzie jak ty. Toczy się ostatnia bitwa. Stawaj w szeregach zwycięzców. Jesteś przecież jogiem, powinieś się wznieść nad wszelkie tendencje pseudo-humanizmu!

— Kto jest zwycięzcą? — zapytał spokojnie Rishideva.

— Wielki Nieznany. Wybrał on na wykonawcę swojej woli Niemcy i Hitlera. Kto powstrzyma go, jeśli siły kosmiczne stoją po jego stronie?!

Rishideva zamyślił się. Zrozumiał, że nadeszła decydująca chwila. I nie tylko dla niego, lecz także dla towarzyszy. Niepohamowany Harry, niebieskooki jankes, szczerzy Mychajło z dalekiej Ukrainy. Co się z nimi stanie, jeśli on zginie? Ostrożnie, ostrożnie! Nie wolno zhańbić się ugodą z ciemnością, ale nie należy jej drażnić przedwcześnie.

— Słońce śle swoje promienie na ziemię, by dać życie i radość wszystkiemu co żywe — powiedział cicho. — Nawet drobne owady poruszają się dzięki jego sile. Istota słońca — to miłość. Wasz Wielki Nieznany zalewa krwią naszą planetę, wkłada narzędzia zniszczenia w ręce schizofreników i morderców. On jest przeciwieństwem słońca.

— To jest twoje ostatnie słowo? — zapytał złowrogo Atmananda i oczy mu pociemniały.

Rishideva milczał.

Oficer niemiecki bez słowa podniósł się, z zainteresowaniem obejrzał Rishidewę od stóp do głów, stanął za nim i z rozmachu uderzył go kastetem w głowę.

Swami zemdłał.

Kiedy odzyskał przytomność, ujrzał Atmanandę siedzącego przy biurku i oglądającego swe paznokcie. Atma-

nanda, widząc, że Swami ocknął się z omdlenia, uśmiechnął się sarkastycznie i pokiwał głową.

— Myślałem, że jesteś mądrzejszy, Rishidevo. Czego się tam nauczyłeś, w himalajskim aśramie? Kontemplacji? Modlitwy? Czym jest najświętsza modlitwa wobec konkretnej siły? Najwyższy czas, żebyś zrozumiał tę prostą prawdę. Niepotrzebnie odrzucasz moją propozycję. Od tysięcy lat joga głosi naiwną miłość, a świat przegryza gardło sobie samemu. Dość tego! Wielki Nieznany bierze władzę w swoje ręce. Śmiecie inwolucji zostaną zmiecione, a ci, którzy pozostaną, będą żyli w świetle ładu. Czy chciałbyś zostać jego szermierzem?

Rishideva podniósł się z trudem, siadł na podłodze, spoglądając spode łba na przewrotnego Hindusa.

— Zapominasz o karmanie — powiedział posępnie.

— My jesteśmy twórcami karmana — oświadczył Atmananda. — Karman to siła. Siła popędza nurt karmana. Patrz: pod naciskiem Hitlera ugina się świat.

— Świat już nieraz uginał się pod butem tyranów — odparł twardo Rishideva. — I gdzie oni są? Gdzie są ich imperia? Zmiotła ich wola ewolucji. Nie zapominaj o Atmanie, o Jedynym!

— Atman! — zaśmiał się lekceważąco Atmananda. — Przybrałem jego imię, Atman — to leniwy nurt psychiczny wszechświata, to kanwa, na której wyszywa się wzory rozumu i woli. Atman jest z tymi, co mają siłę. Atman jest z nami.

— Atman jest z tymi, którzy kochają — zaproponował Swami. — Nienawiść dzieli, morderstwa i gwałty rodzą straszliwego karmana zemsty, jedność rozpada się wciąż na nowo na niezliczone cząstki. Strzeżcie się, świętokradstwo jeszcze nigdy nie przyniosło zwycięstwa!...

— Wielki Nieznany panuje na ziemi od milionów lat — rzekł butnie Atmananda.

— Jego kapłani to fałszerze wiedzy — odparł Rishideva. — Poplątali czarne i białe nici. Ludzie zagubili drogę. Pojęcia dobra i zła pomieszały się ze sobą i to stanowi punkt kulminacyjny poczynań ciemnych sił...

— Po co z nim filozofujesz? — krzyknął pułkownik, waląc kastetem w biurko. — Można by pomyśleć, że znajdujemy się w jego aśramie, że przyszliśmy słuchać kretyńskiej doktryny o wszechogarniającej miłości! Tak,

wcale nie ukrywamy tego, nas popierają siły ciemności! A za nią — Siedmiu Nieznanych, twórców ewolucji! Cała potęga Tybetu, cała siła Shambali — jest z nami!

— To bluźnierstwo i kłamstwo — odpowiedział Swami, patrząc w oczy pułkownikowi. — Pan wie o tym dobrze. Wschód stworzył piękne symbole. Shambala — to kosmiczne płomienne braterstwo. Przywłaszczyliście te jasne pojęcia. Z wami są obrzydliwi czarownicy Bon-po i Czarna Łoża. Bojownicy Shambali walczą dziś przeciw wam, zniszczą wasze kohorty, zwyciężą. Możecie mnie zabić. Jestem gotów na wszystko.

— Nie, nie umrzesz tak prędko — powiedział oschle oficer. — Sam będziesz błagać o śmierć. Komendancie, rozumieliście?

— Tak, szefie. My już umiemy to robić! — rozległ się obleśny głos od drzwi. — Ta brudna brązowa hiena sama poprosi o śmierć!

— Słyszałeś, Atmanando? — powiedział z wyrzutem w głosie Rishideva, podnosząc się z podłogi. — Nie powiedzą ci tego w oczy, ale jesteś dla nich taką samą brudną hieną!

Atmananda milczał. Żołdacy rzucili się na Swamiego, na znak pułkownika popędzili go uderzeniami kolb do wyjścia i zaprowadzili z powrotem do baraku.

Kiedy wieczorem jeńcy wrócili z kamieniołomu, zastali Swamiego siedzącego na pryczy. Był blady, zmęczony, na czole miał siniec. Sąsiedzi z dolnych nar przyglądali mu się i szeptali między sobą. Mychajło podbiegł zaniepokojony:

— Bili cię? Za co?

Rishideva nie poruszył się nawet, nie odpowiedział. Wśród zgromadzonych jeńców rozległy się okrzyki oburzenia na oprawców. Bojak krzyknął rozdrażniony:

— Kolacja, do kolacji! Nie robić zbiegowiska! Nie widzieliście jeszcze, jak biją? Każdy dostanie swoją porcję!

Swami drgnął, spojrzenie jego głębokich oczu zatrzymało się na Mychajle. Powiedział cicho:

— Zabierz moją kolację. Nie chce mi się jeść...

— Swami — powiedział Mychajło głosem pełnym

współczucia — co się stało? Na miłość Boską, dlaczego nic nie mówisz?

— Po kolacji — rzucił lakonicznie Rishideva.

Harry i Mychajło zamilkli. Nie mogli jeść. W duszy narastało przeczucie złego. Po apelu wleźli znów na pryce, skupili się w kącie. Hindus powiedział:

— Wybiła moja godzina...

— Co takiego — obruszył się Amerykanin.

— Nie mamy ani jednego dnia do stracenia.

Rishideva opowiedział przyjaciółom o wszystkim. Amerykanin milczał, zasłonił oczy dłonią. Mychajło rozłożył ręce:

— Swami, nic nie rozumiem. Jestem jak dziecko. Gdzie tu prawda? Czy rzeczywiście istnieje jakaś Czarna Łoża, magia, czarnoksiężstwo?

— Od bardzo dawna — rzekł surowo Rishideva. — Od tysiącleci. Gdybyś był w Tybecie lub w Indiach, przekonałbyś się! Oni są ukryci, wtajemniczeni, związani przysięgą. Kiedy zjawił się Hitler, czarny okultyzm postawił na niego. To groźny atut, sami wiecie!

— Nonsens — odezwał się Harry. — Nie wierzę. Moim zdaniem wszystko jest bardzo proste. Hitler jest przedstawicielem wielkich koncernów. Jest tylko marionetką w ręku wielkich potentatów, worków z pieniędzmi...

— On jest marionetką — zgodził się Hindus smutno. — Ale kierują nim nie tylko worki z pieniędzmi. To byłoby zbyt prymitywne. Wojna toczy się nie tylko między faszyzmem i komunizmem, między despotyzmem i demokracją... Walka toczy się także między kulturą i dzikością, między pięknem i szpetotą. Za każdym pojęciem stoją realne siły, grupy ludzi. Cały świat podzielono na światłocienie. Każdy wybiera sobie miejsce według serca, zgodnie z rozumem. Pomyślcie, jak konsekwentnie działa Hitler: pali książki, niszczy muzea, świątynie, morduje inteligencję, zmiata z planety całe narody. Czyżby to była po prostu obłąkana wola paranoika, który zagarnął władzę? Wobec tego jaki jest związek między nim a licznymi kołami lamów tybetańskich? Jeszcze przed dojściem do władzy Hitler i jego zwolennicy wysłali ekspedycje do Tybetu, w Himalaje. Niemcy namalowali na swoim sztandarze starożytny symbol okultyzmu — swastykę. W Berlinie powstały całe kolonie Tybetańczyków, miesz-

kają tam mnisi, lamowie. Oni kierują akcją Czarnego Zakonu, który tajemnie łączy wszystkich najwybitniejszych nazistów, wielu uczonych i polityków. Czarny Zakon pragnie władzy nad światem. Dla osiągnięcia tego celu wszystkie środki są dozwolone. Niemcy — kraj starej kultury — propagują dziś reakcyjne doktryny okultyzmu w sferze nauki. Oszkalowano osiągnięcia Einsteina, Bohra, zlekceważono szlachetne idee Hegla, Kanta. Cóż warta jest na przykład taka koncepcja: wszechświat to tylko otwór w gigantycznej kosmicznej skale. Otwór wypełniony jest powietrzem, w centrum — próżnia, w chmurach gazów pływają błyskotki — gwiazdy, Słońce — to mały świecznik, Ziemia jest jedynym zamieszkałym światem. Na naszą planetę przyszli Wielcy Nieznani — istoty rozumne „spoza granic”, „z tamtego świata”. Siłą i okrucieństwem zaprowadzą na naszej planecie nowy ład, stworzą nową, „doskonalszą” rasę...

— Ale co to im daje? — zapytał zdumiony Mychajło. — Magia, zabobony... Co z tego ma Czarny Zakon?

— Magia to straszna siła — odpowiedział poważnie Swami. — Defilady z pochodniami, milionowe zgromadzenia, nieskończony tantryzm przemówień obłąkanych wodzów. To otumania tłum, pozbawia indywidualności, przekształca każdego uczestnika tych akcji w komórkę słuchową. Dochodzi do głosu żywioł, atawizm naszego jestestwa. Precz z nauką, precz z oświatą, precz z kulturą! Wszystko jest dozwolone! Niech żyje zwierzę! Idei nieskończoności i nieskończonej ewolucji człowieka przeciwstawiono ideę zamkniętego świata i podporządkowania się kosmicznym despotom, których wola jest prawem. Czarny Zakon przewidział wszystko. Kościoły nie ostały się, nie wytrzymały poznania naukowego, tytan rozkuł samego siebie i powraca do swego domostwa, do nieskończoności. Tajemne okultystyczne stowarzyszenia ciemnych sił, istniejących od wieków, wyciągnęły ręce do faszyzmu. Interesy magnatów finansowych zetknęły się z interesami Czarnej Łoży. Ich plan — to zniszczyć naukę, zniszczyć kulturę, dać ludziom ograniczony, prymitywny pogląd na świat i wskrzesić kult okrutnego bożyszczka, Wielkiego Nieznanego. To nie jest zwykła walka, moi przyjaciele! Na szalach waży się los całej planety, być może nawet więcej niż planety...

— W głowie mi się kręci — wyszeptał Mychajło.

— Nic dziwnego — rzekł Swami. — Czarny Zakon wykorzystał dla swego celu najświętsze symbole Wschodu — Shambala, Kalapa, Aharta...

— Po co?

— Po to, by uwikłać ludzi, by odepchnąć poszukiwaczy światła od idei ewolucji. Z dawien dawna opowiadają w Himalajach legendę o wielkich mędracach, którzy mieszkają na szczytach gór. Mówią, że utrzymują związek z dalekimi światami, że niekiedy zjawiają się sami wśród ludzi...

— Nie rozumiem — odezwał się Harry. — Kim są wobec tego ci, którzy pomagają Hitlerowi? I dlaczego wykorzystują szlachetne idee?

— Kamuflaż! To chyba jasne? Obok idei Światła kroczy idea Ciemności. W Tybecie jest mnóstwo klasztorów czarnej wiary Bon-po, Dug-pa. Wszystkie one złączone są w potężny zakon, związane z czarnym okultyzmem europejskim. Splugawiono wszystko, co najświętsze, najczystsze, zmacono idee. Zatrzymać tego procesu nie można, czarne siły muszą ujawnić swój cały potencjał. Wkrótce zbliży się do końca Kali-juga, Czarna Epoka. Tak mówią nasze księgi hinduskie. Przed końcem Kali-jugi, przed początkiem Satja-jugi, Epoki Światłości, wszystko, co najohydniejsze, ujawni się w tym lub innym kształcie...

— To straszne — powiedział Mychajło. — Aż trudno uwierzyć...

— Swami — odezwał się Harry — a może przesadzasz? Masz fantastyczne pomysły, wyobrażenia mistyczne...

— Nie ma faktów mistycznych czy realistycznych — odpowiedział Hindus surowo, spoglądając na Harry'ego. — Jestem po stronie prawdy. Nie chcę chować głowy w piasek jak struś... Nie powiadam po to, by się sprzeczać. Nie boję się gróźb Niemców. Myślałem o was...

— O nas?

— Tylko o was. Nie zapomniałeś o swym planie, Mychajło?

— Nie — szepnął chłopiec. Popatrzył w dół, nasłuchując. — Położyli się spać. Co proponujesz?

— Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Popieram twój plan. Zrobię wszystko, co będę mógł...

— Jak?

— Wolę o tym nie mówić. Zaufajcie mi. Stanie się tak, jak powiedziałem. Nie spieraj się ze mną. Wszystko jedno, nie wymyślisz nic innego. I nie ma czasu do namysłu. Jeśli mnie zabiją — to z wami koniec. Chcę, żeby do tego nie doszło. Jeszcze pomożecie innym... Śpijmy...

Mychajło nie mógł zasnąć, krążyły mu po głowie fantastyczne myśli. Fale różnych uczuć zalewały serce chłopca. To radość wkradała się do serca, napełniając całą istotę trwożnym przecuciem wolności, to ogarniał strach, malując obrazy okrutnej rozprawy, rozstrzeliwań, prześladowań. Te widzenia stopniowo zmieniły się w sen. Ale we śnie Mychajło również przekradał się pod drutami, biegł po skałach, przepływał przez burzliwe potoki.

Przebudzenie było ciężkie. Swami nie jadł śniadania, nie odpowiadał na pytania. Dopiero przy wyjściu z obozu rzucił krótko:

— Więc nie zapomnij, Mychajło...

W kamieniołomie podbiegł do Mychajły zaniepokojony Bojak i spytał:

— Co się tam stało? Kapo obiecuje, że pokaże nam numer cyrkowy z Hindusem. To znaczy, że tamci zdecydowali o jego losie... Powiedz mu, rodaku...

— Rozumiem — odezwał się Swami. — Nie martw się, starosto... Spróbuję sam...

Bojak odszedł. Mychajło zbliżył się do Hindusa, szepcząc gorąco:

— Napadniemy na kapo, zabijemy go. Potem wozem na pełnym gazie przebijemy się przez warty. Czy to da się zrobić?

— Szaleństwo — splunął Amerykanin. — Bez broni. Żeby przynajmniej automat i kilka granatów.

— Nie wolno wam nic robić — rozkazał surowo Hindus. — Cierpliwości. Wkrótce odzyskamy wolność. Umieście trzymać się w garści!

— Swami — nie mógł się opanować Sahajdak. —

Swami, przecież opanowałeś jogę, zahipnotyzuj kapo, potem kierowcę.

Hindus spojrział z żalem na Mychajło, przeniósł spojrzenie na olbrzymie białośnieżne szczyty. Uderzył łomem w kamień.

— Będiesz jeszcze musiał dużo przeżyć, zanim zrozumiesz prawdę, Mychajło. Właśnie o to rozeszły się moje drogi z tymi, którzy chcieli mnie wczoraj złamać. Oni nie liczą się z wolą ludzi. Karman każdego człowieka jest dla nich splunięciem. Można go zdławić, podeptać. A tradycje Shambali, nauka Kalaczakry stawia ponad wszystkim wolną wolę człowieka. Każdy gwałt powróci jak bumerang. Potok poniesie tych, którzy odważnie weń skoczą... O, idzie kapo... Bierzcie się do taczek, ja będę nakładać...

Kapo, uśmiechając się krzywo, stanął przy Rishidevie, założył ręce za plecami. Hindus nie zwracał na niego uwagi, tłukł młotem w kamienie.

— Hej, ty! — wrzasnął kapo. — Dlaczego nie wozisz?

— On nam nakłada — powiedział Mychajło. — A my wozimy we dwóch...

— Nie ciebie pytam — rozwścieczył się kapo i uderzył go pałką. Sahajdak krzyknął, na jego czole wystąpiła purpurowa pręga, ukazała się krew. — Won stąd! A ty, hinduska hieno, bierz taczki! No już! Czegoś wytrzeszczył ślepie?

Rishideva w milczeniu podszedł do taczek i zatrzymał się. Kapo dał znak Sahajdakowi:

— Wrzucaj kamienie. Ale dużo!

Mychajło, ocierając dłonią krew z czoła, pośpiesznie wrzucił na taczki kilka kamieni. Hindus ujął uchwyt, chciał odwieźć ładunek.

— Stój — warknął kapo. — Mało! Wrzucaj jeszcze! Jeszcze! Słyszysz, co mówię?

— Przecież on nie da rady — powiedział Mychajło.

— Więcej! — wściekał się Niemiec. — Tak! Teraz wieź!

Rishideva z wysiłkiem ruszył taczki z miejsca, koły sały się na desce, zataczały się. Hindus napiął wszystkie mięśnie, twarz mu zszarzała. Łkanie wybuchło w piersi Mychajły. Chciał rzucić się na wroga, chwycić go za gardło i rwać na strzępy, gryźć, deptać nogami. Jeńcy,

którzy pracowali w pobliżu, odwracali się, pochyleni, kruszyli szybko głazy. Kapo szedł obok Swami, rechotał wymachując pałką. Na wzniesieniu przed pagórkami taczki przewróciły się z hałasem, kamienie rozsypały się. Kapo zaklął i uderzył Hindusa w plecy. Swami nie krzyknął, błyskawicznie skoczył w bok. Pałka podniosła się nagle do góry, lecz nie opadła. Rishideva patrzył na Niemca groźnym spojrzeniem. Niemiec cofnął się, twarz drgała mu nerwowo, oczy biegały.

— Zaraz — mamrotał — zaraz sprowadzę konwojentów. Ty u mnie zapłaczesz! Ty u mnie zapłaczesz, podły bydlaku!

Odwrócił się i rzucił biegiem do najbliższego posterunku. Swami, dysząc ciężko, zbliżył się do przyjaciół. Uśmiechnął się boleśnie. Skinął na Harry'ego. Dotknął palcami ręki Mychajły.

— Koniec. Przyszedł czas. Szukajcie pod tym głazem...

— Co? Co powiedziałeś? — zawołał Mychajło.

— Domyślcie się. Żegnajcie.

Hindus raptownie puścił się pędem w stronę urwiska. Jeńcy patrzyli za nim zdumieni, lecz milczeli. Amerykanin powiedział smutno, z gorzkim uśmiechem:

— Oszalał! Zabiją go...

Widać było, jak Hindus wspina się na występ skalny i zrećźnie wchodzi na nieomal pionową ścianę. Jeńcy wstrzymali oddech. Nie słychać było nawet uderzeń młotków, tylko samochody warczały cicho. Nagle rozległo się wycie syreny. Huknęły wystrzały. Jeńcy upadli na ziemię.

— Padnij! — zawołał Harry, chowając się za skałę. — Zabiją!

Mychajło skrył się za głazem. Wzruszony patrzył na małą zieloną postać wdrapującą się po stromym zboczu. Dokoła niej wybuchały małe fontanny pyłu, wznoszone przez kule bijące w granit skał, lecz Swami nie zatrzymał się.

Łzy zalewały Mychajle oczy, usta szeptały machinalnie:

— No, jeszcze trochę, jeszcze troszeczkę! No, Swami, pośpiesz się!...

Wiedział, że nie ma nadziei, wiedział, że dla Hindusa nie ma ratunku, lecz wkładał całe serce w milczącą

modlitwę, w niewidzialną obronę, jaką dusza posyłała skazanemu na śmierć przyjacielowi.

Z posterunku rozległ się terkot następnego karabinu maszynowego i kilku automatów. Nad pionową ścianą, po której pełził Hindus, skłębiły się chmury pyłu. Zdumieni więźniowie widzieli — Swami nie pada, zbliża się do wierzchołka pierwszego grzebienia. Jeszcze trochę, jeszcze chwila, a kule już nie dosięgną zbiega!

Hindus sięgnął rękami do zbawczego gzymsu, podciągnął się w górę, stanął na skale. I nagle upadł.

Mychajło krzyknął, odwrócił się, zapłakał z rozpacz. Strzelanina ucichła. Koło Sahajdaka rozległy się kroki, głos Harry'ego:

— Wstawaj, Mychaj... Swamiego nie ma...

Sahajdak podniósł się, zmętniałym spojrzeniem ogarnął towarzysza, szepnął gorzko:

— Jakże tak, Harry? Jakże tak?

Z lękiem popatrzył na skałę. A może to nieprawda? Może zdawało im się tylko? Nie, między głazami widać było wyraźnie zawój, zieloną koszulę. Nad górami krążyły z krzykiem ptaki. Od strony posterunku kontrolnego nadchodził kapo. Zrównawszy się z Sahajdakiem i Harry'm, powiedział pogardliwie:

— Patrzcie i pamiętajcie! Taki los spotka każdego, który spróbuje uciekać!

Mychajło bez słowa ładował kamienie. Kiedy kapo odszedł, powiedział zwracając się do Harry'ego:

— To są mity... zmyślenia... Biedny Swami pocieszał sam siebie. Guru, joga — to wszystko są urojenia... My tak samo zginiemy. Nie ma wyjścia z tej przekłetej pułapki...

Zamyślony Harry patrzył gdzieś w bok. Potem rzekł cicho:

— Co on chciał powiedzieć? Czego mamy szukać pod głazem?

Mychajło obojętnie machnął ręką i potoczył taczki do samochodu. Ogarnęło go uczucie beznadziejności, pogrążył się w apatii. Zgasła ostatnia iskra nadziei...

Wieczorem przyszedł do niego starosta, odprowadził na bok i zapytał chmurnie:

— Za co go utłukli?

— Proponowali, żeby przystąpił do nich — niechętnie odpowiedział Mychajło. — Ale nie chciał...

— To był dzielny człowiek — westchnął Bojak. — Nieprzekupny. A wśród nas jest wielu takich, co z przyjemnością... byle im tylko zaproponowano...

— Słuchaj, rodaku — zapalił się raptem Sahajdak, rozglądając się ostrożnie na wszystkie strony. — Nie zapomniałeś o naszej rozmowie? Może masz przypadkiem znajomych... chłopców...

— Jakich chłopców? — starosta zmrużył chytrze oczy.

— Gorących... takich, co nie boją się niczego... można byłoby...

— Rozumiem — uśmiechnął się Bojak. — Ale z ciebie ziółko. Przypadkowo takiego nie mam. A nieprzypadkowo mam. Cyt! Ani słowa! A ty co myślałeś, że będziemy tu wegetować do śmierci? Twojemu sąsiadowi można zaufać?

— Jak sobie samemu — powiedział Mychajło, chwytając Bojaka za rękę. — Bojaku, bądź pewny! Tylko powiedz, kiedy...

— Dość! — skinął starosta. — Ani słowa więcej. Sam przyjdę, jak będzie trzeba...

Ruszył wzdłuż prycz, rozmawiając z jeńcami. Mychajło mrugnął do Harry'ego, proponując wyjście na dwór. Krążyli za barakiem, rozmawiając po cichutku.

— Masz jakieś nowiny? — zapytał ciekawie Harry.

Mychajło potwierdził kiwnięciem głowy. Niepostrzeżenie obejrzał się dokoła i rzekł cicho:

— Będzie dynamit!

— Kiedy? Prędko? — zawołał Amerykanin ściskając mocno rękę Mychajły.

— Cicho! Nie gnieć tak. Boli... Jeszcze nie wiem... Powiedzą nam...

Harry cofnął się o krok, stanął bez słowa. Patrzył na góry spowite wieczorną mgłą, na jaskrawy, pomarańczowy horyzont. Oczy mu błyszczały. A może to łzy? Mychajło obserwował go, dziwił się. Cóż to za dziwna istota — człowiek. Pełna sprzeczności i niespodzianek. Dziś Harry jest szczęśliwy, bo istnieje możliwość podjęcia strasznego ryzyka ucieczki. A może później, kiedy dożyje sta-

rości, ta chwila nieustraszonej śmiałości będzie mu się wydawała czymś nieprawdopodobnym.

— Swami — powiedział smutno Amerykanin. — Swami. Jeszcze trochę, a on...

— Swami mówił o mai — rzekł gorzko Sahajdak. — I sam żył w niej. Złudny światopogląd, złudne nadzieje...

Harry próbował zrozumieć, co powiedział Mychajło, powtórzył w zamyśleniu:

— Maja... Kto wie, czym ona jest?

Wrócili do baraku, w milczeniu zjedli wieczorną supkę, położyli się spać. Obaj żyli podwójnym życiem, podwójnym uczuciem: jeden strumień jak zwykle płynął w realnym świecie — odbywała się właśnie kontrola, wśród jeńców było gwarno, ktoś śpiewał tęskną piosenkę, gdzieś kłócono się: to Francuzi — a subiektywne pragnienie wyprzedzało rzeczywistość, tworzyło wymarzone obrazy. Wystrzały, eksplozje, ucieczka, gęste lasy i twarze ukochanych, bliskich ludzi. Oby tak się stało!

Sen nie przychodził długo. Mychajło zatonął w półśnie. Widział góry i — nad przepaścią — zwłoki Swamiego w zielonym mundurze wojskowym. Nad nim unoszą się czarne ptaki, siadają mu na piersi, wydziobują oczy. Mychajło chce rzucić się na nie, odpędzić je, by nie szarpały martwego towarzysza, lecz mięśnie nie słuchają go, ciało jest nieposłuszne. Gdzieś we mgle płyną przezroczyste postacie kobiece. Kto to jest? Rusalki czy duchy górskie? Widać zbolale twarze, spracowane ręce. Nie, to nie rusalki, to matki, siostry, ukochane. Oto matka Mychajły. Chce upaść jej do nóg, opowiedzieć o swej niewoli, lecz nie czuje własnego ciała.

A kobiety nie widzą Mychajły, oplakują teraz żołnierza-Hindusa, męznego kszatriję, który nie bał się śmierci. Nad nim zjawiają się postacie żołnierzy o smutnych pochylonych głowach i bezsilnie opuszczonych rękach. Płyną dźwięki smutnej pieśni — dawnej, a takiej znajomej, bliskiej. Z bólem pytają matki żołnierzy:

— Oj, wy kozaczkowie, oj, wy, młodzieńcy.
Gdzież są wasze spisy?

Ledwie uchwytnym westchnieniem toczy się nad górami odpowiedź synów, udręczonych niewolą, wrażą przemocą:

— Nasze spisy są u wroga gdzieś.
A my sami w lesie.

— Oj, wy, kozackowie, oj, wy, młodzieńcy,
Oj, gdzie wasze konie?

— Naszych koni mocny łańcuch broni,
A my sami w niewoli...

Nagle Swami podnosi się z ziemi, rozgląda się. Słysząc jego zdziwiony głos:

— Jak długo spałem... Ogarnęła mnie mąka... Harry, Mychajło, gdzie jesteście? Słyszycie mnie?

Postacie matek, żołnierzy rozplynęły się, czarne ptaki uleciały pod niebo, krzycząc złowieszczą. Sahajdak przebudził się, obłany zimnym potem. Za oknem ranek otwierał zaspane oko, na dolnych narach modlili się cicho Polacy.

Mychajło słyszał jeszcze przeciągłe słowa pieśni, głos Swamiego pełen wyrzutu rozbrzmiewał w świadomości. Co to takiego? Czyżby igraszki wyobraźni? Człowieka już nie ma, a jego wizerunek zjawia się w snach, dręczy i wprowadza zamęt w myślach...

Mychajło już nie mógł zasnąć. Wkrótce obudził się Harry. Umyli się szybko, zjedli śniadanie. Podszedł do nich Bojak. Powiedział cicho:

— Ja będę w waszej trójce. Byle nie natrafić na szpicla...

Dzień był pochmurny. Nad górami płynęły niskie ołowiane chmury. Spowity ośnieżone szczyty, opadały w doliny. Przy wejściu do kamieniołomu rewidowano jeńców starannie, kazano zdejmować buty, zagładano do ust. U dwóch jeńców znaleziono małe nożyki, zrobione z kawałków stali. Bito ich bezlitośnie wyciorami. Jeńcy, zaszępieni, patrzyli w milczeniu na egzekucję. Po tym widowisku rozległ się sygnał rozpoczęcia pracy. Zadudniły taczki, rozległ się znieprawiony głos kapo.

Bojak popatrzył na skalny grzbiet i wzdychając powiedział:

— Leży. Nawet pochować człowieka nie można...

Mychajło w milczeniu popatrzył w tamtą stronę. Wszystko jak wczoraj. Zielony zawój, rękaw. Sen, sen — urojenie chorego umysłu...

Harry, który od razu podszedł do skały, przed którą leżały młoty i łomy, jakoś dziwnie krzyknął, a potem podbiegł do towarzysza. W jego oczach lśniły płomyki obłędu czy zuchwalstwa.

— Mychaju, powiedziałeś: maja?

— Co ci się stało, Harry? — spytał zaniepokojny Mychajło. — Czy nie jesteś chory?

— Ech, chyba nie! — stwierdził Bojak. — Ale jakoś dziwnie się zachowuje...

— Mychaju — powiedział nerwowo Amerykanin. — Swami żyje...

Mychajło rozejrzał się dokoła, wziął Harry'ego za rękę. Powiedział łagodnie:

— Dobrze, dobrze, Harry. Potem pogadamy. Rozumiem, że ci jest bardzo ciężko...

— Do licha! — burknął Harry. — Słuchaj, napisał do nas... Masz...

Amerykanin otworzył dłoń, w której trzymał małeńki prostokątny kawałek papieru.

— Czytaj. Tylko, żeby nikt nie zauważył...

Mychajło schwycił papierek, na którym było coś napisane po angielsku i po rosyjsku. Litery rozpływały się, z oczu Mychajły popłynęły łzy. Co to jest? Jak to jest możliwe? Przecież tam leży trup... Leży... A tu jest napisane: „Przyjaciele, zostawiam dwa automaty, dziesięć granatów. Porwicie samochód. Pomogę wam. Swami”.

Mychajło przetarł oczy, jeszcze raz przeczytał list. Straszna fala chłodu uderzyła w plecy, przepłynęła przez ciało. Czyżby to prawda? A może to prowokacja wrogów? Chcą wykryć, kto przygotowuje ucieczkę?

— Co tam — szepnął Bojak. — Nie rozumiem, co się stało.

Mychajło nie odpowiedział, podszedł do Harry'ego i zapytał trwożnie:

— Prowokacja?

Amerykanin zaprzeczył ruchem głowy. Wskazał oczami na kamień.

— Jest wszystko. Dwa automaty. Zapasowe magazynki. Granaty...

— Ale w jaki sposób...

Stropiony Mychajło wskazał na góry.

— Nie wiem. Fakt — odparł Harry.

Sahajdak zwrócił się do Bojaka, który starannie układał deski pod taczki. Do pagórka podjeżdżał samochód.

— Bracie — powiedział podniecony. — Musimy zacząć teraz. Natychmiast...

— Co zacząć? — starosta nie zrozumiał go. — Powiedz, co się stało?

— Hindus nie umarł. Przekazał nam broń. Dopóki nie wykryli...

— Tak — rzekł Bojak. Splunął w ręce, chwycił za młot i uderzył kilkakrotnie w kamień. Potem odrzucił młot, nabrał głęboko powietrza w płuca, poskrobał się w kark. Podeszedł do Harry'ego, pochylił się nad głazem. Jak zaczarowany spojrział na oksydowane lufy automatów.

— Zawinąć we frencz. Który z was umie prowadzić samochód?

— Harry — odrzekł Mychajło.

— Idźcie pierwsi. Ja za wami. Granatami podzielimy się z towarzyszami. Oni dadzą dynamitu, będzie weselej! Spieszcie się, ciągnijcie taczki, a ja pójdę i porozumiem się. Sygnałem będzie nasz napad. Kapo bierzemy na siebie...

Skinął głową i ruszył wzdłuż desek — mały, spokojny, barczysty. Nagle rozległ się jego dźwięczny głos:

— Weselej, weselej, bracia!

Mychajło i Harry przykryli broń szmatami, potem wzięli się do taczek. Ładowali i wozili w milczeniu, zaciekle, nie patrząc na siebie, jak gdyby w obawie, żeby upragnione, wymarzone nie stało się znowu złudą. Wkrótce powrócił Bojak, głośno wytarł nos i rzekł niedbale:

— W porządku...

— Zaczynamy? — zadrżał Mychajło.

— Poczekaj. Ten samochód już odjeżdża, pełno w nim kamieni. O, nadjeżdża drugi. Kapo — nożem. Sam się z nim uporam. Ty z kolegą załatwicie kierowcę... No, chłopcy, we trzy taczki... Postarajmy się na ostatek...

Błyskawicznie umieścili broń w taczkach, obłożyli kamieniami. Serce biło Mychajle jak dzwon. Harry zbladł, ale był spokojny. Dowieźli taczki do samochodów. Bojak szedł pierwszy. Wrzucił kamienie do wywrotki, wskoczył do wozu i coś krzyknął. Od sąsiedniej grupy odłączył się kapo i podszedł do starosty. Rozległ się głuchy jęk. Kapo upadł. Mychajło błyskawicznie skoczył w dół, skierował automat na szofera. Kierowca wypuścił z rąk papierosa, wybałuszył przerażone oczy, coś mamrotał.

— Kładź się — syknął Harry.

Niemiec runął na ziemię. Mychajło ogłuszył go kolbą. Obok sąsiednich wozów już krzatali się jeńcy. Harry siedział w szoferce, włączał silnik.

— Wsiadać! — powiedział nerwowo Amerykanin.

Bojak i Mychajło wleźli do nadwozia, schylili się. Chłopiec szczekał zębami, ręce mu drżały.

— Broń w pogotowiu? — rzeczowo zapytał starosta. — W porządku! Granatki? No, bracie, zabawimy się!

Wóz szarpnął i od razu przyspieszył. Bojak krzyknął z wyrzutem:

— Sojusznik denerwuje się!

Za pierwszym wozem ruszyły trzy dalsze. Kamieniołom ucichł, oczekiwał czujnie. Przed bramę wyjazdową wybiegli strażnicy, jeden z wartowników podniósł ręce do góry.

— Granaty — powiedział głucho Bojak.

Zadudniły głucho eksplozje. Wartownię spowił kłęb dymu. Wesoło zaterkotały serie z automatów. Kilku wartowników upadło, psy zaczęły szczekać ze strachu i wściekłości. Z pomieszczenia wyskakiwali Niemcy, zagdakał karabin maszynowy. Bojak krzyknął, schwycił się za pierś, na jego szyi ukazała się krwawa plama, runął na dno nadwozia.

Harry wyprowadził wóz za bramę, skręcił ostro. Podskoczyły inne wozy, posypały się z nich granaty z ładunkami dynamitu. Straszne wybuchy rozniosły w strzępy drewniany budynek. Wystrzały ucichły. Tylko wśród resztek budynku słychać było skowyt psów.

Spoza skał wysunęła się postać w niemieckim mundurze, z automatem w rękę. Mychajło podniósł automat — powstrzymał go znajomy głos:

— Nie strzelaj, Mychajło!

Harry otworzył drzwiczki szoferki, zeskoczył, podbiegł do Hindusa i objął go. Śmiał się, błyskając białymi zębami, i ścisnął Swamiego w niedźwiedzich objęciach.

— Dość, dość, Harry! — krzyknął Swami. — W drogę! Wkrótce ruszy pościg! Na autostradę!

Wlaź na pierwszą wywrotkę, zobaczył martwego Bojaka. Dotknął ręką czoła i piersi. Napotkał zdziwione, niemal przerażone spojrzenie Mychajły. Kamieniołom zaszumiał, jeńcy wsiadali do samochodów, wyjeżdżali za bramę. Harry wysunął się z kabiny, wołając:

— W góry, towarzysze! A tam — niech każdy wybiera sobie drogę!

Wozy ruszyły. Zaśpiewał wiatr, powiało chłodem. Zadudniła nawierzchnia mostu pod kołami. Na zakręcie, już po drugiej stronie potoku, w przerażeniu odskakiwały przed kolumną oszalałych wywrotek krowy, ludzie, kury.

Mychajło trzymał się kurczowo kabiny, z niedowierzaniem spoglądał na Hindusa. Skąd się wziął? I jak? Zmartwychwstał? Oczy nie mogą uwierzyć, uszy nie wierzą usłyszonym słowom, ale przecież on jest, jest! I dopomógł zerwać łańcuch niewoli!

Swami ma gołą głowę, zawój znikł, ubrany jest w niemiecki mundur. Na wietrze rozwiewa się jego gęsta czupryna, w brodzie zaczął się chytry uśmiech. Spoziera na Mychajłę, milczy. Wreszcie chłopak nie wytrzymuje.

— Swami, jakżeż ty?

— Co?

— Przecież ciebie...

— Nie! Nie zabili mnie. Nawet nie zranili. Upadłem umyślnie. Żeby się uspokoił. Gdybym nie upadł — szukaliby w górach, wzmocniliby strażę...

— A dziś? — zapytał zdumiony Mychajło. — Przecież tam leży...

— Strach na wróble — roześmiał się Hindus. — Zawój, koszula... A ja zdobyłem niemieckie szmaty...

— A broń?

— Za dużo chcesz wiedzieć — krzyknął Hindus. — Wystarczy już to, co się stało! Szkoda Bojaka! Dobry człowiek! Ale trudno, zginął za przyjaciół!

Kolumna wyjechała z autostrady na głuchą górską drogę. Dokoła jak mur wznosiły się lasy jodłowe, między drzewami snuły się gęste mgły. Harry podjechał nieco

dalej i zatrzymał się nad urwiskiem. W dole szumiała mała rzeczka. Amerykanin wyszedł z kabiny.

— Co się stało? Dlaczego zatrzymaliśmy się?

— Kto chce, niech jedzie dalej — powiedział Harry. — Nie wiemy, dokąd prowadzi ta droga! Możemy napotkać żandarmów, esesmanów — wymordują nas wszystkich! Trzeba uciekać w góry. Podzielimy się na grupy — i w nogi.

Hindus i Mychajło przenieśli zwłoki Bojaka na ziemię. Zanieśli na ubocze, umieścili w zagłębieniu. Obłożyli darnią i kamieniami. Harry tymczasem uruchomił samochód i skierował go w stronę urwiska. Potem zepchnął dymiącą i rozlatującą się wywrotkę ze skał. Ten sam los oczekiwał pozostałe wozy. Jeńcy żegnali się, znikali między skałami, w gęstwinie leśnej. Swami, Mychajło i Harry zatrzymali się przez chwilę nad miejscem ostatniego schronienia Bojaka, zabrali broń i wyruszyli na oślep. Po drodze ustalili kierunek — dopomogły im buki pokryte mchem — jednomyślnie postanowili iść na południe. Gdzieś tam jest Jugosławia, partyzanci, potem będzie można przedostać się do ojczyzny. Byłe wyżyć, byle nie znaleźć się znów w niewoli...

Aż do zmroku szli w milczeniu, czujnie, trzymając broń — w pogotowiu. Gdy natrafili na strumień, brnęli około kilometra w wodzie, by na wszelki wypadek zmylić ślady. Skały wspiwały się jedna na drugą, ścieżek nie było, trzeba było nieustannie szukać przejść między głazami. Harry'emu odpadła podeszew od buta, Mychajło dopomógł przywiązać ją sznurkiem. Las rzedniał, ukazały się karłowate krzewy cedrowe. Droga przez nie była trudniejsza niż między skałami. W pewnym miejscu wyskoczyła z gęstwiny kozica i zaczęła miotać się wśród pokręconych gałęzi. Amerykanin podniósł automat, chciał strzelić: Swami powstrzymał go.

— Co ty? — krzyknął podniecony Harry. — Taka zdobycz! Jestem głodny jak rekin!

— My sami jesteśmy teraz zdobyczą — powiedział cicho Hindus. — Proszę cię, nie strzelaj. Zjedz kawałek chleba. Zabrałem ze sobą.

Swami wyjął z torby bochenek chleba i przełamał na połowę. Mychajło zaczął chciwie jeść, dziękując Rishidewie kiwnięciem głowy.

— Skąd to wzięłeś?

— Stamtąd, skąd i broń. W nocy nie było warty. Kamieniołom był pusty. Przedostałem się tam, zdjąłem kłódkę z drzwi kuchni. Jest tam mały skład, amunicja, produkty, broń, naboje.

— Dowiedziałeś się przedtem o wszystkim? — zaciekawiał się Harry, żując chleb.

— Tak — odparł lakonicznie Swami.

— Miałeś szczęście — powiedział wesoło Amerykanin. — Lawina ognia, a jednak nie trafili. Serce mi zamarło...

— Miałem szczęście? — powtórzył Hindus, spoglądając jakoś dziwnie na przyjaciół. — Nie wiem. Ode mnie nic nie zależało.

— A od kogo? — zdziwił się Mychajło.

Swami nie odpowiedział. W zamyśleniu odłupał od pnia cedru smolistą narośl i powąchał ją, po czym spojrzął bacznie na Sahajdaka.

— Ciężko było? — zapytał ciepło.

— Ciężko — przyznał się chłopak. — Upadłem na duchu. Myślałem, że dużo nagadałeś, a naprawdę...

— Wiem... To jest właśnie najważniejsze, zachować wiarę i cierpliwość. Jeszcze Budda powiedział, że łatwiej jest znaleźć ascetę, który je liście i korzenie, niż człowieka cierpliwego. Ludzie pragną, by wszystko było po ich myśli, tak jak się przyzwyczaili...

Amerykanin dojadł chleb, zebrał okruchy z kolan, z żalem popatrzył na puste ręce. Zerwał kilka listków szczawiu i zaczął żuć. Hindus uśmiechnął się.

— Mam jeszcze dwa chleby. Starczy na dwa dni. A potem postaramy się gdzieś... No co, czas na nas?

Ruszyli dalej. Natknąwszy się na potoczek, Mychajło i Harry napili się do woli przezroczystej wody, zimnej i orzeźwiającej. Hindus nie pił, ochłodził tylko twarz i ręce.

Minąwszy las cedrowy, wyszli na rozległą łąkę. Strzępy chmur płynęły pod nimi, nad nimi błękitniało niebo, słońce purpurowym kręgiem osiadało za bladofioletowymi graniami. Nad górami przetaczała się cisza — uroczysta, niezwykła.

— Aż trudno uwierzyć — wyszeptał Mychajło. — Jak w świątyni...

Stali chwilę, óczarowani feerią przyrody, milczeli. Przewór siniał, napełniał się mrokiem. Na wschodzie zabłysła wielka gwiazda, wytoczył się nad widnokrąg szczerbaty księżyc.

— Prześpijmy się trochę — rzekł Harry. — A o świecie dalej.

Znaleźli zaciszny zakątek między wysokimi głazami. Nanieśli trawy, gałęzi cedrowych. Położyli się znużeni, rozbici. Mychajło spoglądał w gwieździstą dal, westchnął.

— Póki życia nigdy nie zapomnę — powiedział. — Szczególnie ciebie, Swami. Niewiarygodne, dziwne, niby cud...

— Jesteś naiwny — odparł łagodnie Hindus. — Jaki znów cud? Gdzieś ty go widział? To, że wydostaliśmy się z niewoli? A Bojak? Jego śmierć to też cud? Nasz ratunek — to czyjeś nieszczęście. Niczego nie dostaje się za darmo. O tym nie wolno zapominać...

— To straszne — zmrużył oczy Mychajło. — Dlatego nie chce się żyć.

— Na próżno. Potok życia jest jednolity. Jak długo żyjesz — nieś swoją falę ku morzu. I nie zapominaj o tych, którzy nie dotarli do celu. Jesteś odpowiedzialny za nich. A cud? Prawdziwy cud — to my sami, niebo nad nami. Spójrz, Mychajło... Czym są nasze walki w porównaniu z jego spokojem? Miliardy wieków; niezliczone legiony ludów, ras; ewolucja... a nad nimi — wieczne milczenie... Mój guru kocha niebo. Każdej nocy patrzy na gwiazdy, słucha pieśni wodospadu...

— Guru — powtórzył Mychajło. — Czy on wie, gdzie jesteś teraz? Czy wie, co się z tobą stało?

— On mnie uratował — powiedział po prostu i z powagą Swami.

Mychajło nie pytał więcej, odczuł jakiś niepokój. Dawny sceptyczny nastrój rozplywał się bezpowrotnie wobec wielkości gwiazdnej nocy, wobec dźwięcznej ciszy przestrzeni, wobec głębokiego spojrzenia czarnych oczu Hindusa...

Ruszyli w drogę przed świtem. Szli na południe. Przed wschodem słońca minęli kamienistą przełęcz. Wiodła tędy wąska ścieżka — widać było na niej ślady podków, końskie łajno. Zbiegowie skręcili w bok, szli na przełaj pomiędzy krzewami, by nie napotkać wrogów. Na połud-

niowym stoku grzbietu zobaczyli chatkę na łące. Długo siedzieli w krzakach dzikiej róży, wypatrując, czy ktoś nie wyjdzie z chaty. Lecz ona spoglądała obojętnym szklanym okiem.

— Podczołgam się — wyszeptał w końcu Mychajło. — Może tam nikogo nie ma. Teraz jest sezon letni, gospodarze są na pastwiskach...

— Ruszaj — odpowiedział z aprobatą Amerykanin.

Sahajdak jak jaszczurka podpełznął do domku, zajrzał przez okienko. Ośmielony skoczył do drzwi. Wyjrzał i machnął ręką.

— Pusta. Wchodźcie.

Zbiegowie ostrożnie weszli. Obejrzeni wewnątrz. Na drewnianych ścianach wisiały strzelby myśliwskie, siodła, uprząż. Na półce — wielkie okrągłe sery, kilka osełek masła. W komórcie Amerykanin znalazł około dziesięciu wędzonych tusz baranich. Uradowany, pokroił jedną i wgrzył się w mięso. Połowę oddał Mychajle. Swami pokiwał głową z uśmiechem.

— Zwierzę się w tobie odezwało — powiedział.

— Niech będzie zwierzę — zgodził się Harry — byle mi sił przybyło. Bo już ledwie ciągnę nogami. A ty, Swami, jedz ser. Ser ci wolno — prawda?

Najadłszy się do syta zabrali dwa krążki sera, kawałek masła, trzy duże placki, trochę sucharów. Mychajło z żalem rozejrzał się dokoła i powiedział:

— Szkoda, że nie znamy adresu. Po wojnie moglibyśmy podziękować gospodarzom...

— Myślę, że gospodarze nie będą się zbyt gniewać — rzekł Amerykanin. — Mają tego dobrego pod dostatkiem. A my wzięliśmy tylko trochę. Zrozumieją, że nie jesteśmy złodziejami...

Szli bez przerwy do południa. Chmury rozeszły się, słońce przygrzewało.

W niektórych miejscach zbiegowie widzieli trzody bydła. Omijali je. Osiedla ludzkie zostawiali na stronie. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, postanowili odpocząć. Wybrali polankę wśród świerków, nad szmerzącym potokiem. Mychajło i Harry zrzucili z siebie odzież i wykąпали się w chłodnej wodzie. Z rozkoszą bryzgali tęczowymi kroplami. Potem jedli ser z plackiem, popijając wodą.

Niespodziewanie zza skał wynurzył się samolot-jednopłat, zbiegowie stracili głowę, nie zdążyli ukryć się. Pilot spostrzegł ich, wykonał ostry wiraż, zaterkotała głośna seria z karabinu maszynowego. Śmiertelny pas przeciął ziemię w odległości dwudziestu metrów od nich. Uciekli w zarośla. Samolot pokręcił się, poszumiał i znikł.

— Znaleźli nas — powiedział ze złością Harry. — Czy musieliśmy tak usiąść na widoku?

— Kto mógł to przewidzieć? — odparł z niepokojem Mychajło.

— Pospieszmy się — odezwał się Hindus. — Im dalej odejdziemy, tym lepiej. Zanim on zawiadomi, zanim wyruszy pościg.

— Pościg może już być blisko — odparł Amerykanin. — Wystarczy podać przez radio współrzędne i wszystko...

— Więc w drogę...

Do wieczora zrobili jeszcze około piętnastu kilometrów. Przed podejściem do nowej przełęczy zobaczył ich pościg. Tyraliera szarozielonych postaci, strzelając z automatów, szła z doliny. Mychajło pobiegł zboczem i zachłystując się, krzyknął:

— Prędeży! Uciekajmy! Zastrzelą nas!

Harry zaklął głośno, krzyknął:

— Nie wysilaj się, Mychaj! Nie ma co się spieszyć! Oszczędzaj siłę!

Przekradli się przez wąwozy, kryjąc się za głazami. W niespełną godzinę dotarli do przełęczy. Byłe oderwać się od pogoni, zmylić ślady. Niemcy nie mają psów, nie znajdują zbiegów w lesie. Lecz na górze oczekiwała ich niespodzianka: ze strony południowej nadciągała druga tyraliera wroga. Mychajło zaczął się rzucać jak osaczony zwierz, szukając gorączkowo drogi wyjścia. Zauważono ich, strzelanina rozlegała się z północy i z południa.

— Przez grzbiet nie damy rady — powiedział Harry, gryząc paznokcie. — Zastrzelą... Pułapka... Co powiesz, Swami?

Hindus popatrzył smutno na niebo, milczał. Potem rzekł cicho:

— Musimy wytrwać do nocy. Może w nocy coś wymyślimy?

— Przetrzymamy do nocy. — Amerykanin wzruszył ramionami. — Nie mam zamiaru poddać się Szwabom. Żywcem obedrą ze skóry. Co my mamy, Mychaju? Trzy automaty... siedem zapasowych magazynków... pięć granatów. Niewiele. A jednak nie podleżę, póki mamy amunicję...

Nieprzyjaciel zbliżał się z dwóch stron. Żołnierze niemieccy przebiegali od kamienia do kamienia, strzelali i biegli znów. Kule świstały nad głowami zbiegów, pochylili się za głazem, przygotowali granaty. W dole, w północnej dolinie, rozległy się okrzyki.

— Do kogo krzyczą? — zapytał Harry.

— Do nas — rzekł Mychajło. — Krzyczą, żebyśmy się poddali. Bo będzie gorzej...

— Dziwni ludzie — powiedział cicho Hindus, patrząc na wrogów. — Wkładają tyle sił, tyle starań po to, by zniszczyć zbiegów, którzy uciekli z niewoli. Ciekawe, przecież my ich nic nie obchodzimy, nie znamy nas, ani my ich, a jednak ścigają zaciekle, idą na śmierć, byle osiągnąć swój złudny cel... Jaka straszna maja!

— Znowu maja? — powiedział gorzko Sahajdak. — Trochę jej za dużo, Swami! Wyrwaliśmy się cudem z jednej pułapki, ale teraz zdaje się, nie ma wyjścia...

— Nie ma beznadziejnej sytuacji — odezwał się Hindus, spoglądając w zadumie na towarzysza. — Wszystko zależy od naszej woli...

— Woli? — powtórzył Mychajło. — Gdyby tak ze dwudziestu chłopów i dobry cekaem, może by i pomogło... Ale wola?

— Karabin maszynowy tu nie pomoże — odrzekł surowo Hindus, ściągając brwi. — Tylko wola jest potrzebna...

Niemcy, nie otrzymawszy odpowiedzi, podjęli dalszy pościg. Harry wysunął się z za skały, wycelował, oddał krótką serię z automatu. Rozległ się jęk, szarozielona postać upadła, rozrzucając niezdarnie ręce.

— Jeszcze jeden! — krzyknął podniecony Harry. — A wy z tej strony, żeby nas nie zaskoczyli.

Niemcy z południowej strony nie spieszyli się zbyt. Była tam wąska dolinka, bali się jawnie iść przez nią, pełzli po ziemi, ukrywając się za najmniejszym bodaj kamieniem. Ciemniało, nad skałami sunęły kłęby mgły,

prześladowcy nabrali odwagi, słyhać już było ich przytłumione głosy.

— Jeszcze kwadrans, można będzie przeskoczyć — szepnął Harry. — Cichutko, przez grzbiet... nie zauważą...

— Zgoda — podchwycił radośnie Mychajło. — Jednak jest nadzieja...

W mroku postacie żołnierzy szerniały, zlewając się z kamieniami. Zbiegowie strzelali do każdego cienia, denerwowali się. W dole rozległ się warkot samochodów. Zapłonęły reflektory. Oślepiające macki zaczęły skakać po skałach, bijąc w oczy. Harry uderzył pięścią w ziemię, ugryzł się w palec z gniewu.

— Nie udało się. Teraz nie wyskoczymy. Widać nas jak na dłoni...

— To podstępny wróg — zgodził się Swami. — Przewidział wszystko. No cóż, posiedzimy do ranka. Poczekamy. W nocy nie napadną...

— Na co mamy czekać? — zapytał posepnie Mychajło. — Może lepiej zaatakować od tej strony. — Wskazał na południe. — Rzucimy granaty. Przedrzemy się. Może komuś spośród nas uda się...

— Może. — Harry wzruszył ramionami. — Nie przebiegniesz nawet stu metrów. Położą trupem. Nie, chłopcy, koniec. Trzeba przynajmniej pospać przed śmiercią. Nie wiem, jak wy, ale ja zdrzemnę się. Czuwajcie po kolei. Za to rankiem ukatrupię dziesiątkę szkopów. Dobranoc, przyjaciele...

Rozległ się świst. Gdzieś blisko za głazem huknął wybuch, posypały się odłamki. Zbiegowie przypadli do ziemi, skurczyli się. Znow rozległ się gwizd, coś plasnęło z boku, napłynęła fala ciepła, szarpnęła, oślepiła.

Amerikanin splunął, usta miał pełne pyłu, skrzypiało między zębami. Mychajło podniósł rękę, na palcach rozpląwała się czarna plama.

— Granatnik — powiedział Harry. — Upieką nas... Nie zasnę!

Wokół głazów wybuchło jeszcze kilka granatów. W dole rozległ się rechot, wesołe okrzyki.

— Przyjaciele, przejdźmy na inne miejsce. Pełznąć — wyszeptał Swami. — Tylko nie strzelajcie...

— Dlaczego? — zapytał zjadliwie Mychajło. — Mamy umierać w milczeniu?

— Posłuchajcie mnie — rzekł surowo Hindus. — Przecież przekonaliście się nieraz...

Swami pierwszy wysunął się z kryjówki i wijąc się jak wąż, popełznął między kamienie. Harry i Mychajło poszli za jego przykładem. Wybuchy rozlegały się przy głazie, za którym ukrywali się przedtem, pewnie Niemcy nie spostrzegli ich ucieczki. Zbiegowie odpoczęli, tu nie sięgały promienie niemieckich reflektorów.

— I co dalej? — szepnęła Sahajdak. — Czekać, dopóki nas nie wymacają?

— Nie — powiedział twardo Hindus. — Nie można czekać. Przyjaciele, nadszedł czas wielkiej próby waszego męstwa...

— Sądzę, że zostało wypróbowane — mruknął Amerykanin. — Chyba się przekonasz?

— Nie o tym mówię — powiedział poważnie Swami. — Widzisz, jesteśmy skazani!

— Po co więc to mędrkowanie?

— Istnieje wybór!

— Do diabła — zaklął Harry. — Gorzko mi i bez twoich urojeń. Powiedz, coś wymyślił, jaśniej!

— Wiem, że będzie wam trudno uwierzyć. Wy, Europejczycy, zostaliście inaczej wychowani. Boicie się mistyki, niezwykłości, cudu. Teraz trzeba się odważyć na coś, co będzie się wydawało cudem!

— Mów, mów, Swami! — powiedział Mychajło. — Pójdę bodaj do piekła, byle wyrwać się z rąk faszystów.

— Dobrze. Powiem. Sami widzicie, że nasz los jest zdecydowany. Jeszcze minuta, godzina — i śmierć. Możemy wyżyć, jeśli postanowimy żyć nie dla siebie...

— Nie rozumiem — mruknął głucho Harry. — Jak można żyć nie dla siebie...

— Trzeba zapomnieć o swoich interesach. Ambicji. Egoizmie. Pysze. Działać dla innych, dla przyjaciół. Złożyć w sercu ślub, że twoje życie już nie należy do ciebie, lecz do ludzi...

— Proszę bardzo, można i tak — westchnął Mychajło. — I to nas uratuje?

— Na pewno. Uratujemy się. Śmierć przyjdzie kiedyś z pewnością... Może nawet tak samo gwałtowna... Ale znacznie później. Do tego czasu potrafimy przynieść dużo pożytku ludziom... Tylko nie myślcie, że można złamać

obietnicę! Przysięga musi pozostać czysta w duszy! Harry, rozumiesz?

— Nie bardzo przypada mi do serca to, co mówisz. Wolę postępować tak, jak każe rozum... A przyrzeczenie...

— Przecież nie przysięgasz, że będziesz kradł! — powiedział z goryczą Hindus. — Boicie się stracić swoją osobowość! Trzeba ją jeszcze ukształtować, bracia! Wybierajcie — śmierć albo życie... dla innych!

W słowach Swamiego brzmiała nieodparta siła, w jego oczach płonęły iskry. Nad głazami zawisł dym, w promieniach reflektora związał się krwawymi kłęбами. Mychajło poczuł, że przenika go tajemnicza siła i pewność. Rzeczywiście, dlaczego nie uwierzyć Swamiemu? Życie dla innych? Czyż nie w imię tego ideału żyli najwięksi bohaterowie ludzkości? Jeśli wyżyje, wyrwie się z tego piekła, to niech jego życie poświęcone będzie dobru i prawdzie!

— Swami, zgadzam się!

— Okay! — powiedział Amerykanin. — Naprawdę, do licha z mizerną osobowością! Życie — dla innych!

Ręce przyjaciół zwały się, splotły w mocnym uścisku.

— Posłuchajcie mnie — rzekł radośnie Hindus. — Zraz wyjdziemy na grzbiet góry i pójdziemy spokojnie. Potem skręcimy na prawo — i do lasu. A Niemcy niech strzelają.

— Zgłupiałeś! — zawołał cicho Sahajdak. — Ustrzelą nas za chwilę!

— Oni nas nie zobaczą — rzekł z mocą Swami. — Słuchaj, co ci powiedziałem. Harry, dwa granaty. Jeden rzuć na stok południowy, a drugi — tam. Ale rzucaj tak, żeby nie było widać skąd! Z ostrym skrętem! Potrafisz?

— Jeszcze jak! — zapewnił Amerykanin.

Wziął wielki rozmach i rzucił granaty. Gdzieś w dole rozległy się wybuchy, a potem wściekle przekleństwa. Reflektory zatańczyły dookoła nieszczęsnego głazu, posypały się granaty, rwąc skały w strzępy.

— Naprzód! — rzekł spokojnie Swami.

Wyprostował się i skierował ku grzbietowi. Chłopcy ruszyli za nim. Serce zamierało, rozsądek buntował się, nakazywał paść na ziemię, wcisnąć się w skałę, stać się niedostrzegalnym. Ale wola trzymała instynkt na wodzy. Trzeba wypróbować męstwo i los!

Zbiegowie wyszli na grzbiet i ślizgając się zaczęli wchodzić na przełęcz. W dole buszował ognisty wiatr, w oszalałych światłach reflektorów miały się postacie wrogów.

Nad zbiegami świeciły gwiazdy, w bezmiarach płynęły perłowe chmury, przez grań przetaczały się szare mgły.

Jak sen — pomyślał Mychajło. Tak bywa czasami — śni się pościg, czarne potwory, człowiek ucieka, nie zauważają go. Serce zastyga ze strachu, pot zalewa ciało, potem człowiek budzi się i długo nie może zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje...

A może to sen? Długie, niewymownie długie marzenie? Kiedy się ono skończy?

Oto już są na szczycie, Swami pewnym krokiem skręca na prawo. Schodzą na południowy stok, skały zakrywają przed nimi piekło ognia, oddychają smolną wonią, wysokie świerki szumią na powitanie.

Nerwy nie wytrzymują — zbiegowie przyśpieszają kroku, oddalając się od przekłętego miejsca. Strzelanina ucichła, prawie nie słychać wybuchów. Dookoła — chwytliwe gałęzie drzew, elastyczny dywan miękkiego mchu. Tak chciałoby się spocząć na nim! Nie można! Naprzód, naprzód! Dzwoni w głowie, nogi uginają się z wysiłku, ciało drętwieje, tylko serce wali jak młot i wydaje się, że to ono swoją magiczną siłą porywa zbiegów coraz dalej i dalej, do życia, do ocalenia.

Szli całą noc, do świtu. Minęli kilka potoków, trzy czy cztery małe przełęcz. Nie odpoczywali, nie schylali się, by napić się wody. Pragnęli tylko jednego — znaleźć się jak najdalej od pułapki.

Kiedy na horyzoncie rozblysnęła gwiazda poranna, Mychajło nie wytrzymał. Pochylił się nad chłodnym kamieniem, dotknął policzkiem jego mokrej powierzchni.

— Nie mogę dłużej, Swami. Muszę odpocząć...

— Ja też — westchnął Amerykanin. — Nogi odmawiają mi posłuszeństwa...

— Zgoda — rzekł Hindus. — Wydaje mi się, że odeszliśmy dostatecznie daleko. Nie znajdą nas...

Wyszukali odpowiednią kryjówkę w zaroślach leszczy-ny. Położyli się.

Spali jak zabici. Zbudziły ich cudowne trele słowika. Ptaki skakały wśród zielonych gałęzi, krople słońca spadały przez listowie na ziemię; wszystko łączyło się w urzekającą symfonię.

Mychajło otworzył oczy. Zobaczył uśmiechniętą twarz Swamiego. Powiedział cicho:

— Czy to prawda?

— Prawda, Mychajło — powiedział Hindus.

— Jak to się stało? Dlaczego nas nie spostrzegli? Mieliśmy szczęście? Udało się?

— Złożyłeś przyrzeczenie, Mychajło — przypomniał mu Swami. — Nie zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem, przyjacielu. Ale czyżby to pomogło? Co mają wspólnego moje słowa z tym fantastycznym wydarzeniem?

— Kiedyś to zrozumiesz — odparł zamyślony Swami. — Teraz potrzebne jest tylko jedno: nie zapominaj o swojej obietnicy. Jeśli ją naruszysz — wróci przeszłość...

— Co ty mówisz? — zdziwił się Mychajło. — Jak może wrócić?

— Nie sytuacja — rzekł Swami — lecz zbieg energii. Mój bracie, to można łatwo zrozumieć. Bierzesz ciężar, zobowiązałeś się go nieść. Wyteżasz wszystkie siły. Choć ciężko, niesiesz jednak. Jeśli jednak twoja wola osłabnie i nie zechcesz dźwigać ciężaru — on ciebie zmiażdży. Trzeba nieść do końca. Trzeba! Kto wziął dużo na siebie dla dobra innych — przed tym wiele się odśloni.

Harry poruszył się, przeciągnął się słodko. Przetarł oczy. Uśmiechnął się szeroko w poczuciu bezpieczeństwa.

— Filozofujecie? — powiedział dobrodusznie. — Jaki mi się sen przyśnił! Wypłynąłem z ojcem jachtem. Straszliwa burza. My jednak wcale się nie boimy. Zarzucamy sieci. Nie zwykłe sieci, ale srebrne. I złowiliśmy wspólnie z ojcem trzy ryby — jakieś złociste, przezroczyste, figlarne. A potem — już nie ryby, tylko piękne dziewczęta. Niby rusałki albo jakieś nimfy...

— Każdy ma swoje sny — odezwał się Mychajło. — Czas zjeść śniadanie — i w drogę. Według mnie, jesteśmy gdzieś w Jugosławii. Niedaleko Zagrzebia. Może trafimy na partyzantów...

Amerikanin otworzył torbę, wyjął spory kawałek sera,

suchary. Swami niespokojnie popatrzył na towarzyszy i rzekł:

— Przyjaciele, więcej was nie będę ostrzegał. Może wkrótce się rozstaniemy. Tylko nie zapomnijcie tej nocy. Nie zapomnijcie. Życie weźmie was w obroty, maja rozrzuci gęste sieci, daleka przygoda wydawać się będzie nieprawdopodobna i nielogiczna... A jednak wspominajcie tę noc poważnie i nie zapomnijcie o przyrzeczeniu...

— Okay! — odezwał się Amerykanin, kładąc rękę na ramieniu Hindusa. — Przecież obiecałem, znajdę cię w Himalajach, Swami, gdziekolwiek będziesz. Spotkamy się jeszcze...

— Nie zapomnę, Swami — rzekł cicho Mychajło.

Po dwóch dniach zbiegowie spotkali się z patrolem zwiadowczym Narodowej Armii Jugosławii...

Słowo pierwsze — pajęczyna

Wstańcie, wstańcie! Dlaczego śpicie? Jakiż sen dla bezsilnych, zatrutych cierpieniami i smutkiem!...

Wstańcie, wstańcie! Uczcie się życia, które poprowadzi do pokoju, by władca śmierci nie skorzystał z waszej beztroski i schlebając wam nie pokonał was swoją siłą.

...Nie utraciecie decydującej chwili życia: kto jej nie zatrzyma, kto jej pozwoli wysliznąć się, ten skazuje siebie na zagładę...

Gautama

Sahajdakowi śnił się dziwny sen. Zdawało mu się, że jest małym chłopcem i mieszka w rodzinnej wsi. Wszystko dokoła jest takie romantyczne, spowite mgiełką tajemnicy i czułości. Stare wierzby z wielkimi dziuplami, w których można schować się podczas burzy, gęste grochowisko, gdzie biją się niezmordowane koty i niosą się w tajemnicy przed gospodynią niewychowane kury, głębokie kręte rowy za wsią, gdzie można się bawić w piratów i kozaków, palić papierosy z waty lub nawozu i strzelać z samopałów do szarych wstrętnych ropuch.

Dziw nad dziwy. Świadomość Sahajdaka rozpołowiała się we śnie. Jedna część zachowała dojrzałość, pamiętała, że jest on uczonym, kandydatem nauk, człowiekiem poważnym, a druga, dziecinna — splunęła na te wszystkie tytuły i umowności, zrzuciła skórę powagi i stała się sobą. Chłopiec wybiegł do ogrodu, złamał gruby słonecznik, oderwał płaską, ciężką główkę z niedojrzałymi pestkami. W tym miejscu powstał lejek. „To będzie karburator” — ucieszył się chłopiec. Nalał w zagłębienie wody z kałuży, zaparskał, zaburczał, zapuszczając „silnik”, dosiadł łodygi słonecznika i skoczył za sianokos, do lasu.

Żyto kłania się do ziemi, wita poszumem, błękitne zywokosty i bławatki spoglądając chytrze wśród zbóż, też chcą się pobawić. I słycać ich zgodny głosik — łagodny, melodyjny:

„Witaj, jeźdźcu! Dokąd się wybierasz?”

„Na księżyc! — krzyczy dumnie Michaś. — A potem aż na słońce!”

„Szczęśliwej drogi! — wołają zdumione chabry i żyta. — Szczęśliwej drogi, kochany Michasiu! Nasze pozdrowienia dla słońca! Przekaż koniecznie!...”

„Dobrze! — woła chłopiec i podskoczywszy do góry z entuzjazmem rwie naprzód! — Iho-ho-ho! Dr-r-r! Czach-czach-czach.”

Łodyga połączyła w sobie funkcje konia, samochodu i rakiety. Cała siła ludzka w ręku chłopczyka. I nie ma przerwy, nie ma przeszkód. Pył płynie nad polem, na zapyłonej drodze pozostają małe ślady.

Odpywały, bladły wrażenia snu. Usuwały się w nieznane głębie świadomości. A Sahajdak wciąż jeszcze zatrzymywał wzruszające wizje w swej pamięci. Pięty czuły jeszcze słoneczne ciepło bitej drogi, uszy przechowywały niepowtarzalny szept łagodnego letniego poszumu...

--

Sahajdak otworzył oczy. Skąd te czarujące obrazy? Moje drogie, tkliwe dzieciństwo, dlaczego niepokoisz mnie, dlaczego zmartwychwstajesz z bezdennej otchłani czasu?

Oschle tyka zegar na stoliku. Przypomina o rzeczywistości. Zaraz zadzwoni. Sahajdak nacisnął guzik budzika. Zrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. Podniósł hantle, podszedł do otwartego łucnika, wykonał leniwie kilka ćwiczeń. Ziewnął. Obrzydło mu już to niedorzeczne zajęcie. Gdyby tak na wsi — inna sprawa. Można by wziąć siekiere i skoczyć do drewni. Cuk-cuk! Cuk-cuk! Rośnie stos pachnących polan, grają mięśnie, rozkoszna fala przetacza się po całym ciele, dodaje rzeźkości, podnosi na duchu...

Cisnął hantle w ką. Wszedł do łazienki. Wsadził wtyczkę golarki elektrycznej do kontaktu, poskrobał trochę podbródek. Na oko opadły siwe kosmyki znad czoła. Oho, szybko nadchodzi starość! Dziś — czterdzieści pięć.

Urodziny. Przyjdą goście, trzeba ich przyjąć. Zgiełku, rozgardiaszu na całą dobę. A z czego się cieszyć? Z worków pod oczami? Ze zmęczenia, które coraz częściej ogarnia ciało?

Sahajdak podszedł do lustra, zajrzał sobie w oczy. Kim jesteś, moje odbicie? Kim jestem? Dziwny kształt — drżący, gwałtowny, pełen przeciwieństw i pragnień, bezsilny i stanowczy, obdarzony spojrzeniem ducha. Oczy — przezroczyście okienka, zabarwione piwną pozłotą, czym jesteście — bronią duszy czy optycznymi przyrządami maszyny biologicznej?

Nie pojmiesz, nie zrozumiesz. Nie ma dziecinnego, bezpośredniego odbioru jak we śnie. Wszystko opisane według zasad analizy naukowej, wszystko uświęcone tradycją intelektu. Gdzie podziła się studencka bezkompromisowość, zapal? Skąd pełnie obojętność, zwątpienie, ledwie uchwytny chłodek cynizmu, niby pierwsze kryształki lodu na jesiennej wodzie? Kiedy się to zaczęło, którego dnia czy godziny?

A gdyby tak strząsnąć dziwną bierność duszy, zmieść jak pajęczynę z twarzy? Jak? Od czego zacząć? Zresztą nie chce się. Nie chce się myśleć o wielkiej zmianie, nie można wy dostać rozumu z głębokiej koleiny utworowanej przez poprzednika. Skąd zresztą wziąć na to siły? Skąd wziąć odwagę?

Sahajdak westchnął, pokiwał głową. Uśmiechnął się do swego odbicia. Ha, ha, bracie! Udajesz wariata, sam przed sobą grasz rolę postępowego myśliciela. A przed kolegami... przed kierownikiem naukowym? Milczysz, wysłuchujesz trywialnych sentencji, potakujesz mu, chociaż wiesz, że jest zerem. Zależność, perspektywy, kariera naukowa... Milcz, nie usprawiedliwiaj się, nie bądź obłudny przynajmniej przed sobą...

Zimny strumień wody odświeżył go, odpędził bezładne myśli. Trzeba się pośpieszyć do pracy. Dziś ostatni dzień — jutro urlop. Potem — w czerwcu — podróż za granicę na sympozjum filozoficzne, a w lipcu — obrona pracy doktorskiej. Taak! A jednak dobra jest! Doktor, a może w niedługim czasie członek-korespondent, akademik... Wtedy im pokaże! Jak to pięknie być niezależnym

od nikogo! Można wypowiedzieć każdą herezję, bronić najśmielszego pomysłu! Ha, ptak pod niebem! No, zobaczymy. Ten rok będzie ciekawy... Byle nie zauroczyć, jak mówiła babcia.

Do łazienki zajrzała żona, uśmiechnęła się sennie.

— Wstałeś już, Michasiu?

— Nie, jeszcze leżę — odpowiedział drwiąco.

— Jesteś oschły — obraziła się żona. — Dowiedz się, że wszystko, co najcenniejsze w życiu, składa się z paradoksalnych zdań i słów. Gładkie, rzeczowe zdania są nieciekawe...

— Oj, Nineczko, gdybyś ty zawsze była taka mądra — zawołał wesoło Mychajło, wycierając się energicznie rękami. — Więc czemu mi dokuczasz?

— W życiu powszednim, w pracy mamy do czynienia z ludźmi — odrzekła pouczająco Nina. — Trzeba szanować ich nawyki. Między wronami...

— Wiem, wiem — przerwał jej Mychajło, wychodząc do przedpokoju. — Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one! Pięknie, będziemy krakać. Gdzie jest mój szary garnitur?

— Dziś włożysz czarny. Od razu, żeby się potem nie przebierać. Z pracy — na urodziny.

— Cudownie. Oszczędność czasu. Jesteś moim mędrcom, jesteś moim wodzem. Pozwól się ucałować...

Mychajło objął pulchne, ciepłe ciało żony. Poddawało się miękko pocałunkowi. W jakimś momencie, gdzieś w podświadomości drgnęło uczucie odrazy do Niny. Zjawiło się i znikło. Skąd, dlaczego? I to nie pierwszy raz...

Nina odrzuciła bujne jasne warkocze, spojrzała niebieskimi oczami na męża, przytuliła się do niego.

— To bardzo ważne, Michasiu. Dysertacja jest śmiała, trzeba ją podbudować mocnym fundamentem...

Sahajdak, zawiązując węzeł krawata, wzruszył ramionami:

— Urodziny i dysertacja. Nie widzę związku. Przecież nie będę wyklądać przy stole treści dysertacji?

— Głuptasku — zaśpiewała Nina. — Recenzenci, kierownik, przyjaciele — wszyscy zbiorą się dzisiaj. O dysertacji ani słowa. Za to uprzejmość gospodarzy, wdzięk, gościnność, wytworne wina, swobodna rozmowa... Oj, Michasiu, wszyscy lubią przyjemne życie...

— Dobra, dobra! Ty wiesz najlepiej, jak trzeba. Daj mi śniadanie, już biegnę. Jak tam Andrzejek, wstaje?

— Wstaje, wstaje! Złapał wczoraj dwóję...

— Za co?

— Niech sam powie. Palnął jakieś głupstwo. Nie spodobalo się nauczycielce. Słuchaj, kotku, na jesieni weźmiesz dodatkowe wykłady na uniwersytecie...

— Po co? — zdziwił się Mychajło. — Chyba starcza nam pieniędzy. Trzysta podstawowej pensji, trzysta za wykłady... I twoje zarobki...

— Kochanie! — Żona pogłaskała Mychajłę po policzku. — Wkrótce będziesz doktorem, a żyjemy jak żebracy. Nie mamy willi, nie mamy wozu...

— Willę wynajmujemy każdego lata...

— To nie to samo. Niepoważnie. A mieszkanie trzeba zmienić. Musimy mieć minimum cztery pokoje. Te nasze trzy to komórki...

— Ludzie mieszkają jeszcze w suterrenach...

— Każdy ma to, na co zasłużył. Czyżbyś chciał i mnie też zapędzić do sutereny?

— Już dosyć, dosyć — machnął ręką Mychajło. — wezmę dodatkowe wykłady. A poza tym ukończę książkę. Myślę, że kupimy willę...

— Mój ty skarbie! — szepnęła żona, ze wzruszenia zaokrągliły się jej oczy. — Wszystko będzie dobrze, tylko słuchaj mnie.

— Dobrze, dobrze. Daj mi wreszcie śniadanie...

— Już się grzeje. Na stole masz pierożki, grzybki marynowane. Zaraz podam kotlety, kartofelki. Nalać ci wina?

— Pół szklanki...

— „Muskat”. Krymski. Niezłe wino...

— M-m... Niczego sobie. Można wypić.

— Dajcie mi też ździebko — odezwał się Andrzejek, zaglądając z sąsiedniego pokoju.

Ojciec spojrział na jego kędzierzawą głowę, chytre piwne oczy, pogroził mu palcem.

— Ja ci dam wina! Za co złapałeś dwóję, przyznaj się?

— Bo...

— Co: bo?...

— Ona mnie pytała...

— No?

— O ile wzrósł stopień elektryfikacji dziś w porównaniu z rokiem tysiąc dziewięćset trzynastym.

— I co, nie wiedziałeś?

— Wiedziałem. Tylko zapytałem, dlaczego porównujemy z trzynastym, a nie, powiedzmy, z epoką kamienną? Różnica będzie jeszcze większa!

Ojciec parsknął śmiechem, zasłonił usta serwetką.

— Mój Boże! — zawołała przerażona matka. — Przecież to chuligaństwo! Jak tak można? I to mój syn! Co powiedzą nasi pracownicy, gdy się dowiedzą, że syn działaczki partyjnej wypowiada takie myśli?

— Posłuchaj, działaczko partyjna — odezwał się wesoło Mychajło, jedząc smaczny kotlet. — Nasz Andrzejek jest dowcipny. Dowcipny, sukinsyn!

— Dziękuję za komplement — skłoniła się Nina. — On ma kiełbie we łbie! Niezdyscyplinowany sposób myślenia! Nauczycielka pomyśli, że w domu też mówimy takie rzeczy...

— Co ja takiego powiedziałem? — Urażony Andrzejek wyduł wargi. Zebrał książki do teczki. — Ja tylko spytałem...

— Jeszcze się dziwi! — zawołała gniewnie matka. — W siódmej klasie i tacy anarchiści! Co z was wyrośnie?

— Kiedy on naprawdę jest dowcipny! — roześmiał się ojciec. — Wiesz, Nineczko, współczesnej młodzieży nie można tak łatwo przekonać. Wymaga wyjaśnień. Dogmaty im nie w smak!

— Właśnie to jest straszne! — oburzyła się matka. — Siadaj, smarkaczu, do stołu i jedz. Bo się spóźnisz!

— Nineczko, ja się śpieszę — rzekł Mychajło, wstając od stołu. — Dziękuję. Daj mi parę rubli na taksówkę!

— Pojedziesz autobusem — rzekła Nina surowo. — Masz rubla. Jak kupimy własny wóz — to proszę bardzo...

— Mamo, a mnie daj pięćdziesiąt kopiejek — poprosił Andrzejek, łapiąc gorący naleśnik z patelni.

— Na co ci?

— Na kino. Wy na urodziny, a ja do kina.

— Masz. I jeszcze dwadzieścia kopiejek na lody...

Mychajło cmoknął żonę w policzek, wziął szczotkę, spojrzął jeszcze raz w lustro na korytarzu, przyczesał

włosy. Nina odprowadziła go do drzwi, zbierając prawie niedostrzegalne nitki i pyłki z jego marynarki.

— Nie zapomnij: restauracja „Moskwa”, sala na pierwszym piętrze.

— Nie zapomnę, Nineczko. Od razu z pracy — przyjeżdżam...

— Nie wydawaj urlopowych pieniędzy, przynieś mi wszystko...

— Nineczko, chciałem coś niecoś posłać staruszkom. I pojechać do nich na pięć dni przed wakacjami. Może razem pojedziemy, co?

— Ja jestem za — odezwał się Andrzejek, zajadając ciastko. — Na wsi jest fajnie. A dziadek — łebski! Można też pograć z chłopcami w futbol!

— No, no! — Na twarzy matki ukazał się wyraz niezadowolonia. — Skąd u was takie plebejskie gusty? Jechać do tego śmietniska?

— Co ty pleciesz, Nineczko? — rozgniewał się Mychajło. — Jak ci nie wstyd? Plebejskie gusty! A skąd ja jestem? Czy nie ze wsi? Czy nie jemy co dzień chleba ze wsi?

— Michasiu, to jest demagogia. — Żona zamknęła mu ręką usta. — Pośpiesz się do pracy!

— Ale nie, poczekaj — irytował się Mychajło. — Tam jest tyle przestrzeni, dobre powietrze, dobrzy ludzie... No i zaoszczędzimy...

— Nawet nie myśl o tym. Pojedziemy do Gagr. Morze, egzotyka. Jak możesz zamienić morze na jakąś tam wioskę? A pieniędzy nie dam. Starzy doskonale obejdują się bez twojej łaski. To ich obraża. Są jeszcze zdrowi, pracują, mają ogród. Dadzą sobie radę. Jeszcze nam kartofli przywieżą...

— No, jak chcesz — westchnął Mychajło. — Do widzenia...

Wyszedł na schody. Nina krzyczała z góry:

— Więc nie zapomnij — o szóstej!

— Dobrze, dobrze — mruknął niezadowolony. — Nie jestem dzieckiem.

Na ulicy opuścił go zły nastrój. Wiosna płynęła nad miastem, między kamiennymi budynkami, w oczach przechodniów, w głosach żwawych dziewcząt brzmiała świeżość, radość, nieokreślone wzruszenie. Wiecznie młode

kasztany zapalały świecezki weselne, hojnie darując cudowny zapach światu, ludziom. Na niebie, nad iglicą cerkwi Świętej Zofii, poważnie przepływały kędzierzawe chmury, podobne do bajecznych okrętów. Dzwonnica płonęła różowym blaskiem, witając poranne słońce, nawet koń Bohdana*, zdawało się, przebiera nogami, wibrując całym ciałem w blaskach ciepłego dnia.

Mychajło wsunął teczkę pod ramię, westchnął. Jak pięknie, jak niewymownie pięknie. Pajęczyna powszednich rozmów, małych sprzeczek, drobnostek, tonęła, opadała w bezdenną skrzynię podświadomości. Byle jak najdalej od tej piany życia. Nie spostrzegać jej, nie myśleć o niej. Tak rzecz wygląda, tak jest z wszystkimi, których zna. Romantyzm, subtelność uczuć, delikatność, szlachetne porywy — to wszystko istnieje chyba tylko w fantazji twórców, zakochanych, idealistów. Tak, tak, ideał ludzki to umowny punkt, abstrakcyjny bożek, do którego się modlą, ale nie traktują go poważnie...

Sahajdak dojechał autobusem do dworca kolejowego. Tam przesiadł się w trolejbus, który dowiózł go do parku w Hołosijewie. Do obserwatorium doszedł pieszo, słuchając namiętnych śpiewów wiosennego ptactwa.

W sadzie między jabłoniami snuł się wujek Jakub, ulubieniec wszystkich astronomów. Wszyscy nazywali go życzliwie filozofem-idealistą. Żartobliwie czy na serio ogrodnik uparcie głosił istnienie Twórcy wszechświata i wiódł z uczonymi chytne spory. „A kto stworzył galaktykę?” — pytał Jakub, gładząc długą siwą brodę, sięgającą do pasa. „Prawa rozwoju materii działają samostannie” — tłumaczyli uprzejmie astrofizycy. — Więc po cóż Bóg, Jakubie?” „Et, nie gadajcie — uśmiechał się chytrze ogrodnik, pokazując czerwone pachnące jabłko. — Popatrzcie na to jabłuszko. Niby wyhodowała je przyroda, ale pozostawcie jabłoni na pastwę losu — co się stanie? Zdziczeje, jabłuszka zmarnieją. Ognioznik jest potrzebny, ot co! Tak samo wszechświat. Pozostawcie materię na pastwę losu — zamieni się w chaos. He-he, no i co wy na to?” „Nie rozumiecie, wujku Jakubie — wyjaśniali uczeni — że tu działa prawo ewolucji, prawo postępu właściwe materii.” „A kto ustanowił to prawo? —

* Mowa o pomniku Bohdana Chmielnickiego — przyp. tłum.

nie ustępował ogrodnik. — Kto stworzył materię?” „Materii nie można stworzyć, jest wieczna i jedynie prawdziwa.” „He-he, to u was materia jest na podobieństwo Boga — wieczna i jedynie prawdziwa” — śmiał się wujek Jakub.

Uczeni nie wytrzymywali dyskusji na takim poziomie naukowym, śmieli się życzliwie, machali rękami i szli do swoich teleskopów i spektroskopów. A ogrodnik patrzył za nimi, w oczach błyszczał mu chytry ogień i słysząc było jego dobroduszny śmiech, po którym następowało zawsze zjadliwie pobłażliwe zdanie: „Małościę kaszy zjedli, he-he!”

Ot, za chwilę wujek Jakub przywita się i zapyta: „No jak, jeszcze nie dotarliście do Boga?” Niesie duże truskawki z nowego zbioru. Przyjaźnie kiwa palcem.

— Mychajło Kuźmiczu, dzień dobry...

— Witajcie, Jakubie...

— Mówią, że obchodzicie dziś czterdzieste piąte urodziny?

— Mówią prawdę...

— No, to wieszczę wam. Weźcie tych truskawek, spróbujcie, bardzo smaczne.

— Ale dlaczego?

— Właśnie z tej okazji... ze szczerego serca. Bierście, nie krępujcie się. No, jak tam, do Boga jeszcze się nie dobraliście?

Sahajdak uśmiechnął się, skosztował truskawkę. Chłodny, wonny owoc był miękki, soczysty.

— Bardzo smaczna, dziękuję. I za powitanie, i za dar. Jeszcze nie jadłem truskawek w tym roku. A jeszcze bardziej lubię poziomki. Jak pojedę do matki, najem się ich do syta...

— Macie rację — zgodził się ogrodnik. — Poziomka ma mocny zapach. W truskawce rozdaliśmy owoc, ale utraciliśmy siłę dzikiej jagody. Tak, tak. No i co — dokąd już dotarli nasi astronomowie, oglądacze gwiazd? Złapaliście Pana Boga za brodę?

— Jeszcze nie złapaliśmy, Jakubie — odpowiedział żartobliwie Mychajło. — I chyba nie złapiemy. Co by to był za Bóg, gdyby go można było złapać za brodę!

— Mądrze gadacie — pokiwał głową ogrodnik — A jednak można go zobaczyć.

— Jak to? — zaciekawiał się uprzejmie Sahajdak.

— W jego tworach. Jakże tak, patrzycie na niebo, przed wami taka wspaniałość, a wy nie widzicie, nie rozumiecie, że to wszystko zasiał wielki ogrodnik. Bo jakże? Wszystko ktoś zrobił...

— No, Jakubie — odparł wesoło Sahajdak, zając truskawki — łatwo jest zaprzeczyć waszemu pogładowi. To tylko tak się zdaje, że w niebie jest piękno i ład. Wybuchają gwiazdy i powstają nowe, i rozpadają się w strzępy planety, ot, jak na przykład, Faeton. A na naszej Ziemi ile wszelkiego świństwa? Czego tu nie ma — i pluskwy, i drapieżniki, i gady, i jadowite wszelakie paskudztwo. A co się dzieje wśród ludzi?

— Zły ogrodnik — powiedział smutno wuj Jakub. — Zasadzono dobry ogród, ale ogrodnik pijaczyna...

— Cóż to za ogrodnik? — zapytał Mychajło.

— A ludzie. Człowiekowi powierzona została ważna sprawa. A co — może nie tak? Bóg dał cały świat człowiekowi: twórz, ciesz się, rób porządek, nie krzywdź słabych i młodszych. A my co? Ha?

— No, to już bajeczka o Adamie i Ewie. Słyszałem, słyszałem. Dziękuję. Muszę już iść do obserwatorium. Pogadamy sobie innym razem...

— No, to idźcie, idźcie! — Potrząsnął głową ogrodnik, uśmiechając się życzliwie. — Szukajcie, szukajcie, Mychajło Kuźmiczu... Małościę kaszy zjedli...

Sahajdak szedł do obserwatorium i rozmyślał, jak może na tej samej planecie istnieć obok siebie tyle odmiennych poglądów na świat? Instrumenty astronomiczne mogą już badać odległości miliardów lat świetlnych, podczas gdy na wyspach Oceanii istnieje kult przodków, przedpotopowa magia, niektóre plemiona Afryki czy Ameryki Południowej wierzą w demony, modlą się do nich, składają im ofiary. Ale po co sięgać tak daleko: w krajach cywilizowanych, na przykład w Anglii, istnieją związki więdźm i czarowników, które wydają własne czasopisma i książki. Odprawiają czarne msze do szatana, wierzą w istnienie wszelkiego diabelstwa. Dziwna to rzecz — świadomość człowieka. Ot, ten wujek Jakub: dobrze zna osiągnięcia astronomii, czyta regularnie wszystkie pisma i książki popularnonaukowe, wie nawet o teorii względności, a jednak nie zapomina o Biblii i wszystkie zdo-

bycze nauki ocenia w duchu swego światopoglądu. Nie ma nic bardziej konserwatywnego niż umysł ludzki...

Sahajdak wszedł do chłodnego hallu. Z laboratorium fotograficznego wyrzał młodszy asystent Saszko Pomyślujko. Przywitał się z radością, pokazując zdjęcia ułożone w wachlarz.

— Mychajło Kuźmiczu! — zawołał, podając zdjęcia Sahajdakowi. Miał rude włosy uczesane na jeża. W złotopiwnych oczach igrały słoneczne zajaczki. — Mychajło Kuźmiczu, przysłano nam nowe zdjęcia z Armenii!

— Kwazary? — zapytał podniecony Sahajdak.

— Kwazary. Szybkość: pięć szóstych szybkości promieniowania.

— Ho-ho! — Mychajło wziął fotografie z rąk Saszki. — Dziesięć miliardów lat świetlnych. Ano, zobaczymy!

— Można by włączyć do twojej dysertacji — rzekł Saszko. — To byłoby znakomite!

— Nie można postępować tak anarchicznie. Najpierw pomyślimy...

— Pomyślimy — zapewnił Saszko. — Podyskutujemy...

— Hm, o czym tu dyskutować! Przecież nic nie wiemy. To są tylko spekulacje. Domysły. A tu niezbędne są kardynalnie nowe idee. Odważne idee...

— No, to odwiedź nasze kółko „Kosmos i ja”. Studenci, aspiranci. Są nawet kandydaci nauk. Dlatego dyskusje toczą się na poziomie studenckim — agresywnie i chaotycznie. Nie zapomniałeś jeszcze o latach studiów?

— Nie, nie zapomniałem — uśmiechnął się Sahajdak, oglądając zdjęcia. — Wpadnę kiedyś. Nafaszerujesz mnie materiałem wybuchowym. Może i moja dysertacja weźmie w łeb...

— E, tam — powiedział z uznaniem Saszko, pocierając z zadowoleniem ręce, stwardniałe od pilników i kolb — Dobra dysertacja, nie udawaj. Prawda, jest w niej trochę ortodoksyjności, ale...

— Co: ale — zainteresował się Mychajło. — Może byś wyjaśnił, po koleżeńsku...

— Nic takiego — uspokoił go Saszko. — Wszyscy tak robią. Co Boskie — Bogu, a co cesarskie — cesarzowi.

— Prawda — westchnął Mychajło. — Spróbuję przejrzeć. Nie można inaczej.

— No, to odwalą. Lepiej niech idzie tak. Trzeba przecież pokłonić się także ortodoksom!

— Ale czy trzeba? A zresztą to jest pytanie scholastyczne. Popatrzę, zastanowię się. Więc mówisz „Kosmos i ja”? Trzeba będzie posłuchać. Dziękuję, Saszko. A u nas jest coś nowego?

— Czerwona plama znów się aktywizuje. Tej nocy uzyskaliśmy cudowne widma i zdjęcia. Przynieść?

— Poczekaj. Przecież dziś moje urodziny. Chcę się wyłączyć. A od jutra — urlop.

— Winszuję — powiedział serdecznie Saszko. — Życzę gwiazdzistego zdrowia. Termojądrowego...

— Dziękuję — roześmiał się Sahajdak. — Przyjdź dziś do „Moskwy”, wypijemy po kieliszku...

— Co ty? Będę się tam czuł niezręcznie. Wiesz, ci wszyscy nasi doktorzy i starszyna...

— Jakie to ma znaczenie? — zdziwił się Sahajdak. — Przecież jesteś moim przyjacielem. Przyjdź...

— Nie mam pieniędzy na prezent...

— Głuptasie, i bez tego zrobisz mi przyjemność. Może nawet większą niż ci z akademii. Wśród nich mało jest zapaleńców. A szkoda. No, bywaj. Nie zapomnij, o szóstej. Pierwsze piętro. Kelnerzy ci pokażą...

— Dobrze, przyjdę...

Sahajdak wszedł do swego gabinetu, siadł za biurkiem. Rozłożył zdjęcia. Ileż razy oglądał już podobne zdjęcia, ale i tym razem nie mógł pohamować wzruszenia, nie mógł opanować jakiegoś mistycznego lęku. Wśród kosmicznego mroku, w niewiarygodnej odległości, wibruje, mieni się upiornym ogniem gwiazdokształtna kula. Miliardy lat świetlnych, nieogarnięty rozumem dystans dzieli ją od naszego świata. Niebywała masa, zdumiewająca jaskrawość, dorównująca wielu galaktykom. Jak to możliwe, cóż to za fenomen kosmiczny, nie mieszczący się w ustalonych ramach kosmogenezы?

Świecie, świecie, ile kryjesz tajemnic?! Jakiś czas uczeni sądzili, że uda się ciebie opisać i wytłumaczyć przy pomocy jednej lub kilku uniwersalnych formuł. Te nadzieje wyglądają dziś śmiesznie. Im bardziej zagłębiamy się w bezmiar, tym bardziej złożona staje się struktura wszechświata. Nawet nie możemy pomyśleć, że zbliżyliśmy się do wyjaśnienia lawiny zagadek kosmicznych.

Przeciwnie — potok informacji staje się coraz potężniejszy i konieczne jest jakieś całkiem nowe podejście, nowa koncepcja dla zrozumienia prawidłowości rozwoju świata.

Kwazary, niesłychanej mocy skupiska nadgwiazdne. Naruszają wszystkie zasady ustalone dotąd przez teorię. A nieustanne rozszerzanie się metagalaktyki? Dokąd pędzą te miriady światów, jaka siła rzuca je w nieskończoną przestrzeń? Jak zakończy się ten tytaniczny wybuch i czy się zakończy? A może hipotezy o powstaniu wszechświata z pierwotnego atomu są jedynie mechaniczną igraszką umysłu? Rozum domaga się zachowania prawa przyczynowości — wszystko, co istnieje, musi mieć swego poprzednika, swoją pramatkę. Gdzie więc tkwi przyczyna powstania praatomu? Uprzednie zwieranie się metagalaktyki w gęstą masę? Więc nasze współczesne rozszerzanie się przeistoczy się także w proces zagęszczania? Możliwe — to brzmi dialektycznie, materialistycznie, to dałoby się przyjąć. Można by stworzyć bazę teoretyczną, dokonać obliczeń. Ale co to da? Czy wzniesie myśl na nowy szczebel poznania? Chyba nie. Tego rodzaju uproszczenie kosmogenezy niczego nie wyjaśnia, hamuje tylko dalsze poszukiwania. Nie, rozwiązanie tkwi w czymś innym. Może nie trzeba wcale poszukiwać go w bezmiarze kosmosu, lecz znacznie bliżej. Może w nas samych, może w widzialnej żywej przyrodzie, która nas otacza...

Saszkowski radzi, by włączyć kwazary do dysertacji. Łatwo powiedzieć — włączyć. Ale w którym miejscu? Może do rozdziału „Rytm istnienia”? Trzeba by popracować nad analizą matematyczną. Taak! Zbyt wielkie nagromadzenie materiału wybuchowego... Ale to kusi... Jednolite pole. Pierwotne zgęszczenie. Nagromadzenie mas. Wzrost potencjału grawitacyjnego, a stąd — pozytywnej krzywej przestrzeni. Powstaje nadgęsta pragwiazda. Po prostu, nie gwiazda w naszym rozumieniu, lecz coś niezwykle zwartego, gdzie nie istnieje czas ani przestrzeń w pojmowaniu wulgarnym. Skoncentrowany embrion bytu. Zawał grawitacyjny. Całkowita izolacja. Ani jeden kwant energii, ani jeden foton światła nie może wymknąć się z pułapki grawitacyjnej takiego superświata. Za to on — ten dziwny świat — staje się swoistym pasożytem kosmosu: pożera, wsysa wszystko, co go otacza, zwiększając kry-

tyczną szczelność swego jądra. Wreszcie nadchodzi moment, w którym siła odśrodkowa przeważa, do głosu dochodzi nie znana nam jeszcze reakcja eksplozji (wielekroć silniejszej od reakcji termojądrowej czy nawet całkowitej anihilacji). Jądro rozlatuje się na wszystkie strony, tworząc w tym momencie czas, przestrzeń, galaktyki, metagalaktyki, dając początek ewolucji wszechświata. Dobrze jest! Nie bacząc na eksplozję, pozytywna krzywa przestrzeni utrzymuje się, świadczy o tym rozpęd galaktyki. Sfera światła usiłuje rozsadzić pierścień odwiecznej grawitacji. Czy kiedykolwiek dojdzie do tego? Tak. Gdy wyczerpie się energia pierwotnego wybuchu. Wtedy od nowa — statyka, pierwotne zagęszczenie, stan jednorodnej jedności, dającej początek powstawaniu nowych jąder bytu!

A więc? Włączyć? Powiedzą, że to jest zbyt spekulatywne! Rada naukowa odrzuci, kierownik naukowy profesor Bud'laska za nic w świecie nie udzieli poparcia takiej samowoli. Dysertacja musi zawierać tylko to, co już zostało stwierdzone, co nie spowoduje niepożądanych reakcji!

Sahajdak uśmiechnął się. A co zostało stwierdzone? Co jest niewzruszoną prawdą? Sama Ziemia mknie w przestrzeniach, przecinając w locie chmury kosmicznych mgławic, przyjmując potoki promieniowania kosmicznego. A te liczne promienie — kto je wymierzył, kto policzył? — przeszywają tkankę biosfery ziemskiej, stają się nowym składnikiem mózgu ludzkiego, nieoczekiwanym elementem składowym liści i kwiatów, owoców i drzew, ciał zwierząt i ptaków. Cóż to za osobliwe laboratorium kosmiczne! Nie przestąpiliśmy nawet jeszcze jego progu, choć wystrzeliliśmy kilkadziesiąt statków kosmicznych. Ziemia potrzebuje więcej myślenia kosmicznego niż sputników i gwiazdolotów...

Drzwi gabinetu uchyliły się. Zajrzała przez nie woźna Wala. Jej chytre oczki uśmiechały się.

— Można? — zapytała.

— Wejdz, wejdz — kiwnął głową Sahajdak. — Co tam masz, Walu? Jakąś korespondencję?

— List zza granicy. Z Indii.

— Z Indii? Daj no prędzej...

— Proszę. — Wala położyła na biurku dużą kopertę. — Ale, Mychajło Kuźmiczu, mam do was wielką prośbę...

— O co chodzi?

— Takie piękne znaczki! Jak przeczytacie, dacie mi?

— Bo co, jesteś filatelistką?

— Aha.

— Chętnie, Walu — rzekł wesoło Sahajdak. — Weźmiesz sobie. Ja tych skarbów nie zbieram. Dziękuję ci...

Wala, nucąc wesoło, wyszła z gabinetu. Sahajdak obejrzał kopertę. Od kogo może być ten list? Zdaje się, że nie miałem tam żadnego korespondenta. Aha, na odwrocie znajduje się nazwisko nadawcy. „Swami Rishideva”... Rishideva?! Swami?! On?

Sahajdak poczuł, że ciepła fala napływa mu do serca, ręce mu ścierpły. Nie zapomniał. Po długiej, niewymownie długiej przerwie! On już nie wspominał dalekich czasów młodości. Wojna, niewola, dziwna ucieczka — wszystko stało się snem, marzeniem, nieprawdopodobieństwem. I dziwne rozmowy w kamieniołomie, w baraku, i wędrówka przez góry... Jak kadry filmu przygodowego...

Sahajdak rozerwał kopertę. Były w niej dwie mniejsze koperty i złożona we czworo kartka. Rozłożył ją, wypadły dwa zdjęcia. Mój Boże, kto to jest? Siwobrody wspaniałe patriarcha w zawoju, z ognistymi czarnymi oczami — czyżby to Rishideva? Ileż on teraz może mieć lat? Po pięćdziesiątce. Taka otchłań czasu, przeszło ćwierć wieku. A na drugim zdjęciu uśmiechnięta jasnooka twarz amerykańskiego lotnika. Harry Fitzgerald Thawn, pułkownik. Mało się zmienił, tylko głęboka linia między brwiami, gorzkie zmarszczki koło ust, wyraźniej zakreślony podbródek.

Mychajło odłożył fotografie i zabrał się do listu. List napisany był po angielsku.

Drogi Mychaju!

Dotrzymałem obietnicy, znalazłem Rishidewę w Himalajach, teraz piszemy do ciebie razem. Nie bałeś się zwykłych bomb podczas wojny — czy nie przerazi cię bomba czasu? Mam nadzieję, że się zobaczymy. Swami wszystko ci wyjaśni. Ściskam cię

Harry F. Thawn.

Dalszy ciąg listu napisany był po ukraińsku. Wyraźny, prosty charakter pisma, powściągliwe zdania:

Swami Rishideva śle szczere powitanie bratu Mychajle. Czytałem niedawno w kilku pismach ukraińskich wzmianki o tobie, o waszym obserwatorium. Zrozumiałem, iż nadeszła pora, kiedy powinniśmy się spotkać. Nie zapomniałeś o tym, co było? Znasz zapewne nienaruszalne prawo wszechświata — każde ziarno musi wzejść i dać owoc.

Prawem brata przypominam ci o przyrzeczeniu. Złożyliśmy je wspólnie. W tych listach składamy ci sprawozdanie. Oczekujemy wzajemności. Będziemy na sympozjum filozoficznym w Pradze. Czy przyjedziesz? Bardzo dobrze by się złożyło. Spotkanie jest nieodzowne.

Życzę ci radości i pokoju

Swami Rishideva.

Drżącymi rękami Mychajło rozciął następną kopertę. O czym on przypomina? O jakiej obietnicy? O młodzieńczej przysiędze złożonej wśród łoskotu pocisków, w obliczu śmierci? Zapomniał o niej. Zapomniał czy... nie chciał pamiętać? Jak ona brzmiała? Życ dla innych. Życ nie dla siebie. Romantyczne słowa, abstrakcyjne dążenia z kręgu utopii. Każdy krok, każdy oddech związany jest z własnym ciałem, z własnymi myślami, interesami, potrzebami. Czy nie nazbyt długo przeciąga się ta mistyczna, daleka gra? Czego chce Swami Rishideva?

Na niebieskich kartkach cienkiego papieru spokojne, szczere rozmyślanie. Opowieść o tym, co najbardziej intymne, głębokie, ukryte. Nie ma żadnych tajemnic, wszystko pozostawia się do osądu bratu, towarzyszowi, współjownikowi...

Mój bracie z dalekiej i tak bliskiej mojemu sercu Ukrainy, wybac mi, że tak długo nie wzywałem ciebie, nie pisałem, nie przypominałem o sobie. Byłeś ze mną w snach, w myślach. Widziałem ciebie w wizjach, posyłałem ci życzenia radości i dobrego samopoczucia. Chciałem, byś sam był ogrodnikiem swojego rozumu. Minął długi czas, teraz można spojrzeć, co wyhodowałeś, jakie kwiaty ducha rozkwitły na twojej sławnej ziemi?

Postępuj więc teraz, co było ze mną. Na fotografii wyraźnie widać nieubłagany bieg czasu. Lecz to są znaki mai — złudzenia rozłąki. Niech cię nie zmylą. Uznaję tylko jedną miarę życia — natężenie twórczości, która panuje nad starym, nieubłaganym Chronosem. Po naszym rozstaniu wróciłem do korpusu ekspedycyjnego. Do końca wojny pracowałem w szpitalu. Potem wróciłem do Indii. Mój udział w wojnie pomógł mi zrozumieć rozmiary światowej walki między światłem i mrokiem. Nasza historiografia, nasze podręczniki, obserwatorzy polityczni i działacze ślizgają się po powierzchni wydarzeń, nie są w stanie dotrzeć do sedna dramatu świata. Jest wiele różnych nurtów w rozwoju planetarnym, ale najważniejszym z nich jest pojedynek człowieka i zwierzęcia. Wszystko inne — stanowi tylko jakiś aspekt jednego z tych zjawisk. Zresztą o tym później — podczas naszego spotkania.

Powróciłem do drogiego mi aśramu. O, radości spotkania z guru! Czy wy, Europejczycy, wiecie, kim jest Nauczyciel Serca? Guru nie potępił mojego postępowania i wyjaśnił mi jego przyczynę. W każdym z nas drzemią miriady potencjalnych ziaren przeszłości — dobrego i złego. Nie możemy zniszczyć w sobie niczego; ani ascetyzm, ani samobiczowanie, ani post, ani modlitwy, ani intelektualizm, ani pokuta, ani przysięgi, ani obietnice — nic nie pomoże, nie uwolni nas od zła. Niech ujawnia się wszystko, i im prędzej, tym lepiej! Ostatnie wydarzenia na świecie, olbrzymie konflikty różnych narodów — stanowią przyspieszony objaw nagromadzonej w cyklach historycznych psychodynamicznej energii narodów. Ta psychodynamika nieuchronnie prowadzi do sublimacji, do wyrafinowania, do ucłowieczenia świata — przez rewolucje i powstania ducha. Żywiołu ognia nie można powstrzymać. Jeszcze bardziej niemożliwe jest zakucie go w dogmaty i kanony religijne, w ograniczone symbole bóstw i ortodoksyjnych nauk.

Ja odszedłem od tradycyjnego szlaku jogi niewtrącania się w nurt rzeczywistości, lecz moje zerwanie było właśnie tym wybuchem, protestem przeciw zastygłym tradycjom przeszłości. Indie już nie są tym krajem, jaki malowali jeszcze niedawno Europejczycy. To nie jest śpiący olbrzym, którego myśl pogrążona jest w kontem-

placji transcendentnego, a ciało zakute w kajdany cudzoziemców — chytrych i podstępnych okupantów. O, nie! Wielka Bharata ocknęła się, obudzona geniuszem Vivekandy, Ramakrishny, Gandhiego i Nehru. Nie oderwała się jeszcze od wielu umowności minionych wieków, wciąż jeszcze starannie dogania bogaty technicznie Zachód; ale między tymi dwoma iluzorycznymi prądami krystalizuje się nowa siła, ujawnia się nowa świadomość.

Indie są niepowtarzalne. Wielowiekowe osiągnięcia starożytnej mądrości w połączeniu ze zdobyczami naukowymi współczesności powinny wydać piękny owoc. Dalsze szczegóły, podczas naszego spotkania, mój bracie! W liście nie można wyrazić wszystkiego. Chcę jednak przekazać ci, do czego doszedłem zastanawiając się nad współczesnym światem: ludzkość z niezwykłą szybkością zmierzka ku kryzysowi. Jego przyczyna to absolutyzacja jednego kierunku: technicznego. Wszystko zostało podporządkowane technice. Nawet sam człowiek stał się niewolnikiem techniki, marionetką prawidłowości rozwoju technicznego. Życie uczuciowe, psychiczne i duchowe stało się czymś drugorzędnym; istnieje groźba pojawienia się na arenie planetarnej nowej ewolucji (raczej inwolucji), ewolucji szybko działających maszyn, które wkrótce usamodzielnią się.

To, i wiele innych przyczyn, zmusiło mnie do wyboru pewnej metody postępowania. Znalazłem wyjście. Guru dopomógł mi. A potem przyszła Ona. Zobaczysz ją kiedyś, będzie również twoim przyjacielem. A zresztą jest twoim przyjacielem — tyle rozmawialiśmy o tobie. A więc przyszła, stała się nieodłączną częścią mojego ja, mojego życia i sprawy. Po prostu i niedostrzegalnie ukazała mi wiele nowych możliwości, o których nie myślałem. Przyjacielu Mychajle, czy Ona jest w tobie? Niepowtarzalna, bez której gwiazdy wydają się zimnymi płomykami gazowymi, a drzewa i kwiaty — materiałem doświadczeń naukowych? Jeżeli jest — witam ją. Jeśli nie ma — czekaj, Mychajło. Przyjdzie na pewno.

Guru powiedział mi, zrozumiałem to później, że przyszłe poznanie struktury świata jest niemożliwe bez udziału dwóch pierwiastków — kobiecego i męskiego. Rzecz tu nie w równouprawnieniu kobiety — to robi się w wielu krajach. Chodzi o występowanie syntezy dwóch

energii o różnych znakach. Tak jak bez kobiety nie może urodzić się dziecko, tak i nowego świata — świata wolności i syntezy — nie można stworzyć bez Wielkiej Matki. Może dla ciebie, Mychajło, wszystkie te myśli stanowią tylko dziwną grę słów, ale dla mnie, dla Niej — to codzienna realność, którą żyjemy i oddychamy.

Wybrałem nową ścieżkę w nauce — wzajemny związek wszystkiego żywego i „nieożywionego” w przyrodzie, organicznego i nieorganicznego. Związek między ludźmi i zwierzętami, gwiazdami i kwiatami, ptakami i Słońcem. I nie tylko mechaniczny związek, którego łatwo można dowieść, lecz świadomy związek na podstawie prawa jedności, który ma doprowadzić w przyszłości do powstania całkowicie nowego człowieka.

Świadomy związek!

Skala stanie ci się bratem, ptaki — drogimi przyjaciółmi, dalekie gwiazdy — siostrami. Będziesz rozmawiał z drzewami, usłyszysz pieśń morza, do twych uszu przypłynie muzyka sfer, jaką rozkoszował się wielki Pitagoras. Myślę tu nie tylko o muzycznej percepcji świata, którą odznaczyli się genialni kompozytorzy. Myślę o obiektywnej realności — powstawaniu oznak nowego współżycia, współżycia języków i zjawisk jeszcze na razie podzielonego świata.

Konieczne są badania — rozległe, na olbrzymią skalę, odmienne od tradycyjnych poszukiwań. Niezbędna jest współpraca uczonych różnych krajów. Potrzebni są entuzjaści. Potrzebni są ludzie, którzy zrzekną się własnych potrzeb i zachcianek, którzy będą żyć dla społeczności, dla przyszłości. Ja wiem — wielu ludzi wyśmiewa takie poglądy. Dla nich życie — to rozkosz, zaspokajanie pragnień, pogoń za dobrami materialnymi, ambitne zakusy na istnienie i wolność innych ludzi. Chodzi jednak przecież o to, że można wskazać tym ludziom, udowodnić im iluzoryczność ich pragnień. Oni nic nie zdobywają — ani kobiet, ani maszyn, ani władzy, ani bogactwa. Tym bardziej miłości!

Oni zdobywają mają. A jedyna realność — Atman — zostaje poza zasięgiem ich pragnień, choć niosą go w sobie, choć są zbudowani z niego, choć są — nim.

Nie możemy zdobyć dla siebie tego, co jest poza nami. Możemy to wszystko uświadomić sobie. Poznanie to

synteza świadomości. Dotychczas nauka nie poznawała. Gromadziła fakty. Poznać — to pojąć. Nie znamy jeszcze żadnej tajemnicy przyrody. Korzystamy z nich, ale nie znamy tego silnika, który wiezie nas naprzód. Czy może wstecz?

Mieszkamy w Sikkimie, w cudownej dolinie himalajskiej; tu znajduje się nasz aśram, nasze laboratorium. Mamy wielką oranżerię, mnóstwo kwiatów. Przylatują do nas ptaki — nasi przyjaciele. Przyjedź, drogi Mychajle, zobaczysz wiele ciekawych rzeczy. Zobaczysz, jaka staje się przyroda, kiedy się odnosi do niej jak do uduchowionej cząstki własnego ja. Tak! Tak! Nie dziw się! Dotychczas nauka tworzyła dla człowieka sztuczne dźwignie, by powiększyć siłę, przyspieszyć obliczenia, zyskać mechanicznych służących dla swoich potrzeb. Ale czy naukowcy zastanowili się nad tym, że tworzą nowe niewolnictwo, niewolnictwo mechanizmów. A każde niewolnictwo kończy się buntem. Nie buntuje się tylko przyjaciel. Ten musi poszukiwać sprzymierzeńców. I nie tylko dla siebie, dla nich. Może jesteśmy bardziej potrzebni im, młodszym braciom — roślinom, zwierzętom — niż one nam. Udało się nam, wyszliśmy na drogę intelektu, opanowaliśmy żywioły, chcemy wyjść w przestrzeń, przerwać pierścień grawitacji i przyczynowości. Ale zapomnieliśmy o tych, którzy dopomogli nam i pomagają dotąd. Tych, którzy są jak my, tych, którzy dają nam energię potrzebną do myślenia, mowę, odzież i ciepło, łoże i buty. Nie zapominajmy o faunie i florze planety. Nie można nas oddzielić od nich. I nie uwolnimy się sami, jeśli nie uwolnimy ich. Musimy pomóc wszystkiemu, co żyje, całemu światu organicznemu i nieorganicznemu, by oświadczył rozumem, wszedł w nurt świadomej ewolucji. Jeśli zignorujemy prawo solidarności, kosmos zemści się na nas okrutnie i bezlitośnie. Nawet wśród dzieci pierwszą zasadą każdej gry jest uczciwość. Naruszyliśmy to święte prawo. Graliśmy nieuczciwie, naruszyliśmy równowagę w przyrodzie. Równowagę między kobietą i mężczyzną, równowagę między ludźmi a zwierzętami i roślinami, pomiędzy materią i duchem, między techniką a psychiką, między spożywaniem a dawaniem. Za dużo braliśmy. Teraz nastąpił czas oddawania. A co oddajemy? Popatrz, drogi Mychajlo, na lasy, rzeki, na pola, na miasta —

szczególnie na Zachodzie. Lasy przetrzebiono, okaleczono; rzeki i jeziora są zatrute, ziemia wycieńczona; powietrze pełne jest trujących wyziewów wielu tysięcy fabryk i zakładów przemysłowych. Kiedy się zatrzyma ten proces? Czy nie dojdzie do kataklizmu?

Przyszłość ludzi będzie piękna, jeśli ludzkość tego zechce. To brzmi jak paradoks, prawda? Powtarzam jeszcze raz: po to, by zwrócić uwagę na możliwości istniejące dookoła nas, mogące dopomóc złączyć nici nowego świata, potrzebni są odważni entuzjaści, ogromne samowyrzeczenie i zrozumienie sytuacji. Nie wolno tracić ani jednej sekundy. Siły zagłady nie śpią. Samo z siebie nic nie powstanie. Jeśli ewolucja prowadziła żywy świat w ciągu miliardów lat na szczyty rozumu, to drogę powrotną ludzkość może odbyć w jednej chwili. W ciągu jednej, strasznej, haniebnej chwili, gdy naszą Ziemię otoczy ciemność niebytu. Istnieje taka możliwość, musimy odważnie spojrzeć prawdzie w oczy.

Mamy tylko jedno wyjście — świat braterstwa. Świat ogólnego, wspólnego rozwoju dla wszystkich i wszystkiego. Prawo równości, które proklamował wasz kraj przed półwieczem, jest prawem kosmicznym. W myśl tego prawa atom i człowiek posiadają tę samą wartość. Różnica między nimi polega jedynie na stopniu ujawnienia się.

Bracie Mychajle! Kończę list, lecz nie żegnaj się z tobą. Wiem, że się spotkamy, że będziemy mieli dużo wspólnego. Ty patrzysz w gwiazdziste niebo, ja widzę w duszy niebo nowego świata, na którym gwiazdami będą piękni ludzie.

A więc do zobaczenia. Posyłam ci moje serce.

Rishideva.

Mychajło odłożył list, zamknął oczy. Policzki go piekły, w skroniach boleśnie pulsowało. Istotnie, bomba czasu, jak pisał Harry! Wszystko wróciło, nic nie zostało zapomniane — ani przyrzeczenie, ani młodzieńcze porywy, ani szalone marzenia! Swami pisze o samowyrzeczeniu, o poszukiwaniu jedności, o nowym człowieku. Zapytuje: „Czy jest w tobie Ona”. Nie nazywa jej nawet kobietą czy żoną. Ona! Jak to pięknie brzmi. Więc czy jest w nim Ona? Zaczekaj, nie śpiesz się. Jeszcze chwilę żyć pod urokiem piękna! A później... później...

Sahajdak otworzył list od Harry'ego. Z trudem czytał zamaszyste, ukośne litery:

Kochany Mychaju!

Los mnie ocalił. Guru Swamiego powiedział prawdę, wtedy gdy byliśmy w niewoli. Wiele przeżyłem od chwili rozstania się z tobą, lecz kostucha nie czepiała się mnie. Dwa razy zostałem zestrzelony w walkach powietrznych nad Europą. Odniosłem wiele ran od kul i odłamków, lecz jak widzisz, jestem zdrow i cały. Nie zapomniałem o niczym. Śniesz mi się każdej nocy, widzę kamieniołom, naszą ucieczkę, słyszę wystrzały. Pamiętasz, jak nas przydybali na przełęczy? Ha, ha! Istna mistyka. Idziemy na oczach wroga, a on nic nie widzi! Jest nad czym się zastanowić.

Znam sporo niezrozumiałych wypadków, odbiegających od normy. Sam byłem świadkiem, kiedy nasz pilot spadł bez spadochronu z wysokości dwóch tysięcy metrów. Rozumiesz: nie otworzył się ani pierwszy spadochron, ani zapasowy. Biedak wybierał się już na tamten świat. Nie powinno zeń było zostać nawet miazgi. Ale w rzeczywistości — niech to licho! — pozostał cały, całuteńki. Nie zemdlął nawet. Nie odbił sobie wątroby ani nerek. Lekarze nie mogli pojąć. Pytaliśmy go, co czuł podczas tego lotu. Powiedział, że strasznie nie chciał umierać i świadomie całą swoją energię, podkreślam „świadomie”, skoncentrował na myśli, by powstrzymać spадanie, nie rozbić się. A może spontanicznie zaczął w nim działać jakiś nie odkryty dotychczas w ludziach organ lewitacji? Rishideva nie odrzuca takiej możliwości. Twierdzi nawet, iż należałoby przeprowadzić odpowiednie eksperymenty.

Odbiegłem od tematu. Przepraszam. Teraz o sobie. Po wojnie wróciłem do Stanów. Otrzymałem pracę na lotnisku doświadczalnym. Oblatywałem nowe typy samolotów — przede wszystkim odrzutowce. Podobała mi się szybkość, która wyrывała mnie z więzów powszedniości. Inni koledzy po lotach wracali do zwykłego życia — hulanki, libacje, kobiety. Ja nie mogłem. Nie dlatego, że złożyłem przyrzeczenie, choć i to miało zapewne swoje znaczenie. Coś zmieniło się we mnie. Zacząłem zastanawiać się nad sensem życia. Nie mogłem go traktować lekko, trywialnie. Niedawno jeszcze — płonące piece,

w których palono miliony ludzi, okopy i równiny stanowiące wielkie cmentarze. A potem od razu — zabawy, rozpusta, oszustwa i sprzedajna miłość. Okropny cynizm. Dlaczego więc musieli umrzeć ci, którzy szli obok nas, żywych?

Mówią: smutna konieczność. Mówią: los. Mówią: ofiara złożona w imię pięknej przyszłości. Mówią wiele różnych rzeczy. Ale ja nie wierzę. Dlaczego zwyrodnialcy muszą tańczyć kankana nad zwłokami ofiar? Dlaczego sprzedajni politykierzy mają spekulować imionami milionów bohaterów?

Odsunąłem się od ludzi. Jedynym pocieszeniem stała się przestrzeń. Później spotkałem moją Elly. Dziewczynę z bajki, ze snu. Pamiętasz, często widywałem w snach dziewczęta. We śnie wybierałem sobie narzeczoną! Nie wierzysz? Jak chcesz. A jednak Elly jest jakby z legendy. Powiesz, że Harry rozkleił się, że wpadł w tani sentymentalizm. Spotkasz się z nią, sam się przekonasz. Dała mi czworo dzieci. Trzech chłopców i dziewczynkę. Rosną, harmideru mnóstwo, willa trzęsie się w posiadach, ale ja jestem rad, jestem szczęśliwy. Żyję dla nich, żyję dla przestrzeni. Chcę wytyczyć nowe drogi pod niebem. Nie dla wojny, dla zdobycia wiedzy.

Było wiele niebezpieczeństw. Sam wiesz: Ameryka to kraj kontrastów. Kocham moją ojczyznę, ale przygnębia mnie jej arbitralność i okrucieństwo. Żal mi Kennedy'ego — rozumiał wiele i widział drogi naprawy. Nie dali mu dokończyć zaczętego dzieła — ciemności są silne.

Ja również odczułem ich siłę. Proponowano mi pewne loty, na które się nie zgodziłem. To na długo zahamowało moją karierę. Gwiżdżę na to! Nie pragnąłem sławy, ani bogactwa. Powiesz, że jestem nietypowym Amerykaninem! Nie ja jeden. Jest nas wielu: ludzi, którzy pragną nowego, czystego, jasnego życia, nie zaśmieconego zyskiem i interesownością.

Przed kilku laty przeszedłem do pracy w NASA. Jest to instytucja zajmująca się opanowaniem przestrzeni kosmicznej. Latam na „X-15”. Cudowna, uniwersalna maszyna. Stanie się w przyszłości kosmiczną barką desantową dla lotu ze sputnika do planet. Istnieje możliwość, że wkrótce polecę na Księżyc. Pewnie czytałeś o projekcie „Apollo”. Żyję tym marzeniem, chcę spotkać na

starym satelicie Ziemi moich radzieckich kolegów. Oto, gdzie są nieskończone szlaki rozwoju — bezmiar kosmosu. Leć, zdobywaj, odkrywaj! Dla ciebie — radość nowego, dla ludzkości droga do doskonalenia się.

Wspominałem już, że prócz radości, jaką mi daje rodzina, moją największą radością jest lot. A może i nie oprócz... Dla mnie obie te rzeczy są jakoś nierozdzielne. Patrząc w oczy moich dzieci — widzę w nich niebo, gwiazdy. Latam w ciszy przestrzeni kosmicznej — słyszę dźwięczny śmiech dzieci, widzę zamyślane, niespokojne spojrzenie Elly.

Niezapomniane są momenty startu, kiedy ognisty żywioł wynosi mój okręt w bezmiar. Odczuwam wówczas fizycznie skoncentrowaną potęgę ludzkiego ducha. Wiesz, Mychaju, nie paliwo wyprowadza raketę w przestrzeń, nie mądre konstrukcje uczonych — to są tylko kulisy rozumu. Za tymi zjawiskami kipi duch, to on pokonuje siłę grawitacji, chce się uwolnić, zdobyć nieograniczoną wolność.

Wolność! Tylko ją zdobywali ludzie w nurcie ewolucji. Nic więcej! Nie ogień ani koło, ani maszyny, ani rakiety, ani teleskopy, ani światopoglądy, ani rewolucje! Wszystko to są etapy poszukiwań wolności, pragnienie swobody. Siła ciężenia trzyma nas mocno na Ziemi. Walczyliśmy z nią zawsze. I meźnieliśmy w tej walce, poznawaliśmy siebie, szukaliśmy rozwiązania. Cała ewolucja to walka z grawitacją, z ciężeniem. W górę, w górę, w górę!

Szkoda, że nie mogę zabrać ciebie, gdy lecę. Zrozumiałbyś moje myśli. Nieważkość — to szczególne uczucie. Niekiedy wydaje mi się, że wychodzę poza granice własnego ciała, obserwuję siebie z przestrzeni kosmicznej. Opowiadałem o tym zjawisku Swamiemu. Nie zdziwił się, powiedział, że to jest prawidłowe. Przy zwiększaniu szybkości wchodzimy w sferę nowych, subtelných energii. Inne odczucia, inne emocje. Możliwe jest nawet pojawienie się nowych ciał, powstanie nie znanych przedtem funkcji i organów. Niezwykle czasy! Przed ludźmi otwiera się piękna droga. Czy wybiorą ją? Ta myśl niepokoi wszystkich myślących. Nie bez kozery sympozjum filozoficzne zwołane zostało pod hasłem: „Dokąd zmierza człowiek?” Dokąd?

Drogi Mychaju! Choć jestem teraz w Indiach — przyj-

mij również pozdrowienia od mojej rodziny. Pokochasz ją, to twoi szczerzy przyjaciele.

Pisz. Albo lepiej przyjedź do Pragi. Spotkamy się.

Może chciałbyś jeszcze wiedzieć, dlaczego jestem w Indiach?

Przeczytałem w czasopiśmie naukowym o niezwykłych doświadczeniach Swamiego. Przypomniałem sobie o mojej obietnicy. I pojechałem. Przekonałem się na własne oczy. Nie będę opowiadać ci o tym, bo i tak byś nie uwierzył. Przyjedziesz — zobaczysz.

Całuję mocno

Harry F. Thawn.

Sahajdak włożył listy do kopert. Podniósł się z biurka. Podszedł do okna. Smutno mu się zrobiło. Dlaczego? Coś nieuchwytnego, niewidzialnego zaniepokoiło serce.

W ciągu długich lat budował — starannie, uparcie, niezmordowanie — schronienie swojej duszy, w którym odkładał wszystko, co wydawało mu się pewne, niezaprzeczone, solidne. Nie sięgał po gwiazdki z nieba, lecz uczciwie pracował, z oddaniem, był wyrozumiały dla poglądów innych ludzi, nie stawał nikomu na przeszkodzie. Ożenił się, założył rodzinę. Wszystko jak inni. Jak inni...

A teraz nadleciał wiatr przeszłości i trzeszczy słaba budowla. Mychajło z lękiem spostrzega, że stracił tyle czasu i możliwości i ciężko mu. Tak, poświęcił się ulubionej pracy, dążył do gwiazd, ale czy praca stała się dla niego święta, czy był czysty, czy poświęcał się w imię prawdy?

Nie, nie ma prawa powiedzieć tego. Milczał, kiedy trzeba było zabrać głos, nie słuchał, gdy trzeba było się wsłuchać, popierał, gdy trzeba było sprzeciwić się. I pajęczyzna obojętności oplótła mu duszę, a rozum również zaczął się pokrywać niepostrzeżenie szarą osłoną. Mychajło z trudem mógł myśleć, marzyć, oderwać się od codzienności. Oderwać się! Wstyd nawet wspominać o czymś takim.

Przyjaciele, pragniecie usłyszeć moje szczerze wyznanie! Chcecie wiedzieć, jak dotrzymuję mego przyrzeczenia? Cóż mogę wam powiedzieć? Co napiszę, co opowiem podczas naszego spotkania? Gdzieś popełniłem błąd.

Gdzieś pospieszyłem się ze skokiem do burzliwego potoku, który poniósł mnie w mgłę. A potem obojętność, zmęczenie. Słusznie piszecie, że bez Niej nie można stać się nowym człowiekiem. Bez ukochanej, bez przyjaciela, bez żony, która wyczuwa każde tchnienie, każdy poryw duszy i serca.

Powiem otwarcie — nie spotkałem jej. Już dawno to zrozumiałem, ale milczę, przyzwyczaiłem się, nie chcę naruszać rytmu powszedniego życia. Ale to obłuda. I nadchodzi zapłata — jest już niedaleko, czuję to.

Jak to się stało? Kiedy?

Daleki czterdziesty drugi rok. Uciekli wtedy z niewoli, dotarli do partyzantki jugosłowiańskiej. Swami i Harry pożegnawszy się z Sahajdakiem wyruszyli do swoich. A on pozostał z partyzantami. Nocował w jaskiniach, pod gołym niebem, w śniegu. Brał udział w wyprawach, zaprzyjaźnił się z Chorwatami, Serbami, Czarnogórcami. Jacy to dzielni ludzie! To przedziwne, że u ludzi w groźnych chwilach otwiera się serce i ukazują skarby duszy. Zwykli chłopcy czy drwale wykazywali w walkach i wyprawach taką odwagę, takie bogactwo ducha, jakie nie ujawniłoby się nigdy w zwykłym czasie.

Mychajło lubił słuchać ich pieśni. Przypominały mu ojczyznę, Ukrainę. Ten sam smutek przynosiła kozacka przeszłość, taki sam ognisty humor i wesołość, tę samą nadzieję na przyszłość. Podobny strój, zwyczaje ludowe i przysłowia, a co najważniejsze — język. Gdzieś w mrokach historii rozeszli się rodzeni bracia po różnych ziemiach. Lecz bratnie serce nie zapomniało o jednej krwi, wśród wrażej burzy poznają się nawzajem i brat podaje rękę bratu na znak niezłomnego związku, którego nikt nie rozerwie.

Były rany, były bitwy. Wszystko było. Skończyła się wojna. Sahajdak wrócił do domu. Aresztowano go — w jaki sposób wy dostał się z niewoli, kto mu pomógł, dlaczego pozostał w Jugosławii?

Nie wierzono mu. Śmiano się z opowieści o ucieczce z kamieniołomu. A potem — oburzano się na jego upór. Po co te bajki? Dlaczego nie jest szczery? Szczere wyznanie zmniejszy wymiar kary. Kara, za co? Za tajne kontakty z wywiadem zagranicznym. Istnieją informacje. Najlepiej, żeby przyznał się sam. Nie ma do czego się

przyznać? To bardzo smutne. Zapewne utracił podczas wędrówek na obczyźnie resztki uczuć patriotycznych.

Sahajdakowi udało się zawiadomić rodzinę. Przysłali mu trochę odzieży i żywności. Okazali pomoc. Sprawę zbadano dokładnie. Zapytywano w państwach sprzymierzonych, szukano dokumentów. W końcu zwolniono. Pozwolono jechać na Ukrainę.

Wieś rodzinna była spalona. Połowa mieszkańców zginęła podczas okupacji, wielu nie wróciło z wojny. Lecz odbudowano chaty, urodziły się nowe dzieci. Życie brało górę...

Sahajdak wstąpił na uniwersytet. Chciał urzeczywistnić stare, najdroższe marzenie — zostać astronomem. Mieszkał kątem u starej kobiety, płacił czterysta rubli. W nocy wstawał, zapalał lampkę, polował na pluskwy, gniótł je i wrzucał do kubła. Wczesnym rankiem biegł na dworzec kolejowy, wyładowywał worki z wagonów lub węgiel z platform. Po otrzymaniu wypłaty biegł do stolówki a potem na uniwersytet. Czasami matka przywoziła paczkę, tak zwaną „wałówkę”. Wówczas rozkoszował się, zając z kolegami z kursu domową kielbasę lub smażone kartofle. Było wszystko — chłód i głód. Ale o tym zapomniało się, pozostały w pamięci namiętne dyskusje o pochodzeniu wszechświata, o dalekich planetach, o nowych hipotezach, które wstrząsały podstawami fizyki współczesnej.

Potem aspirantura. Spotkanie z Niną. Gdzie się spotkali? Zdaje się, że na jakimś wieczorku u znajomych. Było wesoło. Atmosfera miła i niewymuszona. Grała muzyka, szampan iskrzył się w kieliszkach. Poznano ich ze sobą. Duże niebieskie oczy. Kędziory. Istny anioł. Zatańczyli. Anioł miał smukłą postać i wysoki biust. Nina wpatrywała się w Sahajdaka. Ach, te tajemnicze spojrzenia kobiece! Pełne tajnych, urojonych obietnic! A potem — pustka. Powszedniość, szara codzienność, poszukiwanie nowych przygód, nowej „tajemnicy”.

Nina wiedziała, czego chce. Nie poprzestała na pocałunkach i objęciach. Ich stosunki uregulował formalnie urząd stanu cywilnego. Były gratulacje, wesele, miesiąc miodowy. Dlaczego miodowy? Co za kretyńskie pojęcie! Co mają do siebie miłość i miód? Tam gdzie słodycze — nie ma kochania. Miłość — jaka ona jest? Może istnieje

jakieś naiwne książkowe sformułowanie? Nie wie, nie dowiadywał się. Nie wierzył w nią, ściślej mówiąc, zwątpił. Bo przyzwyczaił się, przywykł do wygody, do pajęczyny życia. Skrzydła namiętnego poszukiwania, marzenia powiesił gdzieś na kołeczku zubożenia. Okrutne? A czy nie tak? Nawet gwiazdy, dalekie piękne światy — przekształcił w narzędzia do swojej rozprawy doktorskiej. Ha-ha! Spróbuj zaprzeczyć! Gwiazdy i stopień naukowy. Tytuł doktora i nieskończoność. Tajemnica kwazarów i wysokie pobory. „Ile pani mąż dostanie podwyżki?” „Cudownie! Będzie można kupić nowe meble.” „Pani mąż ma przed sobą wspaniałą przyszłość...”

A chłopcy-kosmonauci latają nad Ziemią. Latają w miniaturowej żelaznej skorupie. I kto wie, co ich tam oczekuje? Geologowie idą nad górskimi potokami, najmniejszy kamyk może ich zrzucić do burzliwego potoku, na skały. A chłop ociera spocone, okryte kurzem czoło, grzbiet go boli z ogromnego wysiłku. Czy znałem, czy odczuwałem takie napięcie? Czy kroczyłem nad przepaścią?

Swami, Harry, co ja odpowiem na wasze listy, na waszą szczerość? Zaplątałem się jak mucha w pajęczynie. Mogłem i nie zrobiłem, pragnąłem i nie osiągnąłem, miałem szanse i odwróciłem się od nich. Miałem... a może nie? Nie wiem... Wiem tylko jedno — nie dotrzymałem młodzieńczej obietnicy, wybrałem spokój, zacisze. Gorzko mi, ciężko, wstyd...

Mychajło znów podszedł do biurka, usiadł na krześle. Pisać? Opowiadać o sobie? Nie warto. Na takie cudowne listy odpowiadać w minorowym tonie? Nie można. Lepiej podczas spotkania. Oko w oko. Serce do serca... Tak będzie lepiej...

Podniósł arkusz czystego papieru. Napisał adres: *Swami Rishideva. Darjeeling. Sikkim. Indie.*

Potem krótko:

Witam, całuję was obu — Swami, Harry. O niczym nie zapomniałem, bomba czasu eksplodowała. Szczegóły podczas spotkania, będę na sympozjum w Pradze.

Mychajło Sahajdak.

Nacisnął dzwonek. Do gabinetu weszła Wala. Chciwym okiem patrzyła na kopertę.

— Przeczytaliście już, Mychajle Kuźmiczu?

— Już, gołabeczku. Weź sobie. Tylko zostaw mi adres.

— Oj, dziękuję wam! To uzupełni moją kolekcję! Przyjaciółka umrze z zawiści.

Sahajdak uśmiechnął się smutno. Ot, masz. Nawet w takich drobiazgach ujawnia się zarodek zawiści, rywalizacji. „Moje zbiory są jedyne w swoim rodzaju.” A dlaczego nie szukać znaczków dla przyjaciółki? Czemu nie pragnąć czegoś dla towarzysza? Życzyć, żeby to on miał niezwykłą kolekcję?

— Walu, z łaski swojej, wyślij depezę...

— Chętnie, dokąd?

— Do Indii. Zdaje się, że zagraniczne są droższe?

— Po pięćdziesiąt kopiejek za słowo. Czy po trzydzieści. Zapomniałam.

— Nic nie szkodzi, zaraz pójdziemy do kasjera, odbiorę zaliczkę urlopową. Wystarczy piętnaście rubli...

Sahajdak wysłał Walę na pocztę, schował pieniądze, wrócił do gabinetu. Zajrzał Saszko, zapytał:

— No, i co z kwazarami?

— Nie mam do nich głowy — machnął ręką Sahajdak.

— Co się stało? Masz jakiś dziwny wyraz twarzy.

— Jak ci wytłumaczyć? Przeszłość... Dawni przyjaciele przysłali list, no i... zaczęło się rozmyślanie...

— Rozumiem — kiwnął poważnie głową Saszko. — Przeszłość bywa smutna. Ale nic, w dniu urodzin trzeba odrzucić smutki...

— To prawda — uśmiechnął się Mychajło. — Do diabła ze smutkiem. Będziemy się bawić. Wiesz — jakoś nie idzie mi praca. Pozostawiam ci wszystkie manele, zrób porządek. A ja idę. A więc umówiliśmy się — o szóstej w restauracji „Moskwa”.

— Tak jest! Zrobi się — powiedział Saszko mrugając porozumiewawczo.

Sahajdak wyszedł z obserwatorium. Słońce podniosło się wysoko, nad jabłoniemi brzęczały złote roje pszczół. Ogrodnik pracował na grządce. Mychajło zbliżył się wolno do niego i stanął. Jakub podniósł głowę, skinął życzliwie.

— Wiosenny nastrój? Piękna pogoda. Nie można usiedzieć w gabinecie. Przecież mówię prawdę — jakaś dziw-

na nauka zapanowała teraz. Wszystko papiery, papiery. Ludzie siedzą w pokojach. Duszno. A na dworze tak pięknie. Serce zamiera z radości. Posłuchajcie, jak śpiewają pszczoły... Słyszycie? A słowik jak śpiewa? Chwali słońce. Odmawia prawdziwą modlitwę, nie taką jak w cerkwi, za pieniądze. Słowik śpiewa bezpłatnie...

Sahajdak wysłuchał długiej tyrady wuja Jakuba, westchnął i rzekł:

— Tak, tak. Mówicie prawdę. Nauka cokolwiek oddaliła się od żywej przyrody. Jest wiele teorii — martwych i bezsilnych. Dużo wskazówek, nakazów. A rozumienia — mało...

— Otóż to — odezwał się zadowolony ogrodnik. — Nie wszystko, co nowe, jest piękne...

— A powiedzcie mi, Jakubie, po co żyje człowiek? Na co? Jak uważacie? Tylko powiedzcie po swojemu, nie cytujcie Biblii...

— Ha-ha, dała się wam ta Biblia we znaki. Jest w niej wiele mądrości, Mychajle Kuźmiczu. A jednak powiem własnymi słowami. Człowiek przychodzi na świat, by czynić dobro. Jak słońce...

— Słońce?

— Aha, właśnie ono. Popatrzcie — słońce nie pyta, czy wam trzeba promienia, czy nie. Daje, i kwita. A to już twoja sprawa — przyjąć czy nie przyjąć. Podobnie człowiek. Musi czynić dobro, nie myśląc o tym, czy przyjmą je czy nie...

— Dziwnie mówicie — rzekł zamyślony Sahajdak. — Słońce jednak może wyrządzić krzywdę. Można narazić się na udar słoneczny, można spalić sobie skórę, słońce wywołuje pożary, posuchy...

— E, niemądrze mówicie — pokiwał ogrodnik głową. — To nie wina słońca. Tylko ludzi. Woda może obracać turbiny i może zniszczyć wieś, zatopić ludzi. Ze wszystkim tak jest. Z dobrem też. Dobro jest dla nierozsądnego, dla złoczyńcy — nieprzyjemne. Tu już należy rozróżniać — co i gdzie. Przecież nie można porównywać zło dzieja z człowiekiem pracy...

— No, cóż, może macie rację. Dziękuję wam, do widzenia...

— Bądźcie zdrowi, bywajcie...

Sahajdak wyszedł na ulicę, zatrzymał się, zamyślił. Tak

po prostu? Tak zwyczajnie? Żyć, by czynić dobro. Czyżby w tym była odpowiedź? A jeśli twoje dobro wydaje się komuś złem, czy należy go wówczas uważać za zbrodniarza i łajdaka? Czy to nie zbyt prymitywne rozwiązanie? Nie, coś nie tak. I daleko od jedności, o której marzy Swami...

Rzucił okiem na zegarek. Wpół do trzeciej. Jeszcze pozostało sporo czasu. Można się przejść. Szedł aleją, patrzył na samochody, na przechodniów, na wesołe wiosenne dziewczęta. Na Sahajdaka spoglądały z ciekawością, uśmiechały się powabnie, tajemniczo mrużyły oczy. Jak zawsze, jak zawsze. Na próżno, on już nie wierzy, nie odpowie na wezwanie, bo wie — nie ma tajemnicy. A jednak serce bije mocniej i słodka słabość rozlewa się w piersi. Przyroda, przyroda... Narobiła maszynek, biologicznych marionetek. Myślimy, że jesteśmy wolni, głosimy wolność woli. A gdzież ona? Szarpnie wiosna za sznurek i już zapomina się o przysięgach, obietnicach, uczciwości. Gigantyczna maszyna — niepojęta i paradoksalna. Na co jej rozum, po co potężny duch ludzki? Mogła poprzestać na instynktach. Nie, ofiarowała straszny dar zwierzęciu, pozostawiła je na pastwę losu. Zmagaj się ze sobą! Czy można znęcać się złośliwiej, okrutniej? Kosmiczny rozum i odwieczne uczucia. Duch nieskończoności i ograniczone, godne politowania ciało. Transcendentne porywy i fizjologia. Jak to się stało, że w jednej istocie skupiło się tyle różnych ewolucji — od ameby do istoty myślącej... Czy to wybryk przyrody, niewiarygodny przypadek w całej strukturze wszechświata, czy może eksperyment wyższych istot myślących? Jeśli eksperyment, to okrutny. Swami chce wysublimować człowieka, zbratać świat, uczynić go jednolitym. Robimy to w socjologii? Czy finał blisko? Czy wkrótce ukaże się upragniony brzeg równości i braterstwa? A co mówić o jedności duchowej? Może to chimera? Może samouspokojenie, szlachetna igraszka uczciwej myśli?

Gdzie jest prawda? Jak obiektywnie ją poznać?

Sahajdak podszedł do piwiarni, stanął. Wypić, czy co? Przypieka, trzeba się trochę ochłodzić. Stanął w kolejce za małym człowieczkiem z czerwonym nosem. Ten obejrzał się, uśmiechnął życzliwie. Wyciągnął zza pazuchy wielką suszoną tarań. Powąchał ją.

— Poczęstuj się, bracie. Piwo twoje — ryba moja. Zgoda?

— Zgoda — zgodził się wesóło Sahajdak.

Zamówił cztery kufle piwa, postawił je na denku dużej beczki. Nowy znajomy zakrzętnął się, rozdarł rybę, hojnie podał Mychajle spory kawał. Popijając pienisty napój, wychwalał rybę:

— Przywieźli ją aż z Chersonia. Tarań pierwszej klasy. Mój kum jechał tam po rury. Mówię mu: nie zapomnij o tarani. Do piwa — niezastąpiona. No, to przywiózł. Jakież to piwo bez tarani!

Sahajdak pił, wachał rybkę, żuł czerwonawe włókna, chwalił. A podchmielony gość rozgadał się na dobre:

— Z wszystkiego widać, żeś ty człowiek uczony. Uczony, prawda? I dobry. Rozumiesz mnie. A żona, moja żona! Baba niepiśmienna, a przeklina. Wymyśla mi. Powiada, po kiego licha związałam się z tobą, bałwanie? Męcę się całe życie. A dlaczego się męczy? Przecież jestem wesółym człowiekiem. Prawda, żeś wesóły? Ty od razu to zauważyłeś. Nie wstydzisz się pić ze mną. Nie gardzisz. A ona powiada: wstyd mi chodzić z tobą po ulicy. O, ja jej powiem: ze mną piją wielcy ludzie. Ugaszczają mnie... Jesteś moim kumplem, nie? Chodźmy do mnie, pokażę cię żonie. Powiem — popatrz, popatrz, suko, jakich ja mam przyjaciół. A ty powiadasz — wstyd! Jestem wesółym człowiekiem... Chcesz jeszcze rybki?

— Dziękuję, nie chcę. Muszę już iść. Czekają na mnie...

— Szkoda. Zaprowadziłbym cię do mojej żony. Pokazałbym jej... Wiesz co, daj pół rubla. Masz tarańkę. Napijesz się jeszcze piwa. Ugościsz kolegów. Nie jestem chciwy — weź...

Mychajło dał pół rubla, wziął rybę. Co tu gadać? Uczciwa gra. Spróbuj pouczyć tego człowieka, zwymyśla cię, wyłaje, będzie uważać za łajdaka. O Swami, Swami, jak znaleźć kluczyk do bezliku różnych zamków w duszach ludzi, by doprowadzić ich do czystej postaci człowieczej?

Począł na trolejbus, wsiadł, dojechał do filharmonii. Pozostały dwie wolne godziny. Zszedł więc alejami do mostu dla pieszych, przeszedł na plażę. Na nadbrzeżnych

piaskach roilo się od ciał, wesoło szczebiotały dzieci, dziewczęta demonstrowały smukłe opalone nogi, chłopcy spoglądali nieufnie i pogardliwie.

Mychajło przeszedł się nad brzegiem, z dala od tłumu, i rozebrał się. Z uczuciem rozkoszy przepłynął do boi i z powrotem. Zrobiło mu się lekko, wesoło na duszy. Zdawało się, że woda zmyła jakąś pajęczynę, odświeżyła go, napełniła ciało nowym rytmem. Dziewczęta stały się powabniejsze, przyzwoitsze, chłopcy poważniejsi, a życie — cenne, pełne treści. Minorowe myśli wydawały mu się teraz bezsensowne. Może tak jest naprawdę? Trzeba żyć swobodnie, wesoło, nie zastanawiając się nad odwiecznymi problemami bytu. Potok życia płynie od miliardów lat i wie, dokąd nas niesie. Od ameby do człowieka. Skąd więc teraz to uczucie zagubienia?

Mychajło ubrał się i zawrócił do parku. Po krótkim spacerze wśród tłumu, skierował się do restauracji „Moskwa”.

Nina już czekała na pierwszym piętrze. Goście przybywali, witali się, składali życzenia z okazji urodzin, upominki. Serwisy, statuetki, jakieś pudełka, książki. Mychajło przyglądał się temu, z zakłopotaniem zmarszczył czoło. Po co? Dlaczego? Można jeszcze zrozumieć, kiedy ofiarowuje się prezenty młodziakom gołym jak święci tureccy. Pierwsze kroki. Ale on ma mieszkanie i wszystkiego pod dostatkiem. Po co mu te stosy naczyń, figurki, kupa zbędnych rzeczy? Kiepska tradycja, dziki zwyczaj...

Nina uśmiechała się do wszystkich, promieniała jak księżyc w pełni. Mychajło ścisnął ręce doktorów, kandydatów, akademików, członków-korespondentów. Szef sali wskazywał miejsca przy stołach, grała muzyka.

Właśnie przyszedł kierownik naukowy Mychajły, profesor Bud’laska. Przyjaźnie poklepuje Sahajdaka po ramieniu, wsuwa mu grubą łapę do ręki. Oddycha ciężko, chrypiąc.

— Dobra kompania, dobra. Phu-phu... W gardle mi zaschło, trzeba zwilżyć. Mam nadzieję, że będzie koniaczek? He-he. Ja grzeszny, lubię koniaczek. No, jak tam dysertacja — musi się odleżeć? Nie szkodzi, nie szkodzi, po-

pijemy dziś troszeczkę. Już niedługo. Znakomity podarunek urodzinowy — doktor nauk. To będzie mój podarunek. Co? Ha-ha! Nie trzeba wdzięczności, przecież cię lubię. Gdzie mam usiąść? Nie żądam według mego stanowiska, byle obok siedziała ładna dziewczyna. Ha-ha! Dobrze, że żona zachorowała, przynajmniej zrobię oko do jakiejś... Phu-phu. Żartuję... Witam, Nineczko. Pani jest dziś uroczą. Anioł. Rusałka...

— Ależ co pan mówi, Sawo Mykytowiczu, jaka tam rusałka! To przeminęło...

— Nie szkodzi, nie szkodzi — błysnął profesor wilgotnym spojrzeniem — może pani śmiało rywalizować z młodymi. He-he... Gdybym był młodszy o dwadzieścia lat, zalecałbym się do pani! Mychajle Kuźmiczu, nie obrażajcie się — to takie starcze gładzenie. Chciałaby dusza do raju, ale... Phu-phu! Nie te latka! No, gdzie mam usiąść — prowadźcie...

Nina zaprowadziła profesora i usadowiła go na czolowym miejscu, wśród najwybitniejszych gości. Mychajło uśmiechał się, ścisnął dłonie, odpowiadał na pytania. W duszy czuł obrzydzenie, wydawał się sobie nieszczerzy, nieuczciwy. Nie jak człowiek, lecz jakiś aktorzyzna w kiepskim prowincjonalnym teatrze.

Przyszedł Saszko. Skrępowany, boczkciem, pod ścianą podszedł do Sahajdaka, wetknął mu do rąk bukietik niezapominajek. Podrapał się w rudą czuprynę i powiedział, kryjąc zawstydyzenie:

— Winszuję, przyjmij z całego serca. Pojechałem za miasto, nzbierałem...

— Dzięki — rozczulił się Mychajło, wachając kwiaty. Zapachniało polem. Świeżością. — Dużo jest wypieszczonych kwiatów, ale takich — nie ma. No, zrobiłeś mi przyjemność. Dobry chłop z siebie... Idź, usiądź...

— A może ja sobie pójdę? Co? Bo jestem jak ta biała wrona. Tu zebrało się takie grono naukowców...

— Nie wygłupiaj się. Sam będziesz wkrótce uczonym...

— Nie chodzi o tytuł. Nie mam porządnego ubrania...

— Idiota z siebie — rozgniewał się Sahajdak. — Sjadaj, wybierz sobie według gustu pannę albo mężatkę, potańczysz...

Saszko, chowając gruzłowate ręce za sobą, ruszył nie-

śmiało w stronę stołu. Nina obejrzała go nieufnie, podbiegła do męża.

— A skąd to straszycie? Kto go zaprosił?

— Ja, Nineczko. To mój współpracownik, Saszko...

— Oj, Michasiu, ty masz dowcipy! I po co zapraszasz różnych takich? Jaki to ma sens?

— Nino! — szepnął wzburzonym głosem Mychajło. — Nino, co ty mówisz? Jak śmiesz?

Żona spojrzała na purpurową twarz Mychajły, poklepała go po dłoni.

— No, no, zażartowałam. Niech będzie! Od razu się złościsz. Nie można słowa powiedzieć. Do rzeczy, oddaj mi zaliczkę urlopową. Dostałeś?

— Tak. Ale teraz jakoś niezręcznie...

— Co tam niezręcznie. Będzie rezerwa, może wypiją i zjedzą więcej, niż zaplanowałam. Nie wydałeś nic?

— Piętnaście rubli na depeszę.

— Zwariowałaś? Za piętnaście rubli można posłać setkę depesz.

— Zagraniczne są droższe. Do uczonego w Indiach. Stary znajomy...

— A, to co innego. Zgadzam się. Może się przydać. Zaczniemy? Siadaj do stołu...

Goście hałaśliwie zajmowali miejsca, brzęczały naczynia, nalewano wino. Profesor Bud'laska wstał z miejsca, wznosił kielich napełniony szampanem, zmrużył oko, spoglądając pod światło.

— Pozwólcie mi, phu-phu... jako starszemu koledze nowo narodzonego Mychajły... otworzyć ten uroczysty wieczór. Nie wybierzemy prezydium? Nie? Przyjęte jednogłośnie. Honorowe prezydium? W honorowym prezydium znajdują się panie — obecne i nieobecne. Co? Nie ma sprzeciwów? Ha-ha, porządek dzienny, a raczej wieczorny, jest znany. Pierwszy toast — za Sahajdaka, za solenizanta! A ponieważ — phu-phu! — w każdym sa-hajdaku znajduje się strzała, więc wypijmy również za jego strzałę — za boską Nineczkę.

Goście wybuchnęli śmiechem, wypili. Nina zaczerwieniła się, roześmiała się wesoło. Zaczęły pracować szczęki, zęby. Zabrzęczały widelce, talerze.

Akademik Mysoczka, geolog, podniósł się z miejsca. Opowiedział jakąś anegdotę, obecni zarechotali, pili pie-

przówkę, oklaskiwali Mysoczkę. Zagrała orkiestra jazzowa. O solenizancie zapomniano, istniał jedynie jako symbol, jako nagłówek, pod którym można pisać, co się komu żywnie podoba.

Sahajdak siedział za stołem z maską uśmiechu na twarzy, pił, prawie nic nie jadł. Patrzył mętnym spojrzeniem na rozgardiasz, usiłował zorientować się w chaosie myśli płaczących się w głowie. Co tu mają do rzeczy urodziny? Co on tu robi? Jakie znaczenie ma jego zawód astronoma? Jego gwiazdy, które płyną w przestrzeni? Komu to potrzebne? One są gdzieś tam, w bezmiarach — czyste, płomienne... A tu — syci ludzie, dziwaczna muzyka, płaski humor i pustka... Pustka w duszy... Gdzie jest myśl? Gdzie intelekt? Gdzie wynik pełnych napięcia poszukiwań myśli i uczuć tysięcy i tysięcy ludzi? Kiedyś też hałasowali, tańczyli wokół ogniska, rozbijali kości mamuta o kamienie, wysysali krew i mózg, upajając się odwieczną brutalną siłą. Było tak, było! Ale działo się to pod gwiazdami, pod koronami olbrzymich drzew, po udanym polowaniu. I wybierano tam godnych lub niegodnych, i bawiono się całym plemieniem, całym rodem, sławiąc umiejętności myśliwych, ciesząc się, że na długo odpędzone zostały od siedzib ludzkich głodne noce i dni.

Czyżby nic się nie zmieniło? Tylko powstał nabłonek kultury, powstały składniki cywilizacji: zamiast jaskini — budynki, zamiast ogniska — lampy neonowe, zamiast krwawego ochłapa — wyszukane dania, zamiast skór — tkaniny nylonowe!

— Co ci jest, Michasiu? — szepcze mu do ucha Ninczka. — Czemu patrzysz jak zwierz na ludzi? Wieczór udał się znakomicie, goście są zadowoleni. Może źle się czujesz? Może ci niedobrze... Piłybys mniej...

— Znakomicie, he? — uśmiechnął się pijacko Mychajło. — Powiadasz, że goście są zadowoleni? To do-o-obrze... To do-o-brze...

— Bardzo — cieszyła się Nina, składając usta w ciup. — Wprawdzie sporo to kosztowało, ale za to jaka reklama! Pojedziemy do Gagr, potem Praga, potem otrzymasz doktora. A potem będziemy myśleć o członku-korespondencie. Ach, Michasiu, tylko słuchaj mnie, a ja wciągnę cię na szczyty...

Ha-ha! Ona wciągnie mnie na szczyty. Na szczyty —

wciągnie! A to dopiero! To wprost genialne. I siądzie Sahajdak na szczycie i będzie chrząkać jak wieprz do gwiazd. A może gwiazdy już nie będą potrzebne? A po co — skoro się jest na szczycie. Genialne! Swami Rishi-deva marzy o zbratanyim świecie. A Harry chce wyrwać się z niewoli przyciągania ziemskiego. Ha-ha! Śmieszni dziwacy. Nie lecieć, lecz zostać wciągniętym na szczyty... I wszystkie problemy są rozwiązane...

Sahajdakowi zakręciło się wszystko przed oczami. Cienie, różne cienie. Trudno wśród nich coś odróżnić. Nie szkodzi. Chyba tylko oczy. Czyje to oczy? Zdaje się, że Saszki. W oplocie dymu, czadu, zachłannych ciał, perfum — pełne wyrzutu, surowe, złocistopiwne oczy...

Słowo drugie — dokąd idzie człowiek

Kto przeniknął swoją myślą wszystkie światy i nie zachwycił się żadnym z nich, ten nazwany zostanie Zwycięzcą, albowiem zwyciężył wszystkie światy.

Gautama

Spotkali się w alei gęstego ogrodu otaczającego praski Pałac Kongresów. Sahajdak przechadzał się samotnie między krzewami róż, wdychał subtelny zapach kwiatów, przysłuchiwał się szczebiotowi ptaków, które roiły się wesoło wśród drzew. Z daleka rozległ się melodyjny dźwięk — uderzenie w gong, znak, że wkrótce rozpocznie się pierwsze posiedzenie sympozjum. Mychajło z żalem spojrział na zaciszny zakątek ogrodu, zawrócił i nagle zobaczył ich...

Harry i Swami stali w końcu alei i patrzyli na niego. Zachłysnął się ze wzruszenia, nie wiadomo dlaczego poprawił kłapy marynarki, rzucił się w stronę przyjaciół. Swami wziął go w objęcia. Sahajdak poczuł, jak zalewa go niewidzialna, potężna fala wzruszenia. Zdawało się, że runęła na niego góra przeszłości, a jej odłamki zamknęły mu usta. Nie było zwyczajnych ziemskich słów, nie wystarczyło ich. Starzy przyjaciele wzięli się za ręce, popatrzyli sobie w oczy, nad nimi płynęła mądra cisza.

Zabrzmiał drugi gong. Mychajło otarł łzy radości, cofnął się nieco, obejrzał wysoką, chudą postać Swamiego w białej szacie, zapatrzył się na jego majestatyczne oblicze okolone siwą gęstą brodą, na kontrastujące z nią czarne, płomienne oczy.

— Jesteś jak bóstwo, Swami — wyszeptał.

— Jesteś w niewoli mai, przyjacielu — łagodnie zaprzeczył Hindus. — Dla mnie bóstwem jest moja stara, okryta zmarszczkami mateczka. Nie zachwycaj się formą

zewnątrzną. Mamy w Indiach mnóstwo sadhu-rozbójników, którzy z powierzchowności przypominają bóstwa...

— Sympozjum rozpoczęło się poza obrębem Pałacu — powiedział z uśmiechem Harry. — Popatrz również na mnie, Mychaju. Do kogo jestem podobny?

— W tej chwili do Jacka Londona — powiedział żartobliwie Sahajdak, ściskając mocno dłoń Amerykanina. — A na zdjęciu wyglądasz jak nadczłowiek. Przy tym jeszcze w mundurze. W cywilnym ubraniu jest ci do twarzy... Otrzymaliście moją depezę?

— Tak — odpowiedział Hindus. — Ale listu nie było. Spodziewamy się, że opowiesz nam wszystko o sobie...

— Teraz? — odezwał się słabym głosem Sahajdak. — Już późno... za chwilę otwarcie sympozjum...

— Spotkamy się podczas przerwy — rzekł Hindus. — Ale posmutniałeś, przyjacielu. Nie chcesz opowiadać? Stało się coś złego?

— Przyjaciele — powiedział ciężko Mychajło. — Powiem wam szczerze — nie pod każdym względem jest dobrze. Znalazłem się na rozdrożu. Wiecie, jak to się zdarza w lesie: zejdziesz ze ścieżki — i zabłądzisz.... Potem znikasz na długo w gęstwinie i nie wiesz, jak się wydostać z niej bez przewodnika. Tak samo ze mną...

Swami wziął w dwa palce śnieżnobiały kwiat róży, zgiął i położył na dłoni. Na płatkach zadrżały tęczowym blaskiem przezroczyste krople rosy.

— Patrz, Mychajle. Ona nie pyta o drogę, pije promień słoneczny, zwracając mu piękno i owoc. Jeśli postawisz krzak róż w pokoju, roślina zwróci się do okna, dążąc tam, gdzie światło...

— Jeśli w pokoju jest okno — powiedział smutno Sahajdak, patrząc w ziemię. — Sprawa jest bardziej złożona, Swami. Pajęczyna. Już dawno się w nią zaplątałem. Dawne przyrzeczenia, które złożyliśmy razem, inercja rozumu, ból duszy... Nie wiem, co począć. Z jednej strony wielkie możliwości. Z innej — fatum...

— Fatum jest dla ludzi pozbawionych woli — rzekł surowo Swami. — Karman oznacza w ścisłym przekładzie działanie. Jeśli siedzisz — nigdzie nie dotrzesz. Jeśli idziesz — nieuchronnie dojdiesz, skoro wiesz, czego chcesz...

— To dziwne — rzekł Harry, kładąc rękę na ramieniu Mychajły. — Wiesz, sądziłem, że tobie jest lżej niż mnie. Jesteś astrofizykiem, masz przed sobą niebo, nieskończoność. Duch wypełniony radością. Ja jestem pilotem. Związany jestem z maszynami, planami, mam ograniczone możliwości...

— Nie rozumiesz, Harry — westchnął Mychajło. — Chodzi tu nie o stronę zewnętrzną. To może przedstawia się u mnie lepiej, ale sprawy osobiste, wewnętrzne...

— Nie musisz już nic mówić — powiedział Swami. — Pojąłem. Czasami lepsza jest burza niż cisza. Pajęczyna — to straszne. Nieomal niewidzialna, a zatrzymuje wielkie i silne owady. Są skrzydła, są pragnienia, widać przestwór, ale nie można polecieć. Machasz skrzydłami i tkwisz w jednym miejscu...

— A potem zbliża się pająk — dokończył cicho Sahajdak.

— Jasne — skinął głową Harry. — Teraz wyjaśniło się trochę. Ona?

— I ona też — sprecyzował Mychajło. — Prawdę powiedziałeś, Swami, lepsza jest burza...

Rishideva rzucił na towarzysza dziwne spojrzenie, powiedział zamyślony:

— To przyjdzie.

— Co?

— Burza. Zgodnie z prawem przeciwieństw. Gdzie zbiera się zbyt wiele pajęczyny — można oczekiwać pożaru. Przy tym — obietnica. Pamiętasz, co powiedziałem ci wówczas, w górach?

— Sądziłem, że to żarty, abstrakcja...

— A teraz, jak sądzisz?

— Nie wiem. Nie jestem pewny. To jest tak odległe od praktyki...

— Mylisz się, Mychajle. I przekonasz się o tym. Ale już czas na nas. Spotkamy się podczas przerwy. W tym samym miejscu. Zgoda?

— Zgoda.

— No, to chodźmy...

Przyjaciele rozeszli się. Sahajdak odnalazł swoją delegację w wielkim hallu pałacu. Kierownik delegacji akademik Berehowyj z niepokojem doglądał swoich podopiecznych jak kwoka kurczęta i powtarzał ciągle:

— Uważajcie, towarzysze, nie dajcie sobie dmuchać w kaszę. Wiecie, jak oni umieją chytrze podsunąć takie czy inne słówko? Wy również nie pozostawajcie dłużni... Z drugiej strony — wystrzegajcie się odchyłań lewicowych. Wiecie, czasem człowiek nie może się opanować... Chce zaimponować frazesem, erudycją, niezwykłą myślą. Ale słowo nie wróbel, wyleci — a potem tłumacz się, człowieku...

— Według mnie nie ma nic strasznego — wzruszył ramionami Mychajło. — Wymiana myśli. I my wygramy, i oni. A zresztą, co znaczy: oni? Tu są dziesiątki szkół...

— Otóż to, otóż to! — zagroził palcem akademik. — Dziesiątki. A nasza: jedna jedyna. Będziemy trwać jak forteca...

— Nauka nie jest fortecą — zaprzeczył Sahajdak. — Nauka przypomina raczej szturmowe oddziały wojska. Zawsze w marszu!

— Widzicie — rozłożył ręce Berehowyj, spoglądając z wyrzutem na członków delegacji. — Nawet w naszym gronie nie możemy dojść do uzgodnienia stanowiska. Cóż dopiero tam? Towarzysze, polegam na waszej powadze i rozsądku. Czas...

Szerokie drzwi sali głównej otwarły się, barwny tłum uczonych i dziennikarzy zaczął rozplýwać się po rzędach amfiteatru. Uczestnicy sympozjum zajmowali miejsca dookoła okrągłego stołu. Mychajło usiadł, rozejrzał się po sali. Pod ciemnoniebieskim plafonem migotały neonowe gwiazdy, a w licznych niszach ściennych widać było portrety poważnych i zamyślonych uczonych starożytnych i współczesnych.

Pięknie — pomyślał. — To nastraja podniośle.

Zapadła cisza. Za okrągłym stołem podniósł się z miejsca prezes Akademii Nauk Czechosłowacji, znany filozof Wacław Drda. W chudej, ascetycznej twarzy przeciętej surowymi zmarszczkami uśmiechały się niebieskie oczy dziecka. Zdawało się, że zaczęły żyć odrębnym życiem niż ciało, przekazując w swym ciepłym blasku uczucia starego uczonego:

— Przyjaciele, panowie, bracia! Witam was wszystkich. Różnych, bliskich i dalekich, zwolenników i przeciwników. Jak widzicie, zebraliśmy się wszyscy przy okrągłym stole. Nie dla wojny, nie dla zabijania ani dla sądzenia

heretyckich idei. Mamy odmienne poglądy na misję człowieka, na perspektywy postępu, odmienne — ale nie wrogie. Dowodem tego jest okrągły stół. Różne komórki ludzkiego ducha przynajmniej na kilka dni stworzą jednolity organizm. Czyż nie jest to prawzór naszej przyszłości? Jedność w wielości?

Za plecami prezesa zapłonął błękitnym płomieniem wielki ekran. Delegaci zaaprobowali słowa Drdy. Natychmiast jednak poprzez ten blask zamigotały purpurowe ognie — ostre i niespokojne.

— Goście pragną wyrazić swój sprzeciw — skinął głową prezes. — To dobrze. Od razu ustala się sposób prowadzenia obrad. Nie wypowiedzi, ale żywa rozmowa wszystkich uczestników. Czy nie tak?

Błękitny wybuch na ekranie powitał ocenę Drdy.

— Uważam symposium za otwarte — stwierdził uczony. — Kto chce wypowiedzieć się przeciw moim tezom — niech mówi. Audytorium słucha, stacje radiowe Pragi transmitują naszą rozmowę na całą planetę. A więc: „Dokąd idzie człowiek?”

Na ekranie ukazały się słowa: „Głos zabierze doktor Schielke. Niemiecka Republika Federalna”.

Przy stole poruszył się poważny, korpulentny mężczyzna. Przez szkła okularów zabłysły zimno jego szare oczy. Rozległy się spokojne ostre słowa:

— Pan Drda jako uprzejmy gospodarz od razu ustanowił jednolity klucz dla całego symposium. Niestety — to jest niemożliwe. Jesteśmy uczonymi, a z faktami trzeba się liczyć. Więc dokąd idzie człowiek? Do nikąd. Człowiek jest tworem efemerycznego wypadku, matematycznej igraszki nieskończoności. Rezultatem tej gry jest również nic. Uzasadnię mój pogląd. Znamy historię. Znamy prahistorię z legend, przekazów, mitów, eposów różnych narodów. Wszędzie toczy się bój jednostki z grupą, narodu z narodem, kontynentu z kontynentem, idei z ideą. Narodziny, niedługie istnienie, upadek, śmierć. I powstanie nowego. I powtórzenie tego, co było, w innej formie. Powiecie — cywilizacja, potęga techniki, kultura? A ja zapytam: Potęga — w porównaniu z czym? Gdzie jest wzorzec dla zestawienia? Nieskończoność? Nie

obchodzą ją nasze miary, ona nie zna współrzędnych. Dawne generacje, ich ubóstwo. Przecież oznaką postępu — jest zbliżenie do prawdy. Czyż nagromadzenie techniki i informacji o świecie odsłania nam oblicze prawdy?

Pytamy: dokąd idzie człowiek? Powtarzam — do nikąd. Z niczego do nikąd. Krąg, zaklęty krąg w próżni. Niebyt — to jedyna realność. On był, jest, będzie, jeżeli można zastosować do niego pojęcia ze świata bytu. Cóż to jest byt? Szczególny wypadek niebytu, jakieś prawdopodobieństwo w ciemnościach, w ciszy nieistniejącego. Po swym powstaniu byt od razu wchodzi w konflikt z niebytem. Niebyt jest wszechobejmujący. Jest uniwersalnym, wiecznym prawem. Wszystko, co mu się przeciwstawia, nieuchronnie zniknie, rozplynie się w oceanie wielkiej ciemności. Tak samo w naszym efemerycznym świecie obserwujemy wieczną walkę. Świat jest z góry skazany, jest pianą, chorobą na nieskończonym tle niebytu. I im prędzej zniknie, tym lepiej dla wszystkich. Cisza, spokój, nirwana...

Na ekranie zapalił się napis: „Swami Rishideva. Indie”. Mychajło popatrzył w drugą stronę sali — podniosła się tam za stołem wysoka biała postać, rozległy się surowe słowa:

— Użył pan symbolu Wschodu, lecz zastosował go pan w sposób niedorzeczny. Uczeni buddyści powiedzieliby panu: kto osiągnął nirwanę — nie zazna spokoju. Nirwana to najwyższy punkt piramidy życia ziemskiego, sublimacja fizycznego, uczuciowego i myślowego życia w życiu duchowym. Można uważać za niebyt życie ziemskie z jego chaotycznością i niekonsekwencją. Lecz nirwana — to nieustające wrzenie...

— Różnica terminologiczna — powiedział zimno Schielke.

— Nie tylko — zaprzeczył Hindus. — W swojej apokaliptycznej analizie bytu zignorował pan przyczynowość...

— Proszę o wyjaśnienie...

— Niebyt nie może zrodzić skutków. Jedność nie może przekształcić się w wielorakość. Świat to konglomerat przyczyn i skutków. Świat nie powstał z niczego, więc nie może zniknąć w nicości. Nieustanne uściślanie i ewo-

lucja — oto jego droga. Wspaniała spirala rozumu i piękna wśród nieskończoności: oto, czym jest byt.

— Byt jest rozdwojony i wrogi w swej osnowie — powiedział niewzruszonym tonem Niemiec. — Gdyby był organicznym tworem kosmosu, jego istotą, nie byłoby antagonizmów.

— Przyroda jest harmonijna — rzekł Swami Rishideva. — Tylko wolna wola narusza równowagę. Na Ziemi naruszają ją ludzie.

— Przyroda to krwawa Kali — uśmiechnął się Schielke ironicznie. — Wy, mędrcy Wschodu, sami daliście ten wyraźny symbol, na który nie można patrzeć bez wstrętu. Ale za to jest on ścisły naukowo. Samowola i samozniszczenie materialnych form, które powstały jak widma wśród nieskończoności niebytu. Przyroda? Pan uważa ją za harmonijną? Proszę iść do lasu, spojrzeć pod mikroskopem na kroplę wody. Wszędzie pożeranie, wszędzie triumf siły nad słabością, chytryści nad ufnością, samowoli nad prawem. Świat mikrobów, fauna, flora: wszystko, co żywe, uzasadnia bezapelacyjnie tę myśl. Nawet ciała kosmiczne świadczą o tym samym — zderzenia galaktyk, eksplozje gwiazd i planet, gigantyczne kataklizmy niebieskie. Szanowny kolego, wielce szanowni panowie, nie bądźmy ślepi.

— Słusznie pan powiedział — nie bądźmy ślepi. Pan widzi w przyrodzie samozniszczenie, a ja — ofiarę. Ziemia ofiaruje nam swe ciało, słońce — promienie, flora — swą tkankę napojoną słońcem, człowiek napełnia przestwór falami twórczej myśli, pragnąc ogarnąć nią nieskończoność. Nie, przyjaciele, człowiek nie jest tworem próżni i niebytu. Jest dzieckiem wieczności, jest nieśmiertelny. Można mówić jedynie o stopniach jego samowiedzy, rozwoju czy degeneracji, postępu czy upadku. Krwawa Kali to jedynie złudzenie, to maja, to oczywistość dla tych, którzy nie mogą sięgnąć spojrzeniem we wnętrze przyczynowości. I wreszcie wypada mi zapytać szanownego kolegę: jaki wniosek wysnuć z takiego światopoglądu? Co ma robić człowiek?

Schielke poprawił okulary, nie odezwał się. W sali rozległ się szmer i szepty. Ktoś parsknął śmiechem w łóż prasowej.

— Przygotowywać się do niebytu — powiedział poważnie Schielke. — Na próżno się śmiejecie! Czy groźny irracjonalizm ostatnich epok nie przekonuje was o absurdalności życia? Największe wysiłki geniuszu ludzkiego rzucone zostały pod nogi nikczemnych polityków. Każdy z nas może liczyć na Boga lub dobre fatum tylko do chwili, dopóki nie zetknie się z katastrofą. Każdy umiera w samotności. Kto powie, jaka tragedia, jaka otchłań odkrywa się przed wrażliwym duchem, poza zasłoną tajemnicy, w niebycie?

Niemiec usiadł. I natychmiast ukazał się napis: „Maurice de Maurle. Francja”. Zapaliły się reflektory, zaśpiewały cienko kamery telewizyjne. W promieniach jupiterów ukazał się profesor de Maurle, znany socjolog, młody uczony — elegancki mężczyzna o wytwornych manierach. Mówił spokojnie, pewny siebie, jakby głośno rozmyślając:

— Kolega Schielke ma rację. Nie jestem zwolennikiem rozmów o kosmogenezie, nie ma sensu mówienie o prawidłowości tego świata. Podobnie jak nasze komórki nie mogą określić sensu życia człowieka, którego częstkę stanowią, tak i my nie jesteśmy w stanie poznać przyczyn, które zrodziły wszechświat, do jakiego należymy. Ten aspekt analizy doktora Schielkiego pozostawię bez odpowiedzi. Zgodzę się z nim w czymś innym — w ocenie absurdalności i braku perspektywy społeczeństwa ludzkiego. Dokąd idzie człowiek? Odpowiadam — ku samozniszczeniu. Popatrzmy na współczesną sytuację ludzkości trzeźwo, analitycznie. Niebywały rozrost techniki, potęga energetyki, dalekosiężność wniosków. Cudownie! A sens? Sam człowiek jest marionetką własnych twórców technicznych. Automatyzujemy fabryki, produkcję — i rodzi się groźba bezrobocia. Czy to nie paradoks? Absurd? A więc uważa się za normę złączenie człowieka z jego warsztatem. Gdy jednak warsztat zaczyna działać samodzielnie, człowiek staje się niepotrzebny. I powstaje zagadnienie socjologiczne — co zrobić z wolnym czasem ludzi, jak zorganizować czas wolny? To jest kryzys. Kryzys techniki. Zeszliśmy z dróg wytyczonych przez prawa przyrody i nie stworzyliśmy własnych.

Gdzie jest wyjście? Nie wiem. Może nie ma go wcale. Jesteśmy przestępcami. Popatrzcie na przyrodę — jest bardzo oszczędna i zorganizowana. Najstraszniejsze dra-

pieźniki znają miarę, może prócz tych, które kontaktują się z ludźmi. A my niemiłosiernie grabimy planetę, nie myśląc o następnym dniu. Teraz, w tej chwili, kiedy dyskutujemy o sensie życia, toczą się walki, cywilizowane mocarstwa zasypują bombami i napalmem nędzne schroniska ludzi. Na wielu autostradach świata co chwila rozbijają się setki wozów, giną ludzie, słysząc rozpaczliwe przedśmiertne jęki. W ciemnych spelunkach wielkich miast wzrasta systematycznie przestępczość. Tysiące, dziesiątki tysięcy fabryk zatruwają atmosferę Ziemi, nieodpowiedzialne rządy wyczerpują glebę planety, wydobywają drogocenne surowce, produkując dla potrzeb milionów obywateli niezliczone mnóstwo absurdalnych, bezsensownych, niepotrzebnych rzeczy, zużywając na to rozum, energię i umiejętności najlepszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Zabłądziliśmy. Gdzieś była szansa zawrócenia z tej drogi. Teraz już za późno.

Sahajdak westchnął. Dlaczego ci ludzie wpadli w tak krańcowy pesymizm? Przecież każdy z nich ma rodzinę, dzieci. Całuje żonę, cieszy się z zabaw dziecięcych, pije wino, zachwyca się niebem. Po co absolutyzować zjawiska negatywne?

Oto znów błyszczą słowa na ekranie. Kto to? „Harry Fitzgerald Thawn, astronauta. USA.” Świetnie. Co powiesz, przyjacielu? Czy poprzesz tych pesymistów? Dość już narzekania w życiu, nie wypada na sympozjum filozoficznym śpiewać Requiem...

Na sali zapanowało poruszenie, na ekranie zagrało błękitne morze powitań. Harry pozdrowił zebranych i powiedział stanowczym tonem:

— Wiemy, jak wiele jest bólu i tragedii na planecie. Wiemy, jak ciężko dojrzeć sens za potokiem absurdu. Ale, panowie, nie ma powodów do rezygnacji. Mówicie wszyscy o ziemskim nurcie wydarzeń, o sferze bytu i ograniczonego rozwoju. Dlaczego? Dlaczego, pytam? Nauka wyrąbała okno do kosmosu, znajdujemy się na progu nieograniczonych możliwości. Kto im zaprzeczy? Kto się odważy? Pozwólcie nam zrobić pierwsze kroki, dotrzeć do tego, co nas oczekuje tam, w dalekich światach; może mądrzy, rozumni bracia, może nie znane formy życia, może

nie przeczuwane piękne uczucia, o jakich nie śmiemy nawet myśleć. Lepiej jest umrzeć w drodze, niż jęczeć we wspaniałym pałacu, lepiej spłonąć w walce, niż przeklinać widomy świat stworzony przez miłość i bohaterką pracę!

Pod gwiazdzistym sklepieniem wybuchła owacja. Obecni nie hamowali swych emocji, używając staroświeckiej metody: aplauzu. Amerykanin uśmiechnął się, zetknął się spojrzeniem z oczami Sahajdaka, zacisnął pięść.

— Nawet pierwsze loty w przestrzeń wywołują nieoczekiwane uczucia, zapowiadają zdobycie nowych grani bytu. Szybkość, nowe energie, kontakty z innymi elementami wszechświata — wszystko to przyspieszy ewolucję ludzkości i wyprowadzi ją z pierwotnego domostwa, gdzie jest tak ciasno i niespokojnie, gdzie nie ma przestrzeni dla bezgranicznych możliwości ducha!...

— Czas, żebyśmy się wypowiedzieli — rzekł akademik Berehowyj. — Nagadali tyle różnych rzeczy, że od razu ich się nie ogarnie.

Wstał akademik Koun, Estończyk. Jego duże szare oczy zmrużyły się ironicznie, jasny jeź czupryny lśnił zwycięsko w blasku jupiterów.

— Słusznie mówił astronauta Thawn. Przyłączę się do niego i rozszerzę jego tezy. Pytacie mnie: „Dokąd idzie człowiek?” Do prawdy — odpowiem. Człowiek wyszedł z prawdy, rośnie w prawdzie, powraca do prawdy. Jesi samą prawdą, która poznaje siebie, swoją jedność poprzez nieskończoną różnorodność form. Lękacie się okrucieństwa bytu? To jest ciężar nadmiaru. Nikt nie usprawiedliwia ofiar, nie ma na nie ceny. Jesteśmy ofiarą, jesteśmy również ołtarzem i bóstwem. Niepodzielność rzeczywistości zmusza nas do głębszego zastanowienia się nad znaczeniem człowieka i poznania w rozwoju kosmicznym. Przyroda podniosła nas do transcendentnych wyżyn, wręczyła nam broń rozumu nie dla udoskonalenia bytu — chociaż i to jest konieczne na pewnym etapie drogi — powierzyła nam najważniejszą misję zjednoczenia różnych światów.

Fizyka odkryła nam względność kategorii czasu i przestrzeni. Fizyka dowiodła, że próżnia światowa jest niewyczerpalna. I przed zdumionym spojrzeniem współczes-

nego badacza staje bajeczna perspektywa: niezliczone zbiorowiska światów, wśród których widomy świat, zorientowany w trójwymiarze, jest tylko jednym z elementów. Gdzież tu jest miejsce dla upadku i pesymizmu? Czemu nas straszy zło i choroby społeczne Ziemi? Choroba nie jest wieczna. Ludzkość wyleczy się i zgodnie wkroczy w piękne braterstwo. Nie opuszczajmy rąk, ale podnieśmy młot poznania, w groźnej godzinie niebezpieczeństwa!

— Zuch — szepnął Berehowyj. — Niech wiedzą, co potrafimy...

Sahajdak skinął głową z aprobatą. Istotnie, Estończyk dobrze mówił. Podoba się również Swamiemu. Hindus uśmiecha się, przykładając dłoń do piersi.

Na sali rozległ się głos uczonego szwedzkiego Henryka Klausa. Wysoki i chudy, stał jak świeca wśród swoich rodaków i podniósłszy do góry cienki, długi palec, mówił:

— Utopia. Piękne marzenia. Świadczą one o dobrym sercu mówców. O niczym więcej. Rzeczywistość jest bezlitosna, nieubłagana. Nie zna dobra i zła. Wszystko, co się rodzi, musi umrzeć. Rzeczywistość potwierdza to uniwersalne prawo. Jakie ma znaczenie to, co osiągniemy — wiek złoty czy żelazny? Jakie ma znaczenie, dokąd dotrze człowiek — do komunizmu czy z powrotem do wieku kamiennego? Wszystko przeminie i piaski zasypią, jak budowle faraonów, również nasze drapacze chmur! Dopóki nie zostanie rozwiązana zagadka śmierci — wszystkie nasze wysiłki są daremne i śmieszne. Lepiej bawmy się jak dzieci w promieniach słońca i nie szarpmy mózgu na kawały w poszukiwaniu nie istniejącej drogi do prawdy. Prawdą jest śmierć. Kto ją pokona? Nikt. Wszystko, co ma początek, będzie miało koniec. Zaczęło się wszystko — Ziemia, Słońce, ludzkość. I będą one miały swój kres. Każdy z nas oko w oko spotka się ze śmiercią, tą jedyną rzeczywistością, bo każdy się urodził...

— Człowiek jest częścią całości — zaoponował Rishi-deva. — A całość nie umiera. Dopóki jesteśmy częściami — istnieje śmierć, tak jak prawo wiecznej odnowy. A kiedy osiągniemy całość — śmierci nie będzie. Jedyna rzeczywistość — to życie wieczne.

Zabrzmiał gong, audytorium zaszumiało. Ogłoszono przerwę.

Sahajdak wyszedł do foyer, znalazł Swamiego obok różowej kolumny. Wokół Hindusa skupiła się grupa uczonych. Wysoki Szwed dotykał palcem piersi Rishidevy.

— Pan uważa, że śmierć nie jest absolutną rzeczywistością? Ależ, drogi kolego, każdy z nas przekona się o tym!...

— Śmierć jest zbyt oczywista, aby być rzeczywistością — odpowiedział łagodnie Rishideva.

— Zbyt oczywista, żeby być rzeczywistością? Pan mówi paradoksami.

— Prawo sprzeczności. Wszystko, co oczywiste, jest nierealne. Nauka wie o tym. Słońce wschodzi — czy to oczywistość? A w rzeczywistości — obraca się Ziemia. Nieprzenikliwość, ciągłość materii — to oczywistość? A w istocie rzeczy materia jest zróżnicowana i płynna, każda zaś jej cząstka też nie jest ciągła, lecz jest jedynie stopniem materii — energią. Jaką znamy rzeczywistość w świecie form? Gdzie ona jest? Nie ma jej...

— Pan wybaczy. — Szwed dotknął palcem białej bluzy Swamiego. — To są rozważania abstrakcyjne. Na przykład pan i ja... Przecież to nie cienie dyskutują tutaj o śmierci i życiu?

— Tylko cienie — uśmiechnął się Hindus, krzyżując ręce na piersi. — Cienie nie wyjaśnionej rzeczywistości.

— Więc jednak rzeczywistość istnieje?

— Istnieje, ale jest nieosiągalna. Ona jest samą nieukończonością. A rzeczywistość to tylko złudna gra, odbłaski owej rzeczywistości!

— Doskonale, rzeczywistość istnieje, ale śmierć nią nie jest? Więc pan uważa, że po śmierci coś pozostaje?

— Nie coś, lecz wszystko — odparł Swami. — Prawo zachowania energii jest uniwersalne.

— Rozumiem. Częsteczki ciała...

— To jest podejście mechanistyczne. Mówię o każdej energii. Żaden atrybut materii nie ginie.

Sahajdak ze zdziwieniem przysłuchiwał się tej rozmowie. Skąd Rishideva ma tę pewność? Dlaczego rozmawia tak, jakby przeniknął wzrokiem w świat innych rzeczywistości? Mówi prosto, dowody niemal zwyczajne, lecz w tonie, w strumieniu energii psychicznej, która płynie od niego, tkwi niezwykła siła przekonania. A Szwed już

zaczął się irtować, patrząc z niedowierzaniem na piękną twarz Hindusa.

— Czyny, myśli żyją w potomości — powiedział. — Z tym mogę się zgodzić. Ale psychika? Przecież psychika ujawnia się wyłącznie jako wynik działalności mózgu!...

— Nie tylko. Mózgu, całego ciała, a szczególnie pola elektromagnetycznego, które otacza człowieka. Mózg jest jedynie pośrednikiem, generatorem myśli, i to nie tylko w naszym świecie...

— A w jakim jeszcze?

— W wielu. Czyżby pan ograniczał nieskończoność do trzech wymiarów? Czy wyczuwa pan paradoks połączenia słów granica i nieskończoność?

— Znowu abstrakcje. Wyższe wymiary, światy astralne, mentalne. Wszystko to są wymysły metafizyki brahmińskiej, egipskiego hermetyzmu. A my, na przykład estoński akademik Koun, podchwyтуjemy te abstrakcje, głosząc wielowymiarowość wszechświata. Nauka dawno obaliła takie mistyczne wyobrażenia...

— Nie obaliła, lecz zbliża się do ich zrozumienia... Co pan wie o osiągnięciach jogów? Nic. Hindusi, studujący naukę Zachodu, stosują jednocześnie metody zachodnie. A wy, krytykując wnioski jogów, odrzucacie ich metody. Żeby coś odrzucić, należy to przestudiować, przeprowadzić eksperymenty...

— Więc pan uważa, że można poważnie badać niewidzialne światy?

— Dlaczego by nie? Jeżeli uczoney obawia się poważnych badań, to nie jest uczonym.

— Dziwne. Zgoda, dajmy na to, że istotnie żyjemy w wielowymiarowości, że można dostać się do świata, powiedzmy, pięciu wymiarów...

— No?

— Co wówczas z religią?

— Nie rozumiem! — Rishideva wzruszył ramionami, a obecni roześmieli się.

— Jak to, nie rozumie pan? — rozżościł się szwedzki uczoney. — Przecież podstawa religii to światy niewidzialne?

— Bzdury — rzekł Rishideva. — Przesady. Właśnie religia, jej kapłani najbardziej boją się niewidzialnego

i chwytają się władzy ziemskiej. Jaka jest podstawa ortodoksyjnych religii? W górze — władca niebieski, Kościół jest pośrednikiem między Nim a ludźmi. W rękach Kościoła — kara i nagroda. Świat zbudowany jak dziwaczna zabawka nierozumnego despoty, który żąda od swoich lalek modlitw i darów. W tym nie ma sensu i celu. Wieczne zbawienie lub wieczna męka? Tylko maniackalny umysł mógł wymyślić takiego straszaka, nie mówiąc już o tym, że wszystkie te wyobrażenia trzeba przyjmować na wiarę...

— Pan również nie popiera swoich hipotez faktami...

— Ja wzywam do poszukiwań. Hipotezy są potwierdzone lub obalane przez badania naukowe. Religia w ciągu tysiącleci obiecywała i nie dała nic prócz wyzysku i krwawych bachanali. Nie trzeba nam fanatyków, lecz uczonych o badawczym umyśle i szerokim sercu. Potrzebujemy aparatów fotograficznych, laboratoriów, instrumentów elektronowych, wrażliwych eksperymentatorów, badań nad wielowymiarowością, związku z innymi istotami myślącymi. Jestem pewny, że oligarchia religijna natychmiast upadnie, kiedy nauka w sposób eksperymentalny odkryje niewidzialne światy. A zrozumienie ciągłości życia ukaże na nowo sens istnienia człowieka w kosmosie.

— To jest imponujące... ale brzmi jak bajka!

— Wszystko wyrasta z bajki... Niech mi kolega wybaczy, czekają na mnie...

Rishideva spostrzegł Mychajłę, pospieszył do niego, objął za szyję. Podszedł do nich Harry. Poszli razem do ogrodu, minęli dyskutujące grupy uczonych, zagłębili się w alei.

— Słyszałeś? — zapytał smutno Hindus. — Ten zatarg nie polega tylko na zaprzeczaniu wielowymiarowości. Zwolennicy przestarzałego myślenia boją się wszystkiego, co nowe. Ich ubogie poglądy szczególnie mizernie wyglądają wobec nieskończoności. Stąd pesymizm.

— Prawda — rzekł Harry. — Siły ciemności pragną zasiać zwątpienie. Żyj dniem dzisiejszym, nie myśl o przyszłości...

— Dlaczego? — podchwycił Swami, spoglądając serdecznie na Mychajłę. — Bo myśl o przyszłości może uro-

dzic się tylko w czystym sercu. Przyszłości pragnie tylko ten, kto ma coś do przekazania swoim następcom... No, dość o filozofii. Jeszcze się nasłuchamy, nagadamy. Chcemy dowiedzieć się o tobie, Mychajło. Opowiadaj. Mamy niewiele czasu, wkrótce się rozłączymy. Ale wiedz zawsze — Swami jest z tobą, w radości i w biedzie...

— I Harry — dodał Amerykanin, obejmując Mychajłę.

Słowo trzecie — Ona

Nad jakimi ciemnymi brzegami czarnej rzeki, przez jakie gęstwiny posępnego lasu, nad jakimi głębokimi otchłaniami ciemności śpieszysz do mnie, miłości moja?

Rabindranath Tagore

Pozostał w tyle Sob — stacja graniczna. Pod kołami wagonu — ziemia zakarpacka. Ukraina. Migocą światła na suficie wagonu, odbijają się w lustrach. Przesuwają się za oknem smukłe, czarne jodły, wyrastające góry. Pociąg zwalnia, dyszy ciężko. Gdzieś blisko znajduje się przełęcz.

Sahajdak jest sam w przedziale. Nie może spać. Wrażenia minionych dni tłoczą się w świadomości, napływają niby wiosenna powódź, zatapiają obszar myśli. Dziesiątki głosów, twarzy, światopoglądów. Gdzie prawda? Dlaczego każdy człowiek stanowi swój zamknięty świat? Chyba nie jest sam? Czyż nie jest wspólne niebo nad nami, czy nie dla wszystkich faluje pszenica na polach, czyż nie wspólną wodę piją wszyscy oddychający wspólnym powietrzem planety?

Zdaje się, że Swami jest najbliżej prawdy. Wie, że nie narzuci się jej siłą. Powinna się stać własną zdobyczą po ciężkich dociekliwych poszukiwaniach. W książkach jej nie odnajdziesz, nie dowiesz się od mędrców — jedynie życiowa walka w wiecznym dążeniu do tajemnicy odkryje jakąś część niedosiężnej prawdy.

Blisko, całkiem blisko pochyla się nad Mychajłą twarz Harry'ego, błyszczą niebieskie oczy, zagłębione w bezmiarze nieba. „W niebie przychodzi rozwiązanie, Mychaju. W niebie. Kiedy siła odrzutu wyniesie cię nad chmury, kiedy odsłoni się gwiazdna otchłań, znika najmniejsza

iskierka strachu i całego człowieka wypełnia spokój — wielkie zrozumienie. W dole planeta — mała, zaciszna. I wydaje się, że można ją przytulić do piersi, objąć, po-
pieścić. Stąd, z góry, wydają się śmieszne ludzkie kłót-
nie, pojedynki, teorie. Wspólny okręt, wspólna kołyska
wśród kosmicznego milczenia. Każdy, kto popatrzy na
Ziemię z przestrzeni, nie zechce walczyć o ograniczony
cel.”

Współczująco kiwa głową Swami, przykładając rękę do
piersi, szepcze smętnie, płynąc nad Mychajłą: „Nie wszy-
stko jest takie proste, Harry. Nie takie proste. Nie czyni
miary ze swoich uczuć. Mechaniczną szybkością nie zdo-
będziesz nowej etyki. Podnieść ludzkość do kosmosu?
Przypuszczasz, że wszyscy tego pragną? O, nie. Trzeba
nauczyć człowieka lotu wewnętrznego. Sercem unosić się
nad światem, by pojąć swoją nierozłączność z ludzkością”.

A z ciemności wysuwają się surowe twarze uczonych,
błyszczą okulary niby sztuczne oczy, otwierają się i za-
mykają suche usta, sącząc — metodycznie i obojętnie —
zimne słowa.

„Utopie, marzenia — to wrogowie nauki. Sprowadzają
badaczy na manowce. Zamiast analizy rzeczywistości siły
intelektualne kieruje się na budowę zamków na lodzie.
Pomysły marnują się, a kiedy rozwieje się złudzenie,
nauka stwierdza, że setki lat stracono na próżno. Ma-
rzyciele to chorzy maniacy. Trzeba ich niszczyć, a w naj-
lepszym razie izolować jak ludzi chorych psychicznie.”

„Marzyciele — to kwiaty ewolucji. Bez marzycieli
ludzkość ugrzęzłaby w bagnisku pragmatyzmu, miesz-
czaństwa, zadusiłaby się w smrodzie własnych wyziewów.”

„Lepsza jest ciężka rzeczywistość i oddana praca dla
niej, dla jej upiększenia, niż porywy w świat nieistnie-
jącego. Przyszłości nie ma, jest tylko współczesność z jej
ubóstwem i bogactwem, z jej radościami i rozczarowa-
niami, z jej śmiercią i narodzinami.”

„Przeszłości i współczesności nie ma. Jest tylko przy-
szłość, a my żyjemy wiecznym zbliżaniem się do niej.
Jest tylko działalność, otwieranie przyszłego owocu. Wła-
śnie dlatego marzyciele — to katalizatory przyszłości.
Nie szczczędząc siebie, porywają współczesnych w niewia-
dome, bo wiedzą, że tylko strzała w locie dosięga celu.”

Mychajło poruszył się, odpędził zmory. Dość, dość. Przeciwnieństwa, barykady ducha. Gdzież ona jest — jedność? Z czego wyniknie? Mnóstwo argumentów z obydwu stron i u tych, którzy zajmują stanowisko pośrednie. Czasami wydaje się, że nad rywalami stoi olbrzymia postać chytrego eksperymentatora i śmieje się z wysiłków swoich marionetek. Straszne...

Sahajdak odrzucił koldrę i usiadł. Oparłszy się łokciami o stół patrzył przez okno. Płynęły czarne masywy gór, pochmurne kępy jodeł i smreków. Nad nimi kołysały się gwiazdy. Gdzieś w głębi lasu rozbłysnął ogień, koło niego poruszyły się cienie oświetlone purpurowymi błyskami. Potem w ciemności wysunęły się skały, zasłoniły ognisko. Znowu ciemność, migotanie gwiazd, szczecina lasu.

Nie można zasnąć. Trzeba wyjść na korytarz, przejść się. Mychajło zarzucił na ramiona bluzę od piżamy, otworzył drzwi. W korytarzu cisza. W końcu wagonu przy otwartym oknie jakiś wojskowy palił papierosa. Obok przedziału Mychajły na korytarzu siedziała dziewczyna w szarym płaszczku i drzemała, trzymając w ręku siatkę na zakupy z jakimiś rzeczami zawiniętymi w gazetę.

Sahajdak zdziwił się. Dlaczego ona tu siedzi? Przecież są wolne miejsca. W jego przedziale są trzy. Dotknął ramienia dziewczyny. Drgnęła, otworzyła wyleknione szare oczy.

— Co? Pan chce przejść? Proszę bardzo.

— Nie, nie — zaprzeczył Mychajło. — Przepraszam. Chciałem zapytać, dlaczego pani siedzi tu, w przejściu?

— Mam bilet — ziewnęła dziewczyna, osłaniając usta różową dłonią. — Konduktorka mi pozwoliła...

— Ja... ja nie o to pytam — Mychajło zmieszał się. — Są miejsca w przedziale. Może się pani położyć spać...

— Mam bilet bez miejscówki. Nie mam prawa.

— Dlaczego?

— Bo nie mam pieniędzy — wzruszyła dziewczyna ramionami.

— Ale przecież miejsca są wolne. Czy nie wszystko jedno, gdzie się jedzie, w przedziale czy na korytarzu?

Z przedziału służbowego wyjrzała czarna tęga konduktorka i powiedziała:

— Obywatelu, nie naruszajcie przepisów. Przyjdzie

kontroler, nie uniknie się grzywny. Jeśli pan jest taki hojny, proszę wykupić dla dziewczyny miejscówkę...

— Z przyjemnością — powiedział Sahajdak. — Gdzie to można zrobić?

— W Stryju. Niech pan da pieniądze, już ja to załatwię. — Konduktorka przywołała Sahajdaka i zapytała szeptem: — Kim ona jest dla pana?

— Nikim — zdziwił się Mychajło. — Po prostu żal mi jej. Wygląda na zmęczoną...

— O wszystkie się nie zatroszczycie — odezwała się surowo konduktorka. — No ale dajcie te sześć rubli. Hej ty, wejdź do przedziału. Dać pościel?

— Nie trzeba, co wy? — rzekła błagalnie dziewczyna, przyciskając ręce do piersi. — Ja i tak, na krzeselku...

— Proszę przynieść pościel — rzekł Mychajło. — Niech się dziewczyna wyśpi. Proszę. Jak tak można?

Sahajdak otworzył przedział, wpuścił dziewczynę, włączył światło. Dziewczyna rozejrzała się, położyła obok siebie siatkę, usiadła na brzegu ławki. Potarła dłonią zmęczone powieki, uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Po co robi pan sobie tyle kłopotu ze mną?

— Jaki kłopot? Przyjemnie jest zrobić coś dla człowieka. Przecież to proste?

— Tak i mój tatko mówił...

— Tatko?

— Ojciec. Nie ma go już. Umarł. Mówił: „Masz kawałek chleba — podziel się z tym, co nie ma. Masz dobre słowo — powiedz je smutnemu. Masz zmartwienie — cierp, trzymaj je w sobie, nie rozsiewaj cierpienia po ziemi”.

— Pięknie — powiedział zdumiony Mychajło. — Kim był pani tatko?

— Pasterzem. Pasał krowy i jagnięta na poloninie. Tam też umarł...

Weszła konduktorka z pościelą. Spytała:

— Posłać?

— Oj, co wy? — zlekła się dziewczyna. — Czy jestem kaleką?

— No, to śpij, gołąbko. Podziękuj losowi, że są dobrzy ludzie. W Stryju załatwię ci bilet. Dobranoc...

— Dobranoc — rzekła dziewczyna.

Zdjęła z głowy lichą chustkę, zrzuciła płaszczyk. My-

chajło zamarł, oczarowany. Grube warkocze jak dojrzałe żyto, wysokie czoło i smutne przejrzyste oczy — surowe i łagodne zarazem. Pod grubym płótnem wyszywanej sukienki odgadnąć można mocne smukłe ciało, długa łabędzia szyja podtrzymuje piękną główkę.

Dziewczyna szybko posłała łóżko i usiadła. Niewymuszonym, szczerym ruchem wyciągnęła rękę, patrząc Mychajle w oczy jasnym, dziecięcym spojrzeniem.

— Bardzo jestem panu wdzięczna. Poznajmy się. Nazywam się Hanusia.

— Mychajło Sahajdak. Mychajło Kuźmicz.

— Sahajdak — powtórzyła zamyślona. — Czy nie astronom?

— Tak. A skąd pani wie?

— Chodziłam do dziesięciolatki. Mieliśmy cudownego nauczyciela astronomii. Opowiadał nam o wielu ciekawych rzeczach. Dawał do czytania książki ze swojej biblioteki. Tam widziałam pańską książkę „Czerwone przemieszczenia i struktura świata”. To pańska praca?

— Moja. — Sahajdak był zachwycony dziewczyną. — To bardzo miło nieoczekiwanie spotkać młodych, którzy lubią astronomię...

— Ojej! — Hanusia machnęła śmiesznie rękami. — Jest nas dużo. Tylko szkoda, że astronomię wykładają dopiero w najwyższej klasie. Gdyby tak od początku! To takie ciekawe. Mój tatko był pasterzem, a też mawiał: „Nie ma nic piękniejszego od gwiazdzistego nieba. Umrę pod gwiazdami. Niech moja dusza poleci do nich”. I umarł, jak powiedział. Matka przyniosła przed świtem chleba ze wsi, a jego nie ma w kolebie. Szukała, szukała — znalazła niedaleko. Leżał zwrócony twarzą do nieba, owce dokoła zbiły się w gromadkę, beczą żalostnie. Ręce złożył na piersi, patrzy wprost na gwiazdy. Pięknie umarł...

— Pięknie umarł? — zapytał wzruszony Mychajło, nie wierząc własnym uszom.

— Pięknie — spokojnie powtórzyła Hanusia, patrząc w zamyśleniu przez okno. — Też bym tak chciała umrzeć. Jakby zasnął. Wszystko minęło — troski, bóle, cierpienia, krzątania całego życia. Westchnął — i wszystko... Nakazał, żeby go nie opłakiwać. To grzech, powiedział, opłakiwać zmarłych. Można płakać po złoczyńcy, po złym

człowieku, kiedy umrze. Bo szkoda, że człowiek nie umiał żyć porządnie. Ale po co opłakiwać człowieka pracy? Zrobił swoje, poznał, co to miłość, przeszedł ciężką drogę, powinien odpocząć. Tak też zrobiliśmy z mamą. Nie płakałyśmy... Chciaż było smutno. Bo drugiego takiego taty nie spotkasz. Dobry był tato...

— A mama? Mama zdrowa?

— Nie ma jej — odpowiedziała po prostu Hanusia. — Umarła przed tygodniem. Pochowałam ją na poloninie, obok tatka. On tak chciał i ona wyraziła taką ostatnią wolę. Zostałam sama, samiuteńka. Przewodniczący rady gromadzkiej powiedział, żebym została sekretarką. Nie zgodziłam się...

— Dlaczego?

— Co mi da praca biurowa. Chcę się kształcić na astronoma. Kocham wszechświat. Pociąga mnie, wzrusza. Chcę wstąpić na uniwersytet. Mam złoty medal. Jak pan przypuszcza — przyjmą?

— Trzeba zdać przedmiot podstawowy na piątkę — uśmiechnął się Mychajło. — Wtedy przyjmą bez żadnych innych egzaminów... Ale mogę pomówić...

— Oj, co też pan — klasnęła w dłonie, a oczy jej pociemniały. — Czy tak można? Będzie to, co osiągnę sama...

— A jeżeli ja będę egzaminatorem? — roześmiał się Sahajdak. — Wszystko jedno, postawię piątkę...

— Ja do pana nie pójdę — powiedziała poważnie dziewczyna.

— Dlaczego?

— Bo pan jest dobry.

— A czy dobroć to coś złego?

— Czasami dobroć pobłaża przestępstwu...

— Może i tak — westchnął Sahajdak. — Gdzie się pani zatrzyma?

— Mam znajomą w Kijowie. Mieszka tam gdzieś dziewczyna z naszej wsi. Pracuje w budownictwie. Znajdę ją. Kazałam przewodniczącemu sprzedać ojcowską chatę. Przyśle mi pieniądze — starczy na jakiś rok. Urządzą się, nie ma obawy. Byle się uczyć...

— Nie chciałbym utracić kontaktu z panią — powiedział otwarcie Mychajło. — Dzielną z pani dziewczyna. Może będę mógł w czymś pomóc...

— Pan też jest dzielny — uśmiechnęła się Hanusia. — Sercu nie można zakazywać. Jeśli się chce zobaczyć człowieka — idź, drzwi się otworzą. Tak mnie uczył tatko...

— Dobrze uczył. I nie na próżno — rzekł Sahajdak. — Niech pani śpi... Trzeba odpocząć. Jutro pogadamy...

— Dziękuję panu...

Mychajło zgasił światło. Hanusia krzątała się chwilę w ciemności, położyła się, ucichła. Oddychała niespokojnie, nerwowo. Pewnie myślała o dziwnym spotkaniu. A może wcale nie? Może myśli o czymś zupełnie innym? Może ma ukochanego, wesołego, silnego chłopca z Wierchowiny? A co to mnie obchodzi? — pomyślał Mychajło. — Dlaczego interesuję się losem spotkanej dziewczyny? Ładna? Pięknych dziewczyn jest mnóstwo. Mądra? Można znaleźć bardzo dużo mądrych kobiet. Coś nieuchwytnego, coś niepojętego przeniknęło do serca, poruszyło głębinę, wzburzyło. Po co?

W domu czeka na niego Nina, Andrzejek. Rodzina. Wygodnie, przyjemnie, swojsko. Ale dlaczego nie odczuwa wzruszenia, kiedy wspomina o żonie? Dlaczego?

Co się z tobą dzieje, Mychajło? Czy zapomniałeś, że już nie jesteś kawalerem, młodzieńcem? Czy zapomniałeś o tym, że niedawno skończyłeś czterdzieści pięć lat i roztrwonileś siły na manowcach życia? Co może cię łączyć z nią — młodą dziewczyną? Zapomnij, wyrzuć z głowy, z serca...

Nie można wyrzucić, zaglądają w serce poważne szare oczy, wzywają dokądś w niepojętą dal. Może właśnie żył tylko po to, żeby ją spotkać? Może całe poplątane życie było tylko labiryntem, który trzeba pokonać, by połączyć się z nią?

Stój, zatrzymaj się, Mychajło! Zaszedłeś za daleko. Upłynęła jedna godzina, a już rozdarłeś duszę na pół! Nic nie wiesz, nie znasz, nie możesz widzieć całej złożoności tego, co się dzieje w sercu dziewczyny. Może to tylko twój romantyczny ideał? Może to tylko twoja tęsknota za nieureczywistnioną miłością, wymarzoną wśród szarości powszednich dni? Nie trzeba, nie trzeba się męczyć. Śpij, śpij...

Przyszedł sen, zapomnienie, ale i w nim zostało uczucie czegoś niewymownie miłego, czarującego, niepowtarzalnego...

Kiedy się obudził, było już widno. Pociąg jechał przez równinę. Słońce zaglądało do okna, rzucało tęczę na niebieską plastikową ścianę. Hanusia siedziała przy stoliku, ubrana, uczesana, gruby warkocz leżał na piersi, dotykała go różowymi palcami, czytała coś. Dziewczyna spostrzegła, że Sahajdak się przebudził, uśmiechnęła się.

— Późno pan wstaje, Mychajło Kuźmiczu. A ja przywykłam w górach budzić się przed świtem. Piękny jest spacer przed wschodem słońca, można się umyć rosą...

— Jestem człowiekiem miasta — rzekł Mychajło z żalem. — Oderwałem się od przyrody. Hanusiu, proszę wyjść na chwilę...

— Przepraszam, już idę...

Wyszła z przedziału, Sahajdak ubrał się szybko. Wziął golarkę elektryczną, ręcznik i mydło i poszedł do toalety. Macając szczecinę na wychudłych policzkach, przyglądał się sobie, wzdychał. Och, och, staruszkule! Połowa siwych włosów w czuprynie, zmarszczki przy oczach, koło ust, oczy mętne. Jak możesz myśleć o miłości?

A w głębi serca bolało coś, gnębiło, błagało: nie trzeba tego, czego pragną młodzi. Byle patrzeć w jasne oczy, słuchać szczerych słów, czuć ciepły oddech czystej dziewczyny. Miłość... Nie znał prawdziwej miłości... Bez żądz, bez namiętnych objęć, bez „prawa” do rozkoszy... Po prostu — patrzeć w oczy i milczeć...

Powrócił do przedziału, usiadł naprzeciw Hanusi. Konduktorka otworzyła drzwi, zapytała:

— Podać herbaty?

— Prosimy...

Hanusia otworzyła siatkę, położyła na stoliku placek i pomidory.

— Z własnego ogrodu. Założyłam cieplarnię. Teraz sąsiadka będzie gospodarzyć. Proszę bardzo...

Sahajdak podziękował, wziął pomidora, przeciął na pół. Zapachniało słońcem, ogrodem. Ugryzł z zadowoleniem. Ułamał kawałek placka.

— M-m-m — mruknął — jakie skarby daje przyroda. Z ziemi, wody i promieni słonecznych takie cuda...

— Prawda — zgodziła się wesoło Hanusia, patrząc ufnie w szczere oczy Sahajdaka. — Mój tatko mówił, że ziemia i słońce mogą dać ludziom wszystko, czego trzeba

do radości. Bójki, wojny i przestępstwa nie pochodzą z niedostatku, lecz ze ślepoty...

Konduktorka przyniosła herbatę i pieczywo. Sahajdak włożył cukier do szklanki, zamieszał.

— Niech mi pani opowie o swoim ojcu, Hanusiu...

Ciemne rzęsy dziewczyny zatrzepotały, potem podniosły się do góry, jak ptaszące skrzydła, znikł smutny błysk w oczach, w kącikach ślicznych ust ukazał się dobry uśmiech.

— Zgoda. Opowiem. Ale o nim niewiele można powiedzieć. A może tak dużo, że lepiej milczeć?

Mychajło nie odpowiedział. Zastanawiał się nad jej słowami. Jak to głęboko powiedziane — tak dużo, że lepsza cisza, milczenie. Ludzie ziemi nie są wielomówni, umieją cierpieć, milczeć. I zachowywać w groźnym spokoju swą niewzruszoną siłę. Siłę siewu i żniw, siłę miłości i nienawiści, mądrości i współczucia.

Hanusia, nie czekając na odpowiedź, rzekła:

— Nie pożałowałby pan, gdyby go pan spotkał. Co tam moja opowieść... No — urodził się w rodzinie huculskiej, jak wszyscy. W ciasnej, zadymionej chacie. Powiadali: wyrósł piękny. Najpiękniejszy na całej Wierchowinie. Służył w wojsku cesarskim, odniósł ranę. Potem wrócił do domu, wyswatał się za mamę, zaczął gazdować. Ale coś nie dawało mu spokoju, ciągnęło w świat. To do Czarnogórza, to gdzieś do Rumunii na zarobek, to po prostu na kilka dni włóczęgi po ostępie leśnym...

„Nie ma dla mnie spokoju — mawiał stale. — Ech, gdyby żył Dobosz, przystałbym do niego.” Mama płakała całymi nocami, ale milczała, żałowała go, nie chciała go drażnić. Powracał z wędrówek, zabierał się do gospodarstwa, pracował w milczeniu. A na wiosnę znowu wędrował. Pewnego razu, gdzieś w okolicach Czarnogórza, spotkał starego pustelnika. Człowiek ten mieszkał w małej chatce, sam uprawiał ogródek, hodował kozy, rąbał drwa. Tatko zaprzyjaźnił się z nim. O czym rozmawiali, o czym gwarzyli — nie wiem. Tato bardzo się zmienił od tego czasu. Już nie biegał po obcych ziemiach, lecz stał się pasterzem na połoninach. Mama prowadziła gospodarstwo, a on zarabiał pieniądze i oddawał jej. Stał się spokojny, miał dobre usposobienie, dużo siły i wewnętrzne zrozumienie. Ludzie dziwili się, niektórzy na-

zywali go wróżbitą, czarownikiem. Ale to bzdury. Stary pustelnik coś mu opowiedział, coś mu odsłonił. Wkrótce umarł, a tatko od tego czasu nie schodził już z połoniny. Pasł stado, patrzył na słońce, na gwiazdy, śpiewał pieśni. Lubiłam go odwiedzać na wiosnę i w lecie. Opowiadał mi dużo bajek, pokazywał kwiaty i zioła, którymi można leczyć ludzi. A ile znał opowieści! I rozumiał mowę lasu i gór...

— Czy drzewa mówią? — odezwał się Mychajło. — To bajka.

— Bajka — zgodziła się Hanusia, patrząc łagodnie na niego. — Ale przecież bajka — to prawda.

— Jak to?

— A tak. Wszystko jest prawdą. I bajka, i to, co realne. Tylko że w realnych utworach prawda jest wulgarna, a w bajce — miła, serdeczna...

— Nowy głos w nauce o literaturze — roześmiał się Sahajdak. — Za takie pomysły dostałaby pani porządnie w skórę...

— To nie jest nauka o literaturze — westchnęła Hanusia. — To jest życie. Czy nie spostrzegł pan, ucząc się historii, że istnieją dwa potoki w świecie: jeden widomy, a drugi ukryty. Widomy ginie, a ukryty żyje wiecznie. Ten wieczny to bajka. Spójrzcie: Gdzie są dawni panowie, królowie, gdzie ich wyprawy, zabawy, świetność? Nie ma, wiatr rozwiął, połknął czas. A bajka, pieśń, opowieść żyje. Nie, bajka to wielka prawda. Tato powiedział mi o tym i nakazał pilnie strzec w życiu bajki. „Gdzie skończyła się między ludźmi bajka, tam oczekuj upadku i zagłady” — mówił tato...

Bajka? Rzeczywiście, bez niej nie można żyć. Oto on zabląkał się w realnym życiu, bo zszedł ze ścieżki bajki. Nie ma dziwu, nie ma legendy, nie ma i radości...

— A tato powiedział jeszcze — mówiła dalej dziewczyna — że trzeba litować się nad wszystkimi...

— Nad wszystkimi? — powtórzył Mychało.

— Tak — odparła poważnie Hanusia. — I nad przyjaciółmi, i nad wrogami...

— To doktryna chrześcijańska — rzekł Mychajło. — W ciągu tysięcy lat skrzywdzeni nadstawiali policzki pod ciosy możnych. Ale co z tego wynikło? Czy tyrani stali się lepsi? Czy stali się ludźmi?

— Tatko nie tak mówił — pokiwała głową Hanusia. — Człowiek powinien bronić siebie i swojej ojczyzny. Lecz wróg niszczy ciebie z gniewu, wściekłości, a ty walcz z nim, litując się nad nim. Bo nie walczysz z nim wskutek swojej złości, zezwierzęcenia, lecz wskutek konieczności...

— Piękna filozofia — zgodził się Sahajdak. — Właśnie wracam z Pragi, odbywało się tam sympozjum filozoficzne. Pani tato różni się korzystnie w zestawieniu z uczonymi myślicielami pewnych krajów. Czy wie pani, co oni mówią? Że ludzkość powstała wskutek przypadku i nieuchronnie zginie.

— Nieprawda! — klasnęła w dłonie Hanusia. Jej poryw był taki miły i bezpośredni, że coś poruszyło się w piersi Mychajły. — Jacy to niedobrzy ludzie, ci filozofowie. Niech popatrzą na matkę, kiedy urodzi dziecko. Ile miłości, ile czułości! A kiedy dziecko zaczyna chodzić czy mówić! Przecież to niewymowna radość. A wyjdźcie pod gwiazdy, posłuchajcie muzyki nocy — gdzież tu szukać zagłady? Przecież nad nami nieskończoność. A pogrzejcie się w słońcu, popatrzcie, jak poi każdą roślinkę, każde drzewko! Jakaż tu przypadkowość? To nie przypadek, to miłość...

Oto, kogo Swami przytuliłby do serca — pomyślał Mychajło. — Jakie perły rozsiane są na naszej ziemi. I nie trzeba sympozjów filozoficznych — prawdziwa mądrość żyje w sercach...

A Hanusia opowiadała o ojcu, o Karpatach, o swym dzieciństwie. Sahajdakowi miło było słuchać jej prostej mowy, rozkoszować się łagodnym, melodyjnym głosem i myśleć, myśleć, aż do bólu w skroniach, skąd w nim ta niezrozumiała pewność, że oni już się spotkali, że znają się nawzajem, że to spotkanie jest tylko jednym ogniewem w łańcuchu radości i smutków...

Przed Kijowem pożegnali się. Sahajdak układał swoje rzeczy w walizce i rzekł smutno:

— Hanusiu, czy więcej już pani nie zobaczę?

— Jeśli pan zechce, zobaczy pan — odpowiedziała spokojnie dziewczyna, zawiązując chustkę. — Jeśli nie widywać się z przyjaciółmi — to z kim?

— Chciałbym pani tyle powiedzieć... Teraz po prostu

nie mogę. Hanusiu, proszę nie pomyśleć czegoś złego, ale muszę jutro spotkać się z panią...

— Nie mogłabym o panu źle myśleć — rzekła Hanusia. — Dokąd mam przyjść, Mychajło Kuźmiczu?

— Pod pomnik świętego Włodzimierza. Każdy pani pokaże.

— Znajdę. O której?

— Powiedzmy o drugiej, trzeciej po południu. Żeby pani zdążyła załatwić swoje sprawy. A może mógłbym w czymś pomóc?

— Nie trzeba — rzekła twardo Hanusia. — Ja sama... Przyjdę o trzeciej, Mychajło Kuźmiczu. Pod Włodzimierza. Dziękuję za wszystko, za wszystko...

Koła zadudniły, zastukały na zwrotnicach, zbliżał się dworzec kijowski, pasażerowie zaczęli pospiesznie zbierać bagaże i przesuwać się do wyjścia. Do przedziału zajrzał akademik Berehowyj, zobaczył Hanusię, cmoknął i rzucił Mychajle porozumiewawcze spojrzenie.

— Nareszcie w domu. Wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. Prawda, Mychajło? Nie wiedziałem, że w twoim przedziale jedzie taka królowa? Ta-ak, prawdziwa Marusia z pieśni. Gdybym był kawalerem, to...

Akademik nie dopowiedział, ktoś popchnął go z tyłu. Hanusia uśmiechnęła się do niego i podała rękę Sahajdakowi.

— Do widzenia, Mychajło Kuźmiczu...

— Do zobaczenia, Hanusiu...

Sahajdak nie uprzedzał telegraficznie o swoim powrocie, na dworcu nikt go nie oczekiwał. Dojechał taksówką do placu Bohdana Chmielnickiego, zapłacił kierowcy, wszedł do swego mieszkania. Walizkę postawił koło wieszaka, zatrzymał się na progu. Iśniące meble, serwantki, porcelana, błyszcząca posadzka. Przymilnie cykają wielkie zegary. Dlaczego przyszedł tutaj? To jest jego dom? Kto tak powiedział? Wionęło obcością, pokój wydał mu się zimny i nieprzytulny.

Przeszedł do gabinetu. Zatrzymał się przy biurku. Otwarta teczka, na pierwszej stronicy tytuł: „Pochodzenie wszechświata w świetle relatywizmu”. Jego dysertacja. Wkrótce ma jej bronić. Tytuł doktora, przyjęcie,

wysoka pensja, awans służbowy. Służbowy — powtórzył w myśli Sahajdak. — Jakie to śliskie słowo. A kto mu pomoże podnieść się na duchu? Ta dysertacja?

Oczami wyobraźni ujrzał Hanusię. Lżej mu się zrobiło na sercu. Szare oczy spoglądały czujnie i niespokojnie. Ciemność, niepewność, nadzieja. Co się z nim dzieje? Czy to się skończy?

Odszedł od biurka, podniósł słuchawkę telefonu. Połączył się z obserwatorium. Odezwał się Saszko. Po przywitaniu Saszko wrzasnął radośnie:

— Stęskniliśmy się za tobą! Stęskniliśmy się, mówię. Wszyscy pytają, kiedy wreszcie przyjedziesz? Nawet wujek Jakub pytał. No i co, dogadaliście się w Pradze?

— Później, Saszko, później. Słów było mnóstwo...

— Wielkich słów, wielka siła, jak pisał Taras — wołał Saszko. — I nic więcej?

— Opowiem, jak się zobaczymy. Powiedz szefowi, że przyjdę do pracy dopiero za trzy dni. Posiedzę nad dysertacją, mam różne sprawy do załatwienia...

Mychajło odłożył słuchawkę, położył się na tapczanie, wpatrzył się w sufit. Dziwił się sobie. Zobojętniały mu odkrycia, dysertacja, praca, idee. Oto przeniknęły w serce szare oczy, przesłoniły wszechświat. Co to jest? Skąd ich siła? Chyba nie odezwał się w nim zwierzęcy instynkt? Nie prymitywne uczucie? A zresztą — kto wie? I dlaczego prymitywne? Może to jest najważniejsze w życiu? Może właśnie dlatego istnieje cały wszechświat, by na jego drogach mogły się spotkać rozproszone dusze? Nie na próżno Platon pisał o podzielonych sercach. A Rishi-deva — z jaką miłością opowiadał o ukochanej żonie. A Harry?...

Trzasnęły drzwi. W przedpokoju rozległy się drobne kroczki. Mychajło podniósł się z tapczanu. Nina wydała okrzyk radości, rzuciła torebkę na podłogę, podbiegła do męża. Zawisła mu na szyi, przyciskając wilgotne wargi do jego ust. Odchyliła się, jej jasne oczy błyszczały, cieszyła się.

— Michasiu! Nareszcie. Nie mogliśmy się doczekać. No jak? No co?

— Przed chwilą wróciłem...

— Dlaczego nie depeszowałeś? Wyszłabym na spotkanie. Chcesz jeść? Zaraz zagrzeję...

— Nie bardzo — protestował słabo Mychajło.

— Opowiedz mi — zakrzętnęła się żona w kuchni, zawiązując fartuch. — Jedna sekunda. Kotlety z kury, kartofelki. Świeżutkie pomidory...

Mychajło pomyślał o Hanusi. Słabo mu się zrobiło. Kłamstwo, kłamstwo. Teraz trzeba unikać patrzenia jej w oczy, milczeć, okłamywać. Jakie to wstrętne, jakie obrzydliwe.

— Co mi przywiozłeś? — wypytywała Nina, przewracając kotlet na patelni. — Tam chyba jest mnóstwo ciekawych rzeczy?

— Nie chodziłem po sklepach — wzruszył Mychajło ramionami. — Prezenty z czeskiego szkła. Dla Andrzejką...

— Czeskiego szkła jest u nas mnóstwo w sklepach — powiedziała z niezadowolaniem Nina. — Gdybyś przywiózł coś z bielizny. Czesi umieją to robić...

— Wybacz — rzekł sucho Mychajło. — Nie pomyślałem...

— Ty nigdy o mnie nie myślisz. No, no, nie rób takiej miny. Zapomnijmy o tym. Sama sobie kupię. Proszę cię, siadaj do stołu. Napij się wina. „Zakarpaska róża!” Doskonały bukiet...

W wyobraźni Mychajły znów ukazała się twarz Hanusi. „Zakarpaska róża.” Rzeczywiście, kwiatek. Jak uderzająco trafnie określiła granicę między fałszem i prawdą. Teraz już niemożliwe jest życie po staremu. Nie można grać i udawać.

Niędbale rozgrzebywał widelcem kotlet, a Nina siedziała naprzeciw niego i mówiła bez przerwy:

— Zmieniłeś się bardzo. Jakbyś schudł. I jakiś jesteś pochmurny...

— Głowa mnie boli...

— To skutek zmiany klimatu. To się zdarza. Nie zapominaj, że za dwa, trzy tygodnie obrona twojej rozprawy. Musisz się doskonale przygotować. A ja zorganizuję przyjęcie...

— Jakie przyjęcie? — zdziwił się Sahajdak.

— Po obronie. Zaprosisz sto osób. Bankiet na cały Kijów.

— Jeszcze nie wiadomo, czy zatwierdzą...

— Nie troszcz się o to. To moja sprawa. Wszystko pój-

dzie gładko. Ale później nie dam ci spokoju. W przyszłym roku musimy mieć samochód i willę...

— No wiesz, wywierciłaś mi dziurę w głowie tym samochodem...

— Nie szkodzi, nie szkodzi, głowę masz jeszcze całą. A w naszym instytucie dokonano wielkiego odkrycia...

— Jakiego odkrycia?

— Odkryto niezwykle struktury biologiczne pod mikroskopem. Rozumiesz: woda, pewne roztwory, słaby prąd elektryczny. Powstają struktury podobne do pierwotniaków, dzielą się, wchłaniają się nawzajem. Zdaje się, że zbliżamy się do stworzenia sztucznego życia...

— No i co?

— Jak to co? — powtórzyła jego pytanie urażona Nina. — Co ci jest? Tu takie epokowe odkrycie...

— Dużo ich było, tych „epokowych” — powiedział obojętnie Mychajło, pijąc kompot. — I jaki w tym sens?

— A jakiego ci sensu trzeba? — rozgniewała się Nina. — Można będzie tworzyć cybernetyczne systemy biologiczne. Tak mówi kierownik pracy profesor Awdiuszko. Może to jest nitka wiodąca do nieśmiertelności...

— Nieśmiertelność — pokiwał głową Mychajło. — Powtarzamy to słowo jak papugi, nie zastanawiamy się nad nim. Nieśmiertelność czego? Wyobraź sobie, że ty bez końca kręcisz się po kuchni, gotujesz barszcz, biegasz do instytutu, marzysz o samochodzie, a jak go zdobędziesz — to o czymś innym! Przecież to można oszaleć, zapagnie się śmierci!

— Nie pojmuję, jaka mucha cię ugryzła — rzekła urażona Nina, zbierając talerze ze stołu. — Nawet nieśmiertelność cię nie urządza. Czego ty właściwie chcesz?

— Ciszy — rzekł smutno Mychajło. — Ciszy i milczenia. Wiesz, czasami cisza jest mądrzejsza od gadania. Zmęczyły nas słowa. Nasłuchałem się ich w Pradze. I w domu też...

— No, to siądźmy obok siebie, patrzmy sobie w oczy i milczmy. Okropnie ciekawe...

— Gdybyśmy tak mogli! To jest wielka sztuka. Nie każdy potrafi...

— Byłoby lepiej, gdybyś nie pojechał na sympozjum. Bo nasłuchałeś się różnych filozofii! Chodźmy nad Dniepr, wykąpiemy się...

— Jakoś nie mam ochoty...

Do pokoju wpadł Andrzejek, zobaczył ojca, krzyknął z radości, objął go za szyję. Sahajdakowi zrobiło się ciepłej koło serca, ucałował syna w policzek, przycisnął chude sprężyste ciało do piersi. Oto nitka, która łączy go jeszcze z rodziną! Czy jest mocna? Czy wytrzyma?

Pogłaskał bujną czuprynę syna i odsunął się.

— Skąd lecisz jak oparzony?

— Z plaży, tatko! Pędzę na futbol. Ludzi — mrowie!

— Psychoza — westchnął Mychajło. — Co w tym ciekawego?

— Ty nie rozumiesz, tatko! — powiedział syn autorytatywnie. — Mamo, daj mi jakąś kanapkę, jeść mi się chce! Dziękuję. Tam, na stadionie — pole bitwy! Dwa systemy. Aspekt fizyczny, psychologiczny, uczuciowy...

— Hm. A moim zdaniem, zaspokajacie instynkty zwierzęce. Zamiast gladiatorów — piłka nożna. Jak pozwolą na walkę byków — będziecie okłaskiwać byki!

— Nie, Michasiu — sprzeciwiła się Nina. — My w instytucie fizjologii rozpatrujemy piłkę nożną jako klapę bezpieczeństwa dla nadmiaru energii psychicznej w wolnym czasie...

— Tak? — Mychajło podniósł brwi. — To ciekawe. Powiedziałaś mądre słowo. Kłapa bezpieczeństwa. Rzeczywiście. Kto to wymyślił?

— Młody pracownik. Aspirant. Przygotowuje dysertację.

— Nie doczeka się kandydata — uśmiechnął się Sahajdak. — Z takiego tematu mogą wynikać niepożądane wnioski...

— No, tatko, cześć! — powiedział Andrzejek, z trudem przerykując kęs. — Spieszę się...

— Dlaczego mnie o nic nie pytasz?

— A co ty powiesz? Już wiem wszystko! Filozofie! Nie lubię! Przywiozłeś tranzystor?

— Nie. Na co ci? Przecież masz.

— Chciałbym mieć japoński. Nie widziałeś w Pradze?

— Nie widziałem. Nie interesowałem się.

— Więc czym się interesowałeś? Bądź zdrow! Bo się spóźnię...

Syn wybiegł, tupiąc butami na schodach. Ucichło.

Mychajło pokręcił głową, chrząknął ironicznie. Wyrasta na łobuziaka. Jak roślinka bez opieki, bez programu. Eklektyczny pogląd na świat, chaos w głowie. Najważniejsze — to tranzystor, futbol, anarchia w myślach, negacja autorytetu. Filozofia to dla niego „popiół”, jak lubi mówić. A sam, podobnie jak jego zadzierzyści koledzy, jest w niewoli najtańszej drobnomieszczańskiej filozofii: „Żyje się tylko raz”. Czy już nie wyrwie się spod tego złego wpływu, czy oddali się, stanie się obcy? Oczy, twarz, ciało — drogie, bliskie, upragnione. A dusza — w mroku, tchnie chłodem, obcością. A może to gra? Gra w samotność, niezależność? Gdyby!

Niepostrzeżenie zapadał wieczór nad Kijowem, zapłonęły na ulicach latarnie, reklamy neonowe. Mychajło wziął prysznic, przebrał się, położył się w gabinecie na tapczanie...

Nina zjawiła się na progu sypialni w wytwornym peniuarze, zawołała czule:

— Chodź do mnie, Michasiu...

— Głowa mnie boli, Nineczko. Chce mi się spać. Nie wyspałem się...

Odwrócił się do ściany. Nina jak kot podeszła bliżej, zdumiona spojrzała mu w oczy. Jej gorące piersi łaskotały go w plecy, rozdrażniały go.

— Jak to? Pierwszy wieczór... i nie chcesz ze mną?

— Źle się czuję... wybacz, może to grypa?

— Ja cię wyleczę... posuń się...

Wśliznęła się jak łasica pod kołdrę, objęła męża. W Mychajle obudził się zwierz. Słabiutki głos ostrzegawczy zabrzączał jak komar, lecz był niedosłyszalny wśród burzy pierwotnego uczucia. Odwieczna żądza i wieczne niezadowolenie. Jakie to w końcu śmieszne!

Przeminęła, odeszła fala. Poczul się niezręcznie, wstyd mu było przed sobą. Co się z nim dzieje? Dawniej czegoś takiego nie było. Przecież to żona, wkrótce upłynie ćwierć wieku, jak żyją ze sobą...

Nina omdlewała z zadowolenia, całowała go w policzki, w pierś. A on zastygał ze wstrętu od jej dotknięć i здавало mu się, że wraz z każdym pocałunkiem kładzie mu na ciele, na sercu, na duszy mokrą, śliską pieczętkę, którą trzeba będzie zmyć...

Wreszcie Nina odeszła. Wszystko to było beznadziejne. Nina też nie ponosi winy. Dlaczego rodzi się w nim niechęć do niej? Za co? Jaka jest, taka jest. Przecież nie był ślepy... Długi czas godził się z tym, podobała mu się. A teraz? Spotkał młodą, czystą. Powiedzą: rozpustnik. Kto zajrzy do duszy? Kto zanalizuje? A czy zbadał sam swoją duszę? Czuł tylko: bez Hanusi nie może żyć. Ale co będzie z nią? Dzieli ich wiek. I pozycja. Ona rozkwita, on uwiądnął. Co on jej da — szczerzej i młodej? Swój tragizm, swoje poszukiwania? Zasiać w jej ufnej duszy niewiarę, zwątpienie, niepokój? Sytuacja bez wyjścia...

Jedno wiedział na pewno: musi ją zobaczyć, usłyszeć czarujący głos, przejść się z nią razem. I więcej nic nie trzeba. Niech zdecyduje los. Niech zdecyduje...

Rano Mychajło ogolił się starannie, długo wybierał koszulę. Żona spostrzegła to, zdziwiła się. Spiesząc się, rzuciła mimochodem:

— Co się z tobą dzieje? Jakbyś się wybierał do narzeczonej...

Mychajło coś mruknął, złapał gniewnie jakąś kraciastą koszulę z krótkimi rękawami i zapinając guziki, spojrzął z ukosa na Ninę.

— Ciągle coś ci się zdaje...

— Co tam — powiedziała żartobliwie. — Od razu widać, że chcesz się podobać. Nic z tego nie wyjdzie, dziewczęta nie lubią takich niezgrabiaszy. Współczesne ślicznotki poszukują bojowych chłopaków. A ty — co? Idziesz dziś do pracy?

— Nie. Popracuję nad dysertacją...

— Świetnie. Bardzo denerwuję się o ciebie. Prawda, grunt przygotowany, ale wiesz — trzeba wygłosić efektywnie! No, bywaj!

Cmoknęła Mychajkę w policzek i wyszła. Mychajło stanął przed lustrem, bał się spojrzeć sobie w oczy. Skłamał. Już trzeba kłamać. Jakże to? Święte, czyste uczucie, a trzeba się kryć, maskować. Inni umieją, uważają to nawet za konieczne, naturalne. Żyją podwójnym życiem: On nie potrafi, sumienie spali go, zamęczy. Lepsza burza, kłótnia, konflikt, byle nie kłamstwo...

Wyszedł na ulicę. Znalazł się w potoku ludzkim. Poczul

się jak liść na wietrze. Trzeba pokonać nieubłagany potok, odnaleźć w chaosie drugi listek. Jakie siły, jaka głęboka czy przypadkowa prawidłowość rzuciła ich sobie na spotkanie? Gdzie przyczynowość? Czy istnieje? Nie może być inaczej, bo wówczas nie istniałoby nic w bezmiarze — ani słońce, ani miłość, ani sumienie, ani wyrzeczenie. Najpiękniejsze uczucia ludzkie, najcudowniejsze dzieła rozumu i serca nie mogą być wynikiem przypadku...

Mychajło zjechał kolejką linową w dół, pospacerował przy dworcu rzeczonym, zjadł obiad w bufecie. Potem przeszedł się po nabrzeżu i wąskimi krętymi alejkami wspiął się pod pomnik Włodzimierza. Z daleka zobaczył zwiewną postać Hanusi. Stała nad urwiskiem, oparta o parapet, i oglądała cokół pomnika. W piersi Mychajły poruszyła się niewidzialna ręka, ścisnęła serce. Nie wiadomo skąd przetoczyła się lekka fala tęsknoty. Dziewczyna ujrzała Sahajdaka, zrobiła kilka kroków w jego stronę. Wyciągnęła rękę na powitanie.

— Pan śnił mi się tej nocy — powiedziała po prostu i szczerze.

— Jak? — zapytał cicho, przytrzymując w dłoni jej gorącą rękę. Poszli wzdłuż ogrodzenia w dół.

— Śniło mi się, że jestem z dziewczętami nad Czere-moszem. Wieczór świętojański. Gwiazdy. A my puszczamy wianki na wodę. Wie pan — jest taki zwyczaj. To wróżba o narzeczonych. Niektóre wianki przybiły do brzegu, a mój płynie i płynie. Ja za nim, a on wciąż dalej i dalej. Już nie widać wsi, nie ma ludzi, a ja wciąż biegnę. Urwiska, skały, straszno — a wianek wciąż płynie. I rzeka niéwesoła, mętna, i las jakiś dziki. Boję się i nie mam kogo poprosić, żeby dopomógł mi złapać wianek...

— A ja? Powiedziała pani, że ja się pani śniłem?

— Potem, później. W tym śnie pana nie było. Potem znikła ta rzeka, wianek. Dalej zapomniałam, co było — znalazłam się razem z panem przy ognisku. Niby też w noc świętojańską. Trzeba było skoczyć przez ogień. Rozpędziłam się, przeskoczyłam. Przypiekło mnie, ale przeskoczyłam. Patrzę — z tej strony ogniska ciemno, nie ma ludzi. Za mną otchłań. A pan jeszcze tam. Czekam, a pan nie skacze. Pan coś krzyczy, usta poruszają się.

Próbuje się pan rozpędzić, a ogień podniósł się wysoko, płomień skacze, bucha aż pod niebo. Nie pozwala skoczyć. Pan coś krzyczy, usta poruszają się, ale ja nie słyszę. Chcę obejść ognisko i nie mogę. Nogi odmawiają posłuszeństwa, ciało staje się jakby nie moje. Ogarnął mnie strach, ciarki przeszły po plecach, obudziłam się...

Mychajło milczał. Ten sen wydał mu się straszny. Dziewczyna również się nie odzywała. Oglądała widoki, w skupieniu patrzyła na ludzi, na drzewa.

Podeszli do kiosku z napisem „Lody”. Mychajło skinał głową:

— Wejdziemy?

Dziewczyna uśmiechnęła się, zgodziła się chętnie:

— Z przyjemnością. Bardzo lubię lody, a na wsi nigdy ich nie ma...

Usiedli przy stoliku, koło zielonej ściany żywopłotu z dzikiej winorośli. Gdzieś grała dziarska orkiestra. Siedzący przy sąsiednich stolikach spoglądali na nich, słysząc było słowa:

— Ładną ma córkę. Podobna do ojca...

Mychajło poczuł, że gorąca fala zalewa mu twarz. Córka. No cóż — mimowolnie został postawiony na właściwym miejscu. Trzeba znać proporcje. A dziewczyna, zamysłona, spoglądała mu w oczy, jakby chcąc przeniknąć w utajone głębie duszy. Usta jak płatki poruszyły się, zapytała:

— Prawda, to ciekawe?

— Co? — nie zrozumiał Mychajło.

— Mówią, że jesteśmy podobni do siebie. Ale w rzeczywistości nie jesteśmy podobni.

— Nie — zgodził się. — Pod względem zewnętrznym — nie.

— Może wewnątrz — powiedziała.

Mychajło zamilkł.

Zbliżyła się kelnerka, przyjęła zamówienie. Przyniosła lody. Hanusia jadła powoli, smakowało jej, mrużyła oczy.

— Urządziła się już pani? — zapytał.

— Tak. Odnalazłam koleżankę. Na Kureniówce. Na razie mam u niej łóżko. Jest tam cicho. Mieszka jeszcze stara babcia. Zostawiłam u nich rzeczy. W tych dniach składam podanie na uniwersytecie...

— Podoba się pani Kijów?

— Och, tak. Bardzo ładne miasto. Wesołe i serdeczne. A jednak wolę Karpaty.

— Dlaczego?

— Tam szczerzej. W mieście smutno, samotnie.

— Wśród milionów ludzi?

— Tak. Przecież nie podejdzie się do człowieka, nie pogada się z nim. Chyba, żeby spytać o drogę. Ale od serca — nie.

— A w górach?

— W górach można pogadać z każdym. Każdy zatrzyma się, opowie o sobie albo zapyta. I nie tylko człowiek — każda roślina, każdy kwiatek — jest krewnym...

Mychajło słuchał jej miłego głosu i cieszył się. Mów, mów. Dziwna istota, gdzieś się zrodziła, skąd przybywasz? Może jesteś nimfą górską czy córką pieśni wierchowińskich zrodzoną z dźwięków fujarki i trembity, z czystej rosy świtu i zapachu smreków? Mów, mów...

— Prawda, że jestem dziwna?

— Jak to dziwna, Hanusiu?

— No... śmieszna. Niewspółczesna...

— Nie wiem. Ty zawsze będziesz... współczesna... Po wszystkie czasy...

— Nie rozumiem...

— Jesteś naturalna, nie sztuczna. I sto lat temu byłabyś taka, i tysiąc...

— Możliwe — zgodziła się Hanusia. — Nie lubię przemijającej mody, która tak przypada do serca dziewczętom. Mnie to dziwi. Po co im kosmetyki, kiedy mają czystą skórę, jasne oczy, piękne włosy. A one patrzą na mnie jak na dzikuskę...

— O nie — powiedział gorąco Mychajło. — To nieprawda. Nie wiem, jak dziewczęta, kobiety, ale mężczyźni... wręcz przeciwnie.

Popatrzył na nią. Znana mu już haftowana bluzka z samodziła tak korzystnie wyróżniała się wśród zimnych nylonów dziewcząt w sąsiedztwie, spoglądających sceptycznie na Hanusię. Czarna spódniczka harmonijnie uzupełniała strój. Na smukłych opalonych nogach dziewczyna miała zwyczajne sandaiki. Hanusia zauważyła ledwie dostrzegalne spojrzenie Mychajły, schowała nogi pod

krzesło, roześmiała się. On również się uśmiechnął. Zrozumieli się bez słowa.

— Chodźmy — powiedziała, wstając z miejsca.

— Co pani pokazać? — zapytał. — Muzea? Świątynie?

— Chodźmy lepiej nad Dniepr — skinęła głową. — Muzea można odwiedzać w zimie. Najładniejsze muzeum to przyroda...

Pięknie to powiedziała — pomyślał Mychajło. Wziął ją za rękę i poprowadził do zejścia na Podoł.

Co będzie, jeśli nas zobaczy jakiś znajomy? — mignęło w świadomości Mychajły. Dobrze. Jakie to ma znaczenie? Teraz nic go już nie obchodzi, prócz tego, żeby być z nią razem. Od niego nic nie zależy. Co ona powie — to będzie. Ona zdecyduje słusznie, według serca. Niech tak będzie, tak. Byle tylko nie powiedzieć nic fałszywego, nie wystraszyć jej, nie odepchnąć. I niczego nie skrywać...

— Chodźmy do ujścia Desny — zaproponował. — Tam jest mniej ludzi, piękne plaże...

— Cudownie — klasnęła radośnie w ręce. — Nigdy jeszcze nie kąpałam się w Dnieprze! To będzie pierwszy raz! Tak marzyłam o tym. Nawet kupiłam sobie kostium kąpielowy.

Kupili bilety na mały statek, kwadrans spacerowali przed dworcem rzeczonym, napili się wody sodowej z automatu. Wreszcie sygnał wezwał pasażerów do zajmowania miejsc na pokładzie. Wkrótce już zachwycali się pejzażem lewego brzegu Dniepru. Po godzinie statek dowiózł ich do ujścia, tam zeszli i ruszyli wzdłuż brzegu. Zatrzymali się w bezludnym miejscu, na piaszczystym placyku wśród gęstej łozy. Przed nimi płynęła jasnożółta woda, w niebie żałośnie krzyczały czajki.

Hanusia zdjęła szybko spódniczkę, bluzkę, została w błękitnym kostiumie kąpielowym. Powiedziała uszczęśliwiona:

— Cudownie. Jak we śnie...

Skacząc na jednej nodze, klasnęła w dłonie.

— Nigdy nie wiedziałam, że tu jest tak dobrze!

— Lepiej niż w Karpatach? — zapytał z uśmiechem.

— To co innego — odpowiedziała poważnie dziewczyna. — Siedzimy tutaj — śnimy o Karpatach. Stojąc na połoninie — marzymy o Dnieprze...

Weszła do wody, niezręcznie, po dziewczęcemu pluskała się wśród fal, podniosła fontannę bryzgów, śmiała się radośnie. Mychajło rozebrał się, stojąc przy łozie, zachwycał się Hanusią. Skąd to uczucie bliskości? Dlaczego tak jest? Doprawdy, niby córka. Chciałoby się jej strzec, pomagać, iść obok, bronić przed niebezpieczeństwem...

— Niech pan się też wykąpie! — wołała.

— Chcę napić się słońca...

Położyła się na wznak na wodzie, zastygła, kołysząc się na falach. Widać było jej oczy, drobne piersi, jasne warkocze. Czas zatrzymał się czy znikł. Nie potrzeba go. Oby tak trwało wiecznie: piaszczysty zakątek między łozą, jasnożółta woda i czajki pod niebem. I ona pod słońcem, na fali...

Hanusia przyplęnęła do brzegu, powoli wyszła na piasek, wyciskając wodę z warkocza. Jasnobrazowe ciało połyskiwało, wysoko wznosiła się pierś. Mychajło zapatrzył się w nią, ruszył na spotkanie. Milczała. Wargi jej drżały. Pocałował ją. Hanusia położyła mu na piersi mokrą głowę, zamknęła oczy, uśmiechała się.

— Jak pięknie — szepnęła.

— Oszalałem — powiedział smutno Mychajło.

— Kochasz mnie? — zapytała ledwie dosłyszalnym głosem.

— Jestem stary. Jestem żonaty...

— Co mi do tego. Jesteś mój...

— A ty będziesz moją?

— Już jestem twoja...

— Pobierzemy się?

— Już się pobraliśmy. Dawno...

— Jak? Co powiedziałaś?

— Nie wiem... Nie wiem... Nie trzeba mi niczego... Już nigdy nie zapomnę o tobie... Oczekiwałam takiego mężczyzny...

Mychajle zapało dech ze smutku i radości. Dlaczego, dlaczego to się nie stało przed dwudziestu pięciu laty? Skąd taka niesprawiedliwość losu? Co on da, czym odpłaci za niewysłowioną szczerłość, za bezcenny dar?

— Ja też czekałem na ciebie. Było mi tęskno i smutno, Hanusiu. I teraz — radość i smutek. Dlaczego — nie wiem. Może dlatego, że jesteś taka młoda...

— Miłość nie zna wieku — szepnęła Hanusia. — Kwia-

tek jest młody, dopiero rozwinął się, a słońce liczy miliardy lat. I kochają się. Jakie ma znaczenie wiek, Mychajło?

— Rozwiodeę się. Będziemy na zawsze razem...

— Nie wiem... Nie wiem... — powiedziała smutno.

— Dlaczego? Co ci jest? Masz zimne ręce...

— Przypomniałam sobie sen. Ognisko... i ty nie możesz go przeskoczyć...

— Sen-mara — rzekł gorąco Mychajło. — Nie trzeba zwracać uwagi na przywidzenia, trzeba słuchać głosu życia... Słyszysz, Hanusiu?

— Słyszę, kochany. Milcz. Postójmy razem w ciszy. Cicho...

Słowo czwarte – mara

Na co mi słońce, skoro zmiotło twoje
gwiazdziste znaki?...

Mądrość wschodnia

Mychajło wstał bardzo wcześnie. Dzień rodził się jasny, cichy. Ulice wzdychały dalekim szumem samochodów, szmerem kroków. Sahajdak umył się szybko, usiadł przy biurku, przejrzał notatki nucąc wesołą piosenkę.

Zajrzała Nina. Zdziwiła się.

— Nigdy nie wstawałeś tak wcześnie. Co się z tobą dzieje?

— Chcę popracować. Sama wiesz — zostały mi tylko cztery dni.

— O, to dobrze. Bo zastanawiałam się, dlaczego jesteś taki wesoły? Jak gdyby zakochany...

— W dysertacji — zażartował niezręcznie Mychajło. — A dlaczego ty już wstałaś? Obudziłem cię?

— Nie. Idę do instytutu.

— Co się stało?

— Eksperyment. Zaraz przyjedzie po mnie Lihosow...

— Jaki to eksperyment? Epokowy? — zaciekawiał się ironicznie Mychajło.

— Może i epokowy — mruknęła Nina, obejmując męża. Wionął od niej ciepki zapach perfum, rozgrzane ciało żony działało na niego odpychająco. Odsunął się.

— A jaki temat?

— Fizjologiczne podstawy etyki.

— Ho-ho! To może i miłość scybernetyzujecie?

— Zupełnie jakbyś nie był współczesnym uczonym — wzruszyła ramionami Nina. — Wszystko podlega cybernetyce. Czy miłość jest poza obrębem praw świata?

— Miłość sama jest prawem.

— No, to brzmi jak coś ewangelicznego...

— Dziwne — powiedział Mychajło. — Bardzo dziwne. Jak ten Lihosow przerobił ciebie na swoją modłę.

— A czy byłam inna?

— Byłaś. Pamiętasz — wyśpiewywałaś: „Miłość — i nie trzeba nic więcej”.

— Ha-ha, przypomniałeś sobie. Wszystkie dziewczęta są szalone, kiedy się zakochają. Do tego na wiosnę. Natura wzywa, pobudza odpowiednie organy...

— Nineczko!

— Co, kochany? Ach, jesteś zaszokowany. No, już nie będę. Przecież jesteś zakochany w gwiazdach, jesteś daleki od fizjologii. Chociaż, kiedy sprawa dochodzi do... Milczę, milczę. O, dzwonek. Zdaje się, że to on...

Nina wyszła do przedpokoju. Mychajło usłyszał przytłumioną rozmowę. Do gabinetu zajrzał Lihosow — kierownik wydziału biocybernetyki Instytutu Fizjologii. Twarz miał podobną do siekiery — ostrą, suchą. Oczy jak szydła, koło wąskich warg ironiczne zmarszczki. Skinięta głową.

— Jak się masz, gwiazdzisty anachoreto! Dawno cię nie widziałem. Wkrótce obrona?

— Za cztery dni.

— Przyjdę. Ciekaw jestem, ile będzie w tym mgły!

— Nie więcej niż u ciebie. Nineczka powiedziała mi o waszym hokus-pokus...

— To wcale nie hokus-pokus — zaśmiał się Lihosow, zacierając suche dłonie jakby mu było zimno. — U nas tylko naga praktyka. A u ciebie — pif-paf! — fantazje, eklektyka!

— Masz rację — zażartował Mychajło — u was naga praktyka. Naga — jasne? A należy ją ubrać. W szaty rozsądku...

— O, to, to — podchwycił Lihosow — właśnie to robimy!

— Słyszę, słyszę — odezwała się Nina, stając na progu gabinetu. — Już rozgadaliście się. Proszę do stołu, zjecie śniadanie. Potem pojedziemy.

— Wcześniej jest — rzekł Lihosow. — Ludzie jeszcze śpią, a my będziemy napychać kałduny...

— Wino, kawa — powiedziała Nina.

— Wina bym się napił — uśmiechnął się Lihosow. —

Zawsze. Nawet w nocy. Dobre wino to radość życia. I jeszcze — mądra żona.

— A jaka jest mądra? — zapytał Mychajło, podnosząc się z fotela.

— Taka na przykład jak twoja Nina...

— Komplement? — twarz Niny rozjaśniła się. — Proszę za mną...

— Przecież pani wie, Nineczko, że nigdy nie mówię komplementów. To nie jest w moim stylu.

Przeszli do salonu. Na stole stało kilka butelek wina, serwis do kawy, owoce. Lihosow zatarł ręce, powąchał cytrynę.

— Cudownie. Chociaż jesteśmy cyberami przyrody, lecz mimo to jest cudownie.

— Co cudownie? — zapytał Mychajło, nalewając wino.

— Życ — odpowiedział Lihosow, podnosząc kielich. Promień słoneczny wdarł się przez firankę, zagrał w winie. — Spójrz, jakiś pospolity płyn, a cudo. Rozwesela serce, rozgrzewa duszę.

— Uważaj: serce, dusza — podjudzał go Mychajło, popijając wino małymi łykami. — Przecież jesteś cybernetykiem, a używasz pojęć metafizycznych...

— Nie ma takich pojęć — odparł Lihosow. — Jest czysta fizyka, cybernetyka. Serce — to generator energii, pompa, biochemiczny transmutator...

— O, a jednak rozszerzyliście funkcje serca — odezwał się zjadliwie Mychajło. — Bo przedtem była tylko pompa...

— A dusza — mówił dalej Lihosow, nie zwracając uwagi na ironię gospodarza domu — to zogniskowany refleks naszego organizmu...

— Nie rozumiem...

— Dlaczego? Każda wyregulowana maszyna pracuje wesoło. Podobnie my. Odczucia duszy to odczucia jednolitego kompleksu wszystkich części systemu.

— Koszmar...

— Nic podobnego — roześmiał się Lihosow, nalewając sobie następny kielich. — Po prostu nie jesteś przyzwyczajony do konkretnego myślenia. Astronomowie w ogóle skłonni są do mistyki. A my jesteśmy ludźmi faktu. Fakt to nasz bóg.

— Znowu bóg. A każdy bóg — to posąg.

— No cóż, lepszy bóg, którego można dotknąć — zapewnił Lihosow. — Bóg, który nie objawia siebie, to nihil, wymysł.

— A bóg faktu, który się ujawnia, to mara. Oczywiście zawsze nas oszukuje.

— Wiem. Ale jednak mniej niż abstrakcja. Nie można mieszkać w urojonych zamkach. Przyznajemy wyższość realnemu budynkowi, chociażby najbiedniejszemu. Tak wygląda oczywistość.

— Nie mówię o takiej oczywistości, tylko o filozoficznej...

— Zaplątałeś się, bracie. Kiepski z ciebie filozof. Nic się nie znasz na cybernetyce, lepiej słuchaj i milcz. Zakarbuuj sobie w pamięci...

— Aż przykro słuchać. Kłamiecie wszyscy. Modelujecie myślenie, uczucia, chcecie się dobrać do intuicji. Zaprogramować miłość...

— A dlaczego nie? — zdziwił się Lihosow. — Nineczko, czy można prosić o kawę? Jak najmocniejszą!

— Za chwilę.

Nina pobiegła do kuchni. Lihosow wziął kilka plasterków cytryny, posypał cukrem i zaczął żuć ze smakiem.

— Ty, Misiu — mówił, mlaskając — ignorujesz najważniejszą prawidłowość wszechświata...

— To znaczy jaką?

— Wszechogarniający program przyrody. Wszystko jest zaprogramowane — od atomu do... no, do aniołów, jeśli one istnieją. Jesteśmy jak króliki doświadczalne w laboratorium przyrody. Wszystko, co robisz, robisz nie z własnej woli. U nas nie ma swobody. Zło, dobro, to wszystko fikcje...

— No wiesz — oburzył się Mychajło. — W takim razie złoczyńca nie jest odpowiedzialny...

— Oczywiście, że nie jest — powiedział spokojnie Lihosow. — Przed kim ma odpowiadać? Boga nie ma, duszy nie ma. Przed przyrodą? Jest obojętna i chłodna. Jest maszyną. Miele, kręci, jednym odrąbuje głowy, jeśli wpadną w tryby, innych podnosi do góry, jeśli szczęśliwie znajdą się na wstępujących stopniach. Sądzymy przestępcę nie dlatego, że jest grzeszny, czy coś w tym rodzaju, ale dlatego, że jego czyn przeszkadza większości

ludzi. Dobro, zbrodnia to są fikcje, symbole dialektycznej przyrody.

— Jesteś strasznym człowiekiem — powiedział Mychajło, patrząc z zaciekawieniem na pergaminową twarz Lihosowa. — Jak ty możesz żyć z takim światopoglądem?

— A dlaczego miałbym nie żyć? — Lihosow wzruszył ramionami. — Wyzbyłem się iluzji. Jedni wymyślili sobie Boga. Inni — pięknoduche idee. I jedni, i drudzy to kłamcy. Prawem świata jest wieczna walka. Okrutna, nieubłagana. Miłość i piękno to tylko błazeńskie maski zła i okropności.

— Jesteś cynikiem — rzekł Mychajło. — Jakby cię piekło zrodziło...

Lihosow zaśmiał się. Nina przyniosła kawy, Lihosow wziął szklanę, napił się i skinął z podziękowaniem głową.

— Nineczko, czy pani słyszy, co Misio plecie? On już używa zamiast naukowych argumentów metafizyki kościelnej! Mnie urodziło piekło!

— Michasiu! — powiedziała z wyrzutem Nina.

— Bo po co mam z nim robić ceregiele? — odparł zirytowany Sahajdak. — W ten sposób można dojść do negacji najświętszego. Istnieje absolutne dobro, istnieje miłość. Nie maski przyrody, lecz jej najistotniejsza treść. Mówisz nieprawdę. Kwiat — to dobro. Promień słońca — dobro. Piękny obraz, wywołujący zachwyt widzów — to dobro...

— Ślepiec — westchnął Lihosow. — Jagnię zjada kwiaty. Wilk pożera jagnię. Albo człowiek. Promienie słońca przenikają dzięki fotosyntezie w rośliny, przez asymilację w zwierzęta, w ciało ludzkie. Zarówno kaci, jak ich ofiary zrodzeni zostali przez promienie słońca. W zło wplecione są, mówiąc poetycznie, złote nici słońca. A jeszcze ściślej — nie ma ani zła, ani dobra. Jest tylko maszyna świata — a w niej marionetki, które odgrywają spektakl, umownie nazywając to czy co innego złem lub dobrem...

— A sumienie?

— Co sumienie?

— Dlaczego cieszymy się, kiedy przynosimy dobro, i czujemy się źle, kiedy czynimy zło?

— A Hitler?

— Co?

— Aha — powiedział szyderczo Lihosow — nie rozumiesz! Esesmani mieli sumienie, kiedy palili w piecach miliony ofiar? Pytam się, czy dręczyło ich to sumienie, czy nie? Wręcz przeciwnie, cieszyli się, kiedy katowali ludzi. Jak to wyjaśnisz?

— To nie byli ludzie. To wyrodki. To prawdziwe maszyny cybernetyczne...

— Więc czym jest dusza?

— Oni nie mieli duszy. Utracili ją...

— Więc cóż to jest dusza? Czy to coś tak nieuchwytnego?

— Moim zdaniem — odpowiedział spokojnie Mychajło — to nagromadzona w ciągu tysiącleci, w procesie społecznego życia najpiękniejsza treść człowieka. Przekazywana jest przez ród, przez narody, przez sztukę. Ktoś gromadzi ją, przekazuje przez sztafetę wciąż dalej i dalej, a ktoś — odrzuca. A ponieważ przyroda nie zna próżni, więc nieobecność dobra wypełnia jego przeciwieństwo. Czyli dusza — to zapas dobra. Kto ma w sobie ten cudowny zapas, ten odczuwa radość z dobrego uczynku, ten może kochać, współczuć, poszukiwać szczęścia...

— Przyjdź do mnie — powiedział sceptycznie Lihosow. — Pokażę ci moje szczury. Omdlewają z radości i szczęścia, naciskając guzik.

— Jaki guzik? — zdziwił się Mychajło.

— Guzik dobra — zażartował szyderczo Lihosow. — Właśnie wespół z Nineczką modelujemy twoje wszystkie uczucia metafizyczne. Odnajdujemy w szczurzym mózgu zlokalizowane ośrodki rozkoszy, radości, używamy elektrod. Szczur zamyka obwód, odczuwa radość. I już go nie oderwiesz od tego guzika. Nie będzie jeść ani pić, umrze koło guzika, naciskając go aż do końca. Swoisty fanatyk religijny. Tak to wygląda, przyjacielu. Świat jest gigantycznym laboratorium dla szczurzej radości. Albo smutku. Jedni szukają guzika, inni go znaleźli, rozkoszują się, odpychają innych. Ot, i cała filozofia!...

— A idź ty do... — Mychajło poczerwieniał z gniewu. — Gdyby tu nie było Niny, dałbym ci w gębę. Wasz instytut trzeba wysadzić w powietrze!

— Za co? — zapytał niewinnym tonem Lihosow. — Za prawdę? Za to, że uwalniamy ludzi od pajęczyny fałszu?

He-he, Misiu, jesteś beznadziejnie chory. W tych dniach zaprowadzę cię do teatru anatomicznego, mam tam cudowne eksponaty, już ja cię uleczę. Nineczko, czas na nas. Dziękuję za wino. Cudowny napój. Misiu, good-bye!

— No, szykuj się do rozprawy — zaśpiewała Nina, pochylając się nad Mychajłą. — A ja zrobię wszystko, co należy. Do zobaczenia...

Nina wyszła z Lihosowem. Mychajło posępny siedział przy biurku. Zdawało mu się, jakby był oblepiony czymś ohydny, cuchnącym. Mój Boże, dokąd oni wiodą naukę? Co przygotowują dla ludzi? Najlepsze osiągnięcia geniuszu ludzkiego oddają na pastwę nienawiści, zimnej teorii. A zresztą, dlaczego miałby się martwić? To tylko kołysanie się wahadła. Przecież nie wszyscy cybernetycy są tacy jak Lihosow...

Hanusiu, jaskółko moja! Ty swym spojrzeniem, szczerym słowem, przekreślasz ich potworny pogląd na świat. Nie trzeba słów, rozważań, erudycji. Łaska oczu, milcząca zrozumienie — i po co dowody, formuły, autorytety?

Praca nie kleiła mu się zupełnie. Odłożył maszynopis i wyszedł z domu. Wkrótce nastąpi spotkanie. Dość już niepokoju i rozmyślań, trzeba się zdecydować. Powiedzieć Ninie, ona zrozumie. A jeśli nie — to trudno. On nie chce żyć podwójnym życiem. Szczurza radość? Nie, to nie dla niego. On pragnie żyć pełnią ludzkiej miłości. Albo cierpienia — ale ludzkiego. Nie będzie naciskać guzika, by uzyskać słodkie, fałszywe odczucie. Niech oni sami zagłębiają się w świecie chimer, niech wierzą w potworne teorie, niech budują niewidzialne więzienie dla swego ducha. On woli umrzeć na wolności. Z Hanusią — na życie i na zgon. Bo bez niej — po co to wszystko? Kiedy, być może, całe życie przeżył dla tego spotkania?

Hanusi nie było przy pomniku Włodzimierza. Mychajło zdziwił się. Przyniekła, że będzie o dwunastej. Już jest pięć po. Może spóźniła się? Tramwaj z Kureniówki jedzie długo, może źle obliczyła czas?

Pokręcił się dokoła pomnika, podniósł kilka kłujących kulek — kasztanów w łupinkach. Zmajstrował śmieszne-

go smoka na trzech nogach. Uśmiechnął się. Można będzie podarować Hanusi — ucieszy się. Lubi takie drobiazgi, szczerze się nimi zachwyca.

Minęło jeszcze dziesięć minut. Mychajło zaniepokoił się, popatrzył na zegarek, przysłuchał mu się. Nie, zegarek dobrze chodzi. A więc to ona się spóźnia. Jakiś wysoki, chudy młodzieniec z przyszczatą twarzą bezczelnie mrugnął do niego i rzekł nonszalancko:

— To nie wina zegarka. Sprawa jest bardziej złożona.

Mychajło spojrział na niego gniewnie, młodzieniec zachichotał głupio i odszedł.

Minęło jeszcze kilka minut. Hanusi nie było.

Mychajło przebiegł wzdłuż żelaznego ogrodzenia. Może zapomniała, gdzie się umówili? Chyba nie, przecież ustalili, że w tym samym miejscu. Może pomyliła godzinę. Może nie umówili się na dwunastą, tylko na pierwszą? Albo na drugą? Nie, zdaje się, że na dwunastą...

Począł do pierwszej. Do drugiej.

Wiedział już, że nie przyjdzie. A jednak czekał. Bezmyślnie patrzył na nurt Dniepru, na mrowie ludzkie na plaży, wielokrotnie odczytywał napisy na cokole pomnika.

Nie ma jej. Jakby nigdy nie było. Co się stało? Może zachorowała? A on nawet nie zna jej nazwiska, nie zapytał, gdzie zamieszkała. Jak ją znaleźć, jak się o nią dowiedzieć? Chodzić przed gmachem uniwersytetu, czekać, aż ją spotka? Kto wie, kiedy ona tam będzie? A może rozmyśliła się i pojechała do domu?

Czy to możliwe? Mogłaby tak zrobić — coś się jej nie spodobało, ogarnęła ją tęsknota za górami, nie wytrzymała... A zresztą — głupstwa. Mogłaby chociaż pożegnać się z nim. Przecież umówili się. Hanusia nie jest histerką. To poważna dziewczyna.

A może stało się coś innego... Pomyślała o jego rodzinie... nieuniknionych kłopotach... O plotkach ludzi... Żal jej się go zrobiło... Ona czysta, uczciwa — postanowiła przeciąć wszystko natychmiast, żeby nie bolało, żeby się nie męczyć... Możliwe, że tak...

Począł do piątej. Powoli odszedł. Spotkał jakiegoś znajomego, który przywitał się z nim, popatrzył nań, zakłopotany:

— Co się panu stało, Mychajło Kuźmiczu? Czy pan nie jest chory? Wygląda pan jak z krzyża zdjęty...

Mychajło coś mruknął, nie poznał pytającego, nie zrozumiał, o co tamten pyta. Szedł bezmyślnie chodnikiem, oglądając kasztanowego smoka. Zatrzymał się przy budynku milicji, zamyślił się. Może jednak zapytać? Jeśli, nie daj Boże, zdarzyło się jakieś nieszczęście, to tylko oni mogą powiedzieć...

Wszedł nieśmiało do poczekalni. Przywitał go oficer dyżurny — grzeczny, sprężysty.

— Czego pan sobie życzy?

— Znikła dziewczyna — powiedział zdenerwowany Sahajdak.

— Jaka dziewczyna? — uśmiechnął się dyżurny. — Proszę usiąść. Niech się pan nie denerwuje. Znajoma? Narzeczona? Siostra?

— Znajoma. I nawet więcej. Umówiliśmy się na spotkanie... nie przyszła.

Dyżurny roześmiał się wesoło, przysunął arkusik papieru, wyjął z kieszeni munduru długopis.

— To jeszcze nic strasznego. Nie przyszła dziś — przyjdzie jutro. Na pewno nic takiego się nie stało...

— Ona jest nietutejsza. Z Karpat — powiedział Mychajło.

— Ach, tak — odrzekł poważnie dyżurny. — To rzeczywiście... Dlaczego pan jej nie odwiedzi, gdzie ona mieszka?

— Nie wiem, nie pytałem. Sam mam sobie za złe...

— Maturzystka, czy jak?

— Tak. Ma wstąpić na uniwersytet. Cudowna dziewczyna. Przyszły astronom. Moje nazwisko Sahajdak. Może pan słyszał?

— Czytałem — ucieszył się dyżurny. — Miło mi poznać pana. Lubię kosmonautykę, astronomię. Pomogę panu. Jak ona się nazywa?

— Nie wiem — bezradnie rozłożył ręce Sahajdak. — Nie zapytałem...

— No, i jak tak można? — zapytał z wyrzutem dyżurny.

— Na imię ma Hanusia...

— Hanusia... Hanna czy Anna? A może Halina?

— Chyba Anna. Zresztą nie wiem...

— A z jakiej wsi?

— Gdzieś na Wierchowinie...

— No, wie pan, to zupełnie jak w piosence „Napisz dokądkolwiek”. My nawet z pełnymi danymi niekiedy miesiącami poszukujemy ludzi... A tu — Hanusia...

— Więc co robić? — zapytał niespokojnie Sahajdak.

— Zaczekać. Może się zjawi. Przecież zna pański adres?

— Zna.

— No, to świetnie. A ja rozpocznę śledztwo. Sprawdzę. Jeżeli będziemy mieli jakąś wiadomość — dam panu znać. Proszę zostawić swój adres. O, tutaj. Dziękuję. Do widzenia.

Nazajutrz Mychajło poszedł pod uniwersytet. Kręcił się w tłumie maturzystów, rozglądał się. Hanusi nie było. W domu nie było od niej żadnego listu czy wiadomości.

Poszedł do pracy. W obserwatorium koledzy ucieszyli się z jego przybycia. Bud'laska biadolił:

— Co się z panem dzieje? Istny kościotrup. Nineczka nie daje panu jeść? Udzielę jej nagany. Przed obroną dysertacji trzeba być w dobrej formie, w pełni sił...

— Źle się czuję — powiedział lakonicznie Sahajdak.

— Zwalniam pana — rzekł Bud'laska. — Ma pan zwolnienie aż do obrony. Niech pan odpocznie, zabawi się. Może pan posiedzieć w „Kukułce”. He-he! Z jakąś dziewczynką. Pomoże, pomoże. Jak ręką odejmie zmęczenie, chandrę. No, no, niech się pan nie gniewa. Purytanin — wiem...

Mychajło pojechał wieczorem na Kureniówkę. Wiedział, że to nie ma sensu, a jednak chodził krętymi ulicami, wypytywał ludzi, wchodził do bram, przeklinał siebie w myślach. Może ona nie chce się z nim spotykać? Może to był pierwszy poryw; a potem... Ona jest młoda, ma przed sobą całe życie... Spotka chłopca ze swego grona? Bez męki, bez kłopotu. A tak — co będzie miała ze mnie? Pajęczynę, płataninę...

Po powrocie do domu zamknął się w gabinecie, nie wpuszczał nikogo. Na zapytania Niny nie odpowiadał. Siedział za biurkiem, ściskając rękami skronie, usiłował opanować tępy ból, który rwał mózg, mroził duszę. Kim ona jest, dlaczego weszła tak głęboko w jego życie? Zapaliła ogień, który zamienił się w pożogę. Sama znikła,

a pożar buszuje, zagarnął horyzont. Jak odzyskać spokój, równowagę?

Rankiem zajechał Lihosow. Bezceremonialnie chwycił Mychajkę za rękawy marynarki, pociągnął za sobą.

— Jedziemy. Nie pożałujesz...

— Co tam u ciebie? Szczury? — skrzywił się Sahajdak. — Mdli mnie na myśl o nich. Sam się zachwycaj nimi...

— Boisz się? — roześmiał się Lihosow, błyskając złotym zębem. — Boisz się utraty złudzeń? Kto do mnie przychodzi, ten, bracie, naprawdę odzyskuje wzrok. Nad drzwiami można by powiesić stary napis z piekła... Jak to brzmiało? „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić.” Ha-ha! Cóż począć — prawda jest straszna. Ale ja jestem zwolennikiem prawdy.

— Eugeniuszu — Sahajdak przypatrzył się bacznie koledze — a mnie się czasami zdaje, że to ty się boisz...

— Czego? — zapytał ironicznie Lihosow.

— Boisz się, że stracisz złudzenie twojej „prawdy”. Drżysz na myśl, że jutro czy może pojutrze światopogląd cybernetyczny diabli wezmą, nauka odkryje nowe perspektywy, a przed rozumem odsłoni się otchłań! Co — czy nie tak? A jeśli się odrzuci twój mizerny światopogląd, to okaże się, że jesteś żebrakiem, nagim królem...

— Oho, więc jeszcze pokazujesz zęby? — zdziwił się Lihosow. — Nie szkodzi, nie obrażam się. Masz w głowie różową mgłę. To się zdarza, nawet wielkim uczonym. Zawsze dziwiłem się, dlaczego to wśród wielkich geniuszów (nie mówię o tobie, tobie daleko do geniusza!) — dlaczego, powiadam, wśród wielkich geniuszów spostrzega się dziwną skłonność do przesadnego abstrahowania... Einstein, Kant, Hegel, Spinoza, Giordano Bruno... Ty, chociaż nie jesteś Einsteinem, należysz do tej kategorii. Nie masz nic przeciw temu, żeby gdzieś za materią przylepić rozum świata! Ha-ha! Czy nieprawda? Mistyczny zaczyn. Skąd to się bierze? Dziwne. Mnie się wydaje, że to wskutek przeładowania informacją. Informacji jest dużo — ale syntezy, rozumienia nie ma... Nie ma, kochasiu! Co wówczas pozostaje? Przypuszczenia, mój braciszku!

— Przypuszczenia? — zapytał sceptycznie Mychajko. — Co to jest z cybernetycznego punktu widzenia?

— Poszukiwanie odpowiedzi bez systemu. Metodą prób: tak — nie, tak — nie. Zanim znajdzie się dokładna odpowiedź, wiesz, ile mistyfikacji przejdzie przez twoją nieszczęsną maszynkę? Ho-ho!

— Zarozumiały antroposie! — zażartował Sahajdak. — A ty — co, nie szukasz? Stałeś się wszechwiedzącym bogiem cybernetycznym?

— Ja znalazłem — odparł poważnie Lihosow. — Dawno znalazłem jedyną słuszną odpowiedź: świat to maszyna. Oczywiście nie jakiś tam prymitywny mechanistyczny model, nasza mateczka przyroda długo pracowała, zawiązała niemało węzłów w ciągu kwadrylionów lat istnienia... ale rozwiążemy je! Kotek, bawiąc się kłębkim, też popłacze nitki, że nie daj Boże! A jednak w całej tej płataninie nie ma nic mistycznego. Węzły. Bodaj skomplikowane, ale najzwyczajniejsze, trywialne węzły. I nie trzeba wymyślać nad nimi doktryn, lecz rozplątywać je. Ha-ha! Rozplątywać, Michasiu, a do tego potrzebna jest cierpliwość i poczucie realizmu.

— Skąd się wzięła ta twoja maszyna? — z rozdrażnieniem przerwał Sahajdak. — Gdzie jest ten cybernetyk, który ją zaprogramował? Może znów ujawnicie jakiegoś megainżyniera, bożka, który bawi się wszechświatem jak kotek kłębkim?

— Po co? — uśmiechnął się leniwie Lihosow. — Obejdziemy się. Nieskończoność to, bracie mój, skomplikowana rzecz. Spontanicznie może w niej powstać wszelakie diabelstwo. Czasu i wieczności jest pod dostatkiem, materiału również. Ślepa gra żywiołów i sił; istnieje prawdopodobieństwo pewnych połączeń, węzełków. Jednym z tych węzełków jesteśmy my, nasza galaktyka, nasza Ziemia, twój pokorny sługa, taki sam metafizyk jak ty...

— Wiesz co? Chciałbym zakończyć tę rozmowę, bo mnie głowa zaczyna boleć...

— No, to jedźmy. Nie pożałujesz...

— Przecież ci powiedziałem: nie będę patrzeć na szcurry. Szanuję mimo wszystko ludzi, a twoje szcurze eksperymenty nie przekonają mnie! Słuchaj, Eugeniuszu, czy ty odczepisz się ode mnie? Przestań grać rolę Mefistofelesa dwudziestego wieku. Nie jestem twoim Faustem. Całuj się z twoimi szcurami, a mnie pozostaw z moimi, jak powiadasz, „mystyfikacjami”.

— Jakie tam szczury. Mam cudowny eksponat. Wiele odsłoni przed tobą. Przystaniesz się ze mną sprzeczać...

— Nie rozumiem.

— Właśnie chcę, żebyś zrozumiał. Cudowne studium psychologiczne. Jedźmy. Nie na długo. Samochód czeka. Sahajdak zgodził się niechętnie.

Podjechali do Instytutu Fizjologii. Weszli do hallu, zaczęli schodzić do piwnicy.

— Prowadzisz mnie do mordowni, czy co? — zażartował posepnie Sahajdak.

— Prawie — odpowiedział tym samym tonem Lihosow. — Do komory anabiozy. Dawno czekałem na taki eksponat. Wreszcie zdobyłem. Śmierć kliniczna, zamrożenie...

— Po co ci to? — zdziwił się Mychajło, patrząc na rząd owalnych drzwiczek w ścianie.

— Przygotowania — lakonicznie wyjaśnił Lihosow, otwierając drzwi. — Wejść. Nauczymy się wyprowadzać ze śmierci klinicznej. Wskresimy. Zrozumiałeś? O, popatrz — ślicznotka. Młoda, piękna, raz — i nie ma! Samochód uderzył ją prosto pod serce. Oto masz i rozsądek, radość, i duszę. Wszystko tutaj — w tej lodówce. Włączam...

Pstryknął kontaktem, pod betonowym sklepieniem zapłonęła neonowa rurka, oświetlając przezroczystą kopułę nad wanną anabiotyczną. Mychajło z zapartym tchem podszedł bliżej. Zajrzał pod pokrycie. Błysnęła czarna błyskawica, przesłoniła świadomość. Hanusia!!!

Stał skamieniały, bez ruchu, a Lihosow, nie spostrzegając nic, wyjaśniał spokojnie:

— Przedwczoraj oburzyłeś się na mnie. Chciałeś mnie trzasnąć w gębę. A za co? Tu masz ilustrację. Czy istnieje logika w przyrodzie? Byle swołocz żyje, a taka uroda — ginie. Jestem człowiekiem oschłym, ale wzruszyłem się, kiedy ją zobaczyłem. Boski eksponat. Wystarczy spojrzeć na nią, a wszelkie mętniactwo romantyczne znika jak proch. Ot, tak. Nie wiadomo nawet, kim jest. Dokumentów przy niej nie było, nikt się nie zwracał, nie pytał. Zadzwoniono do mnie z kostnicy — oni wiedzą, że interesuję się zwłokami nadającymi się do badań. Może minie pięćdziesiąt, sto lat i zostanie przywrócona do życia...

Słowa Lihosowa bulgotały głucho w wielkim oddale-

niu. Przed Mychajłą była tylko ona. Ona czy nie ona? Nagusieńka jak nowo narodzone dziecko, z rękami bezsilnie wyciągniętymi wzdłuż ciała. Spokojna twarz, mądry uśmiech wokół ust. „Niektóre wianki przybiły do brzegu, a mój — płynie i płynie. Ja za nim, a on wciąż dalej i dalej” — usłyszał Mychajło. Zimne ostrze przebiło mu serce. Jęknął, runął na cementową podłogę. Lihosow zamilkł, rzucił się na pomoc. Posadził Mychajłę na stołku, zakrzętnął się koło niego, mamrocząc:

— Co ci jest? No, Misiu, nie wiedziałem, że jesteś taki wrażliwy! Nigdy bym cię nie przyprowadził...

— Hanusia — wyszeptał Mychajło. — To jest Hanusia...

— Co? Znasz ją?

— Znałem... Czekałem... Nie przyszła... Eugeniuszu, rozumiesz mnie... Eugeniuszu, skąd taki absurdalny splót okoliczności?

Mychajło na wpół leżał na krześle, miał zamknięte oczy, a Lihosow trąc w zakłopotaniu twardą szczecinę na policzku, mamrotał:

— Tak. Naprawdę... Szkoda... Co robić? Misiu, chodźmy stąd. Nie możesz tu zostać. Chodźmy, mój drogi...

Zgasił lampę, wyprowadził Sahajdaka z podziemia, zamknął się z nim w gabinecie. Posadził Mychajłę na tapczanie i przemierzał pokój z kąta w kąt. Mychajło tępo spoglądał przed siebie, usta mu zsiniały, ręce trzęsły się, z oczu płynęły łzy — nieme i straszne.

— Co teraz będzie? — rozłożył ręce Lihosow. — Hm, Nina. Ty. Kim ona jest? A zresztą — rozumiem. Zdarza się... Nagle — nieszczęście. Tragedia. Grymas szatana. A ty mówiłeś piękno. Co teraz? Obrona rozprawy. Musisz się uspokoić. Jutro posiedzenie, a ty jesteś jak trup...

— Trzeba ją pochować, Eugeniuszu — wyszeptał Mychajło. — Jak człowieka...

— Nie można — odparł Lihosow, kiwając głową. — Jest zainwentaryzowana...

— Co powiedziałeś? — zachnął się Mychajło.

— To, co usłyszałeś. Nie jesteś dzieckiem. Przekazano nam ją z kostnicy jako zwłoki do reanimacji. Jest zainwentaryzowana i ma swój numer. Własność państwowa. Gdyby się zgłosili krewni, to co innego...

— Ja ją zabiorę — rzekł pośepnie Mychajło.

— Nie masz prawa. Jakie dowody? Nie znasz nazwiska. Nie wiesz, skąd pochodzi. A może wiesz?

— Nie.

— No, popatrz. I na co ci ten pogrzeb? Nina, przełożeni. Dowiedzą się, wszystko się wyda. Nie trzeba. Może później naprawdę kiedyś ją ożywią. Ha? Taką urodziwą ożywią. Niech leży. A w ziemi — robaki zjedzą... Stój, dokąd idziesz?

Sahajdak wstał, podszedł do drzwi. Było mu niedobrze, miał chaos w głowie. Zatrzymał się na progu, powiedział błagalnie:

— Nie oddawaj jej... Nikomu... Słyszysz?

— Słyszę. Ale i ty posłuchaj: weź się w garść. Przecież masz przed sobą obronę, przecież życie nie stanęło w miejscu... Rozumiem — ciężko ci. Ale bądź mężczyzną. Przyjdę jutro, posłucham.

Mychajło opuścił gmach Instytutu, powlókł się przed siebie, nie wiedząc dokąd i po co. Znikły dźwięki, nastąpiła cisza w przestrzeni. Ludzie posuwają się jak cienie. Wymachują rękami, coś robią, spieszą dokądś. Na co? Po co?

Samolot odrzutowy nakreślił na niebie białą smugę. Jak strzała zagłębił się w błękicie. Po co? Dokąd? Padają na asfalt kasztany, rozbijają żywe ciało o martwe, obojętne kamienie ulicy. Tak samo ona. Tak samo ona... Rozbiła się, znikła, nie ma jej... Leży chudziutka postać dziecka... Nieruchomo, w milczeniu... A gdzie jest Hanusia? „Kwiatek jest młody, a słońce ma miliardy lat, a przecież Kochają się.” Gdzie jest kwiat? Osypały się płatki na ziemię, wdeptano je w błoto, zmiażdżono obcasami. Gdzie jest kwiat, gdzie jego uroda?...

Surowe nieruchome oczy Rishidevy zaglądają w duszę, słysząc bezdźwięczny głos: „Mędrzy nie smucą się. Mędrzy nie odróżniają śmierci od narodzin. Czy przeliczysz wszystkie fale oceanu? Czy przejrzyś się we wszystkich odłamkach jednego zwierciadła?”

Swami, nie mogę powstrzymać płaczu serca. Nie jestem mędrcem, nie osiągnąłem spokoju, który daje zrozumienie jedności. Co mi da mędrkowanie? Znikł mój jedyny kwiat, najpiękniejszy we wszechświecie. Jej już

nie ma, nie będzie. Słyszysz, Swami? Może wschodnia filozofia powie, że ona wróci w innej postaci, wcieli się w inną kobietę, w przyszłych wiekach. Co mi do tego? Ile jeszcze dróg trzeba przejść, by znów ją spotkać w mroku wszechświata? A jeśli znajdę — może znów utracę, nie zdołam zatrzymać, jak śnieżynkę w ciepłych dłoniach?

Harry milczy, patrzy w niebo. Jego niebieskie oczy są smutne, zatroskane. On nic nie powie. Wie — słowa są daremne...

Szeleszczą liśćmi szare kasztany. Sennie bije o zakuty w granit brzeg popielata dniewprowska fala.

Krwawe słońce spływa za horyzont. Na niebie chmury jak plamy krwi. Zachód kona. Włodzimierz ciężko oparł się o krzyż, zamyślił się. Zapłonęły w ciemnościach świeczniki, żarzą się mętnymi węgielkami.

Mychajło wszedł ukradkiem do mieszkania, chciał przejść do gabinetu. Nina spostrzegła go, powiedziała coś. Nie dosłyszał. Chwiejąc się na nogach, poszedł do siebie, położył się. Andrzejek przyszedł, zaczął opowiadać o swoich sprawach i kłopotach — ojciec machnął słabo ręką, syn odszedł urażony. Nina pochyliła się nad mężem, położyła dłoń na jego czole. Czego ona chce? Dysertacja? Dobrze, dobrze. Jestem przygotowany, daj mi spokój. Co się z nim dzieje? Nie wie, depresja, potrzebny wypoczynek, samotność...

Zmęczenie przymknęło powieki. Przesunęły się jakieś obrazy. Zabrzmiał subtelny śmiech. Hanusia. Skacze na piaszczystym brzegu, wytrząsa wodę z ucha, podbiega do niego, zagląda w oczy. Patrzy długo, długo, bez mrugnięcia. Gdyby tak można było na zawsze. „Chcesz?” „Chcę, Hanusiu.” „A dlaczego nikt nie opisuje takiej miłości? Spotykali się i rozłączali: Iwan i Maryjka, Romeo i Julia, Izyda i Ozyrys, Orfeusz i Eurydyka. Co to znaczy, Mychajło? Skąd taka straszna prawidłowość? Czy miłość na Ziemi jest niemożliwa?” „Miłość jest możliwa. Przecież pokochaliśmy się. Tylko że ciężka jest tutaj. Tak było. Tak jest. Tak nie musi być...” „Nie musi” — szepcze smutno Hanusia. Plusk fali, czajki jęczą, kwilą nad Dnie-

prem, przekreślają niebo niespokojnymi, łamanymi liniami...

Noc mijała. Bez snu. Bez wypoczynku.

Znużony Mychajło wyszedł rankiem na ulicę, przeszedł się pod kasztanami. Postął chwilę przy katedrze Świętej Zofii, przyciskając czoło do zimnych kamieni. Oczy miał jakby zasypane piaskiem. Nogi bołą ze zmęczenie. Jak będzie mógł przeczytać swoją rozprawę?

Wrócił do domu, wszedł do kuchni. Znalazł butelkę „Stołecznej”. Napełnił szklanekę po brzegi, wypił. Przez ciało przepłynęła ognista fala, zalała go. Skrzywił się. Wszystko dokoła zawirowało przed oczami. Nina zajrzała do kuchni, w dekolcie nocnej koszuli kołysały się jej pełne piersi.

— Co ci jest? Obchodzisz jakieś święto?

— Bo co? Nie wolno?

— Dziwactwo. Poprosiłbyś, to bym coś przygotowała. Po ludzku. A tak, postępujesz jak alkoholik. Fe, Michasiu. To do ciebie niepodobne. Dziś masz obronę pracy, a ty...

— Daj mi spokój. Nie spałem całą noc. Głowę mam jak rozbity garnek...

Przeszedł do gabinetu, upadł na tapczan, zapadł w sen.

Po chwili Nina obudziła go, podała filiżankę kawy.

Wypił niechętnie, oddał filiżankę Ninie. Popatrzył na nią bez wyrazu. Obrzuciła go trwożnym spojrzeniem.

— Co ci się stało? Grypa? Chyba nie, nie masz gorączki. Michasiu, może wezwać lekarza?

— Nie trzeba... Przejdzie...

— No, to szykuj się. Czas iść. Przecież ludzie się zjedzą, będą czekać... Pomogę ci...

Nina przyniosła czarny garnitur — idealnie odprasowany. Mychajło ubrał się, chwilę stał przed lustrem, patrząc na podłogę. Żona biegała dokoła niego, zdmuchiwała nie istniejące pyłki, poprawiała coś.

— Jak młody bóg! Michasiu, powinieneś zrobić furorę! Pamiętaj, tam będą także kobiety. Nie zapomnij oddać należnego radzie naukowej, kierownikowi...

Mychajło milczał. Słowa Niny nie docierały do świadomości, gasły w przestrzeni. Teczki, wykresy. Wszystko

zebrała Nina. Wzięła go pod ramię, poprowadziła... Podjechali do uniwersytetu, spotkali recenzentów.

Mychajło witał się z kimś, ścisnął czyjeś rękę, uśmiechał się. A w podświadomości uparcie powracała myśl: Po co? Po co? Dla kogo? Jemu to niepotrzebne. Nina obejdzie się bez stopnia naukowego. Andrzejek? Niech sobie sam toruje drogę przez życie. Nie chcę, nie chcę, nie życzę sobie...

A ręce machinalnie rozwieszały wykresy, rysunki. Schodzili się członkowie rady naukowej, zajmowali miejsca. Szumiało audytorium. Recenzenci rozmawiali ze sobą i z kierownikiem naukowym Bud'laską. Bacznie przyglądał się Mychajle z kąta sali Lihosow — oczy miał szklane, zmarszczkę między brwiami. Zapewne dobrze rozumiał, w jakim stanie znajduje się Sahajdak.

Nina podeszła do męża, szepnęła:

— Telefonowałam do restauracji. Tam już wszystko gotowe.

— Co jest gotowe? — spytał obojętnie Mychajło.

— Bankiet. Co ty — śpisz? Trzymaj się, Michasiu. Na bankiecie będzie sto dwadzieścia osób. Cały kwiat...

Odwrocił się. Bud'laska dał znak. Można zaczynać. Audytorium zamilkło w oczekiwaniu. Mychajło przesunął spojrzeniem po schematach, po malowanych galaktykach, mgławicach, konstelacjach, systemach. Wszystko to wydało mu się takie ubogie, płaskie i szkolarskie. Co on im powie — tym poważnym uczonym? Powtórzy ich własne myśli? A oni za to, że dobrze wykuł, nadadzą mu stopień naukowy...

— Wielce szanowna rado naukowa! Szanowni recenzenci! Przyjaciele! Od czasu kiedy pracłowiek stał się człowiekiem myślącym — homo sapiens — wszystkie generacje pragnęły rozwiązać tajemnicę wszechświata. Równoległe z postępem społecznym rozwijały się doktryny kosmogoniczne: od pojęć o Ziemi, która opiera się na żelaznych słupach — do teorii względności, do Ziemi spoczywającej na grzbiecie żółwia — do metagalaktyki rozplywającej się w nieskończoności, zrodzonej przez prątom. Struktura świata, pochodzenie wszechświata w świetle relatywizmu — ciągnął dalej Sahajdak. — Klucz do tego daje nam teoria względności. No cóż, zobaczymy, czy otworzymy tym kluczem drzwi poznania. Oto wychodzę

w nocy na ulicę, w pole, pod gwiazdziste niebo, patrzę, zachwycam się nieskończonością. Pysznę się wiedzą, jaką dało mi zrozumienie niewiarygodnych głębin kosmosu. Ja — nędzny pyłek, jeśli się mnie porówna ze skalą wszechświata, zaglądam swoim rozumem w niewymierne głębie czasu... w tym strasznym momencie, w tej apokaliptycznej chwili, kiedy rozdarta została Jedność...

Nineczka z przerażeniem patrzy na Mychajłę, daje ostrzegawcze znaki, kierownik naukowy, zdumiony, przerywa stronicę rozprawy, nie można odnaleźć tego, co nagle zaczął mówić Sahajdak. A dysertant, nie licząc się ze zdrowym rozsądkiem mówi dalej i nie widzi nic: ani twarzy, ani wykresów, ani żony, ani rady naukowej. Organy grają w bezmiarach, tłuką bolesnymi akordami w jego serce, grają majestatyczne Requiem na śmierć Hanusi. Słyszycie? Nie ma jej! Nie ma całego świata! To więcej niż galaktyka, to ważniejsze od wszystkich galaktyk nieskończoności!

— Przyjaciele! Odłamki jednolitego pola zrodziły bezlik światów. I wszystkie one są zamknięte, odizolowane. Dlaczego? To proste! Bardzo proste! Nauka współczesna dała na to doskonałą odpowiedź. Stworzyła cudowną ideę zawalu grawitacyjnego. Zamknięty świat. Ani foton, ani atom, ani dźwięk... tak, tak, ani słówko nie wydostanie się z tej pułapki grawitacyjnej! Oto tu, obok nas, istnieje mnóstwo innych światów, lecz są one niewidzialne. Przecież to nasi bracia, to cząstki tej prajedności, a połączyć się — nie można!

— Mychajło Kuźmiczu — szepnął profesor Bud'laska — po co tyle frazesów? Bardziej rzeczowo, ściśle...

— Frazesy? — rozjuszył się Mychajło. — We mnie serce zalewa się krwią. Dla mnie to nie piękny frazes, lecz najważniejsze zagadnienie życia. Dlaczego rozbija się jedność? Dlaczego, pytam pana? Mamy sprawny rozum, zaglądamy w niewymierne głębie kosmosu, i to jest cudowne, genialne! I nagle samochód wpada na mnie, przewraca mnie. Umieram...

— Mychajło Kuźmiczu — zaszemrało złowieszcze ostrzeżenie profesora Bud'laski. — Pan mówi nie na temat...

Nina załamuje ręce, daje jakieś konwulsyjne znaki Lihosowowi, członkowie rady naukowej wymieniają zdu-

mione spojrzenia. A Mychajło, coraz bardziej podniecony, mówi dalej, bijąc się w pierś zaciśniętą pięścią:

— Umieram. I leży mój zimny trup w kostnicy lub gdzie indziej — samotny, odcięty od życia. Co wówczas się stanie z metagalaktyką, z płomiennymi gwiazdami? Czy istnieją, czy może gasną, spadają w otchłań razem ze mną? Co mnie obchodzi struktura wszechświata, skoro moja miłość, moja tęsknota, mój zachwyt zgasły wraz ze śmiercią ciała? Co mnie to obchodzi, wielce szanowni członkowie rady naukowej?...

W audytorium zawrzało. Bud'laska krzyknął zdenerwowany:

— Obrona nie odbędzie się. Dysertant zachorował. Ni-no, czy pani nie orientowała się, w jakim on jest stanie? Lekarza, natychmiast lekarza...

— Nie jestem chory! — krzyknął wściekle Mychajło. — To wy jesteście chorzy! Wymyśliliście różne teorie, ale nie umiecie odczytać serca ludzkiego! Obłudnicy, oszuści! Precz!

Nina zawisła na jego rękach, z tyłu podbiegł Lihosow, szepnął oburzony:

— Zwariowałeś! Histeryczna babo! Nineczko, niech mi pani pomoże!...

Zaskoczony tłum, gniewne twarze uczonych. Co go to obchodzi? Wianek płynie po ciemnej rzece, wśród groźnych skał i Hanusia nie może go dopędzić. To jest najważniejsze, nie struktura wszechświata.

Lihosow i Nina prowadzili Mychajłę do domu. Żona nienawistnie szeptała, jakby wypluwając zatrute słowa:

— Mój Boże, zmarnowałeś wszystko! Co się stało? Zwariował! Przepadły wszystkie plany, bankiet na sto dwadzieścia osób. A pieniądze już wpłacone, nie odzyska się ich! Jaka strata, jaki wstyd!

— Michasiu — rzekł gniewnie Lihosow — rozumiem doskonale — Ale mimo wszystko jesteś łajdakiem i neurastenikiem. Słyszysz?

— Idź do diabła — rozwścieczył się Mychajło, odtrącając go. — Czego ty chcesz ode mnie?

— Idź do lekarza. Albo ja cię zawiozę. Polecz się trochę. Przejdzie. Obronę przesuną na inny termin...

— Dogadam się z radą naukową — rzekła błagalnie Nina. — Michasiu, chodźmy do psychiatrii. Coś z tobą jest niedobrze...

— Chcecie zrobić ze mnie wariata? — zapytał Mychajło z cichą wściekłością. — Nie uda się. Sami idźcie do czubków. Tam wasze miejsce. Ja już nie chcę więcej grać komedii. Nie będzie obrony. Dowiedzcie się...

— Rozwiode się z tobą! — wrzasnęła Nina. — Idź sobie, dokąd chcesz! Obrzydły mi twoje wysoki, sentymentalna histeria, twoja kretyńska depresja! Nie chcę!

— A więc tak — zatrzymał się nagle Mychajło. Skurczył się jakoś, jakby stał się mniejszy, spojrzenie miał przygaszone. — Sama powiedziałaś. Idę, dokąd chcę. Eugeniuszu, zawiadom w obserwatorium... Nie przyjdę do pracy. Urlop bezpłatny. Nie mogę... Wytłumaczysz im...

— Dokąd chcesz pojechać?

— Do matki... Pobędę na wsi. Nie mogę inaczej...

Nina spode łba patrzyła na męża, milczała. Mychajło wykręcił się, nie pożegnał z nimi, ruszył w stronę kolejki linowej. Zjechał do dworca rzeczno, wziął bilet na statek zatrzymujący się w pobliżu rodzinnej wsi.

Tak, tylko tak. Do bliskich serc, na wolność. Może tam znajdzie łaskę, zapomnienie, może tam ucichnie burza i nastąpi błogosławiona cisza. Mamo, śpieszę do ciebie... Pociesz mnie, daj nadzieję... A jeśli nie dasz, po co mam żyć? Na co mi słońce, skoro umarł mój kwiat — jeden jedyny w nieskończonym wszechświecie?...

Słowo piąte – wesele

Oj, bieda, bieda, o nieszczęsna doło.
Zaorała dziewczyna swoją troską pole,
A czarnymi oczami je zabronowała,
Drobniutkimi łezkami jak deszczem oblała.

Niechaj Pan Bóg pomoże, tyś mi nie sądzona!
Bywaj zdrowa, kochana, nie będziesz mą żoną.
Nie wiedziała matula o miłości córy;
Aż nadeszło rozstanie jako czarna chmura.

Z pieśni ludowych

Statek minął mosty, wyspę Żukowa. Przepływały bujne łąki, łozy, czółna rybaków, namioty na brzegach. Z południa nadciągały kędzierzawe, granatowoczarne chmury, spływały z nich na ziemię szare smugi deszczu. Zapłonął wszystkimi kolorami rozdarty łuk tęczy. Mychajło siedział na dziobie statku, patrzył na tęczę, na pienne grzywy fal, na zamgloną dal. Łagodne zespolenie barw i dźwięków letniego dnia uspokajało; gasło napięcie, myśl wracała do normalnego nurtu. Lecz pozostał chłód. Lód w duszy. Rozpłynęło się czy umarło życzliwe podejście do wydarzeń i zjawisk, intelekt zaostrzył się i bezlitośnie zrywał zasłonę z wiary w sens życia.

Wszyscy rodzą się. Wszyscy umierają. To prawda. Jeden wcześniej, drugi później. Zapomina się o największym bólu. Przemija największa radość. I nie zostaje nic — ani radość, ani cierpienie. Chyba tylko wspomnienie. A potem i ono się rozplywa. Mijają wieki, tysiąclecia. Mijają cykle wstrząsów geologicznych. Zjawiają się i znikają w ciemnościach niebytu miriady żywych stworzeń, istot myślących. Jak piana pod burtą statku. Jak bąbelki kropel deszczowych na wodzie...

Lihosow ma rację. Oszukujemy samych siebie. Zmyślamy sens życia po to, by zabić strach przed nieskoń-

czonością, którą nie obchodzą nasze męki i cierpienia, radości i nadzieje. Ona po prostu nie zwraca na nie uwagi, tak jak słoń nie widzi, nie może widzieć stonóg, które miażdży nogami w ciężkim marszu do wybranego celu. Czy jest sens w wieczności? Tego nie wiemy i nie dowiemy się nigdy. Jesteśmy pianą pod nogami bezmiaru, jesteśmy bryzgami wody rozpryskiwanej przez życie.

Mychajło wyszukiwał najboleśniej, najdotkliwsze określenia, by nie zostawić sobie nadziei, by nie oszukiwać siebie wciąż na nowo. Człowiek, ludzkość. Dla nich dzieje się wszystko piękne i ohydne na planecie. I to, i wszystko inne — jest kłamstwem. Nie ma ani człowieka, ani ludzkości. Widzimy to, wiemy, a jednak pragniemy złudy, samoułudy, aby choć na chwilę znaleźć się w narkotycznym czadzie iluzji. Kościoły, idee, doktryny — ile ich jest! Wszystkie obiecują, pocieszają — i nic nie dają, tylko przemijające korzyści dla adeptów i głosicieli, którzy są może nieszczęśliwsi od swoich podwładnych, bo oszukują siebie ambitną fikcją władzy, jakiej nie posiadają. O straszna maro! Maja, iluzja, jak mawiał Swami! Jaka jest granica jej siły?

Człowiek umiera, składa swe życie na ołtarzu życia społecznego i przyrzeka mu się, że jego życie nie pójdzie na marne, że zbliży upragniony czas wolności powszechnej i dobrobytu. I to jest oszustwem! Nie można osiągnąć nieosiągalnego, napęlić otchłani pragnień czynami, nawet największymi. Bo śmierć przychodzi i zabiera ze sobą wszystko — wielkość i podłość, sławę i hańbę, bogactwo i biedę. Wszystko jest w człowieku, a on — to efemeryda, piana na niezmiernym oceanie wieczności. I ludzkość jest chimera, bo jest podzielona. Nie ma ludzkości, istnieje chaotyczny splot ludzi, rodzin, ludów, narodów. Każdy wymyśla własnego boga, pragnąc postawić go wyżej od innych.

Fantastyczne mrzonki? Nadzieja na to, że nauka przyszłości wskrzesi nas wszystkich z niebytu, przywróci odczuwanie i świadomość? To jest niedorzeczne. Czym jesteśmy dla przyszłości? Śladem kopyta na brzegu nieskończoności, po którym przejechał na koniu życia jeździec o imieniu Tajemnica... Śmiesznie i gorzko...

Ów piaszczysty skrawek ziemi między łożami nad Desną, gdzie położyła mi głowę na piersi — to dla mnie

wszechświat i najwyższe osiągnięcia. Na co mi galaktyki, na co mi dziwaczne kształty innych światów, dalekie fantastyczne istoty, olbrzymie planety, straszne kwazary, otchłanie dróg mlecznych? Na co mi? Dajcie mi siłę zawrócić czas, spojrzeć raz jeszcze w oczy Hanusi. Zabierzcie mi wszystko — stopień naukowy, moją wiedzę, wykształcenie, stanowisko służbowe. Chcę być pasterzem jak jej ojciec, albo drwalem czy flisakiem. Siedziałbym z nią na łące, patrzylibyśmy w niebo, trzymalibyśmy się za ręce. I nie potrzeba nic więcej, nic więcej... A jednak i to kłamstwo. Przeminęłoby życie i znów, — nieubłagana śmierć. Rozłąka. Czy ja pierwszy, czy ona. Wszystko jedno. Tęsknota, bezsens.

Zapomnieć o wszystkim. Owinąć zasłoną. Intelkt jest zbyt bolesnym darem życia. I nadto niedorzecznym. Małpie wystarczyłoby skakanie po drzewach, wystarczyłby instynkt. Jakiemuś ogoniastemu Adamowi zachciało się dowiedzieć czegoś o gwiazdach? Masz przeklęty dar z Drzewa Złego i Dobrego. Bądź jako Bóg. A ściślej mówiąc jak żebrak, który ma w sakwie bezcenny diament i idzie przez piaski pustyni. Dookoła ani kropli wody, by ugasić pragnienie. Tylko miraż na horyzoncie i czarne trąby powietrzne rozpaczy...

A może zniknąć z tego świata? Odciąć chimeryczną pępowinę życia? Spokój, cisza, niebyt... Nie, nie można. Mogę przerwać tylko to, co sam zdziałałem. Życie moje nie należy już do mnie. Związane jest niewidzialnymi ogniwoami z życiem innych ludzi. Trzeba iść dalej, oddać dług innym. Dług matki, ojca, dziecka, towarzysza. Ucieczka z pola życia to dezercja. Żołnierze nie uciekają z pola walki. Trzeba iść do końca...

A to, co własne, drogie — niech trwa w niedosiężnej głębi serca... Zamknę je, pochowam...

Witajcie, moje kochane łąki! Dawno was nie widziałem. Czy mnie pamiętacie?

Z parostatku zrzucano kładkę na piaszczysty wysoki brzeg. Mychajło zszedł na łąkę. Za nim powlokła się stara babka z dwoma wielkimi tłumokami na ramieniu. Sahajdak pomógł jej wydostać się na ląd. Statek za-

buczał, odbił, turkocząc wesoło silnikiem popłynął dalej, w dół Dniepru.

— Może dopomóc wam, babciu? — spytał Mychajło.

— Nie trzeba. Doniosę — wymamrotała staruszka. — Poddaj, syneczku...

— Nie, nie, przecież jestem młodszy od was. Nie wypada. Będę siedł obok was z pustymi rękami?

— No to co? Wy, młodzi, zwykliście chodzić bez bagażu. A my — jak woły. Od dawna nauczeni. Aż dziwno człowiekowi, kiedy nie ma ciężaru na grzbiecie. Ale skoroś taki pocziwy, to nieś. Niech cię Bóg wynagrodzi, syneczku. Tyś może tutejszy?

— Tutejszy, babciu.

— Czyś ty nie syn Sahajdaków?

— Tak. To ja, Mychajło...

— Bo właśnie patrzę — twarz jakby ojcowca. W goście, czy jak?

— Właśnie.

— Aha. A dlaczego bez walizki? Czy nie na długo?

— Nie wiem. Jak się złoży — odpowiedział niechętnie Mychajło. Stąpał wielkimi krokami po trawie, deptał kwiaty, zbijał kaszkę z wysokich łądyg szczawiu. Babcia dreptała obok niego, nie zostawała w tyle, gwarzyła o swoich sprawach.

— A ja, ot, siedziałam sobie na przypiecku, myślę, ano, pojedę do Kijowa. Po pierwsze, jeszcze raz zobaczę Kijów, dawno nie byłam, a po drugie, kupię sobie miękkiego chlebka...

— A we wsi nie ma?

— Przywożą z rejonu, sprzedają. Ale taki nie wypieczony, że można nim jak kamieniem w psy ciskać. A w Kijowie — mięciutki. Zęby mi powypadały, dwa zostały, nie mogę gryźć. A kijowski chlebek dobrze się je. Można dziąsłami pozuć. Kiedyś, gdy była mączka, piekłam sama. W piecu. Najwięcej lubiłam piec żytni chleb. Pachnący, miękki. Twoja matka Makryna też dobry chleb piekła. Pożyczałam u niej. To było dawno, przed wojną...

— A dlaczego teraz nie pieką?

— Rozleniwili się. Wolą kupić w sklepie. Nie każdy ma mąkę. Przyzwyczailiśmy się — dobrze jest. Ale, jak tak popatrzę, nie wychodzi to na dobre...

— Jak to?

— A tak. Niby i technika, radio, różne telewizory, a czegoś brak. Przesiadują wieczorami przed tą migaczką, wytrzeszczają ślepią, patrzą. I starzy, i młodzi. A kiedyś było tak — od wieczora do ranka płyną pieśni nad wsią. Z jednego końca jedna gromada dziewcząt i chłopców śpiewa, a z drugiego — druga. Słuchasz — a tu się trzecia odzywa. Jeszcze ładniej. Aż serce zamiera — tak pięknie śpiewają. Gwiazdeczki błyszczą, miesiąc płynie po niebie, sady kwitną. Nawet starym ludziom chce się postać na wygonie, przypomnieć sobie narzeczeńskie czasy i kochanie. Ładnie było, pięknie, co tu gadać... Albo wieczorynki... Zbiorą się w krąg i opowiadają różne historie — straszne lub wesołe. Stare dzieje albo baśnie. A teraz pozapominali...

— A klub? Przecież jest klub we wsi?

— Co tam klub! Pójdiesz — popatrzysz, kręcą tam kino cały dzień. Tańce. Poplują pestkami jeden drugiemu w oczy, podrygają, pokrzyczą. Pieśni jakieś nie nasze. Dziewczyny jak kocięta wylizane — ani warkocza, ani wyglądu, ani postawy. Wiercipięty, próżne. A ojcowie popatrzą, popatrzą i mówią: może właśnie tak trzeba? Stare odeszło, nowe idzie. A co jest nowe? No, samochody szybko jadą, coś tam wywieźć czy przywieźć — prędzej, prawda. Wszyscy umieją czytać i pisać — prawda. Czytają, wiedzą o gwiazdach. Tyci maluch, jeszcze z pieluch nie wylazł, a już cię poucza, rąbie prosto z mostu co, gdzie, jak! Wykształcony! Ale już przed wieczorem nie usłyszysz pieśni nad wsią. Dlaczego? Bo głośnik koło zarządu wrzeszczy w dzień i w nocy. Drze się i drze, aż spać nie daje. Słowika nie usłyszysz. No, jeszcze jak gra w chałupie — inna rzecz. Ale na środku wsi — po co to?

— To prawda, babciu, urzekła nas technika. Starego też nie ma co tak chwalić, było tam sporo złego — i pijaństwa, i zabobonu, i ciemnoty...

— Było, było, Mychajło Kuźmiczu — pokiwała babcia głową. — Ale było też dużo dobrego...

— O pieśni to słusznie powiedzieliście. Zapomina się jej. Może tylko istnieje w kółkach amatorskich, tam śpiewają. A tak — cisza wieczorami. Ja też zwróciłem na to uwagę...

— Otóż to. Starsi pamiętają, mogliby przekazać młodemu. A ci lekceważą, nie chcą. Czy to dobrze? Weźmy dla przykładu wesele. Kiedyś było tak — wezmą ślub, pośpiewają, zabawią się kilka dni. I młodemu przyjemnie, a dla ludzi — święto. Pamięta się całe życie. A dziś młodzi nie znają nawet pieśni weselnych... No, ja tu skręcam... Dawaj tłumoki, daj ci Boże, syneczku...

— Nie ma za co, babciu Kalino. Przecież tak się nazywacie?

— A jakże — z zadowoleniem potwierdziła babcia, wkładając tłumoki na ramię. — Nie zapomniałeś. Przecież jestem twoją stryjeczną babcią. Twój dziadek Lewko to mój cioteczny brat. Jesteśmy krewnymi. Przyjdź kiedy, jeśli będziesz miał ochotę. Ugoszczę czarką, ogórkiem małosolnym...

— Przyjdę, babciu, jak mi czas pozwoli...

— No, to bądź zdrow...

Babcia pokuśtykała między czarnymi topolami w stronę ostatniej chaty nad rzeczką. Mychajło, minawszy rząd siedzib stojących nad łąkami, poszedł dalej. Chata rodzinna wyglądała już zza gęstego sadu, za nią zieleniały korony sosnowego lasu. Na płot wskoczył krzykliwy kogut z barwnym ogonem i zapiał głośno, jakby witając gościa. Mychajło uśmiechnął się: grzęznąc w piasku podszedł do przełazu w płocie, zatrzymał się chwilę, spoglądając na dymek płynący z komina.

Co powiedzieć rodzicom? Czy warto ich denerwować, mówić o wszystkim, co się z nim stało? Może to obudzi w ich sercach troskę i niepokój o syna? Wszystko było w porządku, a teraz macie, staruszkowie, podziwiajcie, do czego wasz syn doprowadził. Zwalił na stare ramiona swój ciężar, nie wytrzymał. Nie, nie trzeba nic mówić. Pominąć to, co zaszło. Tak, przemęczenie, musi trochę odpocząć na łonie przyrody. Będzie mniej pytań, trzeba oszczędzać rodziców...

Przeszedł miedzą, odgarniając słoneczniki. Ciężkie płaskie głowy chwiały się, uderzały Mychajkę w pierś, pod nogami uginały się pędy arbuza, trzmielę buczały basem nad ogrodem, między zielonymi łądogami czerwieniały kusząco pomidory. Z kartofliska wyskoczył pstry kotek, czmychnął na ganek. Zaskrzypiały schodki, na progu ukazała się postać. Bliska, droga. Ciepło zrobiło się pod

sercem, łzy napłynęły do oczu. Mychajło stanął, uśmiechnął się, odchylił gałęzie młodej wiśni zasłaniającej mu chatę, zawołał cicho:

— Dzień dobry, mamoo...

— Oj, kto to? — spłoszyła się matka. Zobaczyła syna, machnęła rękami jak sokolica skrzydłami, pospieszyła na spotkanie. — Misio przyjechał! Oj mój Boże, tak niespodzianie! Zawiadomiłbyś przynajmniej — wyszlibyśmy na powitanie.

— A po co? Tak lepiej...

Matka objęła go, jej pomarszczony policzek pachniał macierzanką i grzybami. Niebieskie oczy były jasne jak zwykle, tylko brwi i warkocze pobieleły, jakby je spowiło jesienne babie lato. Syn trzymał matkę za rękę, jej szorstka dłoń była gorąca, sztywna. Ruszyli w stronę ganku.

— Wejdźmy do chaty. Pewnie jesteś głodny?

— Nie, pozwól mi popatrzeć na ciebie...

— Jeszcze się napatrzysz — odpowiedziała szczęśliwym głosem. — A dlaczego sam? Bez rodziny?

— Ona nie chce jechać na wieś — spochmurniał Mychajło. — Powiada: Po co mam siedzieć w tej norze?

— Aha. No, a synek, Andrzejek? Stęskniłam się za nim...

— Matka go nie puszcza. Powiada, że nabierze różnych wiejskich zwyczajów, nauczy się mowy...

— To już i mowa wiejska zła — rzekła smutno matka. — A nie brzydzi się naszego chleba? Chyba nie... No, Bóg z nią. A co u ciebie? Masz urlop? I tak bez żadnych rzeczy? Jakbyś się urwał z gałęzi. Może tylko przejazdem?

— Nie. Zmęczyłem się, zapragnąłem odpocząć u ciebie...

— To dobrze, Misiu, dobrze zrobiłeś. I tatko się ucieszy. Przecież nie widzieliśmy ciebie cały wiek. Wszyscy krewni pytają — co się dzieje z Misiem? Jak został astronomem, to nosa na wsi nie pokaże. Obrzydła mu wieś, czy co? Mówię im, zatrzymują cię różne sprawy gwiazdne. A oni śmieją się i kiwają głowami: Zapomniał chyba, że gwiazdy są tu ładniejsze, jakie tam gwiazdy w mieście — dym i kopeć...

Mychajło usiadł na ganku, nie puszcżając rąk matki,

milczał, patrzył ciepło w jej oczy. Matka westchnęła, szepnęła:

— Ciężko ci, synu. Wiem, widzę...

— Ciężko, mamó — pochylił głowę.

— Masz dobrą pracę, masz dom, rodzinę, a szczęścia nie ma...

— Nie ma, mamó...

— Bo żona niedobrana. Nie do serca. Żebyś nawet wiązał, nie wiem jak kręcił powrółem — nie będzie dobrego snopa z żyta i kąkol. Zaśmiesci kąkol dobre ziarno...

— Prawdę mówisz...

— Ja od razu widziałam, ale milczałam. Bo co by to pomogło? Nie posłuchałbyś. A teraz — za późno. Syn, rodzina...

— Jaka tam rodzina, mamó. Ot, same tylko pozory.

Pomyślał chwilę, spojrzął na promyki zmarszczek dookoła matczynych ust, zdobył się na odwagę i rzekł gorąco:

— Spotkałem niedawno dziewczynę. Pokochałem ją bardzo. Och, mateńko, gdybyś ją zobaczyła... Przypadła-by ci do serca. Ona mnie też pokochała...

— No więc...

— Nie ma jej, mamó — powiedział posępnie Mychajło. — Umarła. Samochód ją przejechał...

Matka głaskała rękę syna, milczała, jakby wsłuchując się w coś niedosłyszalnego. To milczenie przyniosło mu ulgę.

— Nie było przeznaczone — wyszeptła. — Tylko ty, Michałku, nie zamartwiaj się. Nie płacz. Dobrych ludzi trzeba wspominać pieśnią, ciepłym słowem. Niech jej ziemia lekka będzie...

— Nawet tego ona nie ma, mamó. I nie mogę być wesoły, kiedy jej nie ma. To tak, jakby się kwiaty weseliły w lochu bez słońca. Jakaż to wesołość wśród mroku...

— Strzeż się, Michasiu, takich uczuć. Bo można dojść do obłądu.

— Tak jest, mamó. Staram się być spokojny, ale co począć, kiedy smutek gryzie serce.

— Może spotkasz inną...

— Nigdy — odparł gorąco syn. — Mam dość Niny.

Rozwiode się z nią, będę żyć sam. A Hanusi — nie mogę zapomnieć. Do śmierci...

Znów cisza. Współczujące spojrzenie matki. Gdzieś pod strzechą zaćwierkały wróble, podszedł kot, zadarł ogon, otarł się o nogi. Mychajło pogłaskał go. Kot ucieszył się, wygiął grzbiet, przymknął z rozkoszy oczy.

Matka podniosła się z ławki, powiedziała zaniepokojona:

— To pobiegnę do kuźni, powiem ojcu. Zwołamy krewniaków, zjemy wspólnie wieczerzę. Zgoda?

— Niech będzie — odrzekł Mychajło. — Zwołaj, a ja tu posiedzę...

Pozostał na ganku, słuchając ćwierkania wróbli, patrząc na krzątanicę kur, które były się przy korytku. Nic się nie zmieniło. Tylko ty przeżywasz tragedię. Wszyscy inni nawet nie dostrzegają. Matka pocieszy cię, poradzi, żebyś się nie smucił. Wszystko płynie, wszystko przemija. Oni — chłopci — przyzwyczaili się od wieków do śmierci i rozłąki. Dla nich to jest jak wschód i zachód słońca. Urodził się, umarł. Popłakali, wspomnieli dobrym słowem, potańczyli, wypili, zakąsili. Życzyli królestwa niebieskiego. A ja — nie zapomnę. Nie wypłaczę, nie przepię, nie przestanę tęsknić.

Kury grzebią w śmieciach, jak przed tysiącem lat, dojrzewają słoneczniki, nabrzmiewają słońcem jabłonie, gdzieś za płotem śmieją się dzieci, strzelając z drewnianych strzelb. Na razie z drewnianych... Co im do tego, że gdzieś w piwnicy leży śnieżynka, którą nazywano kiedyś Hanusią? Co to obchodzi cały świat?

Opuścił ganek, zgiął się w drzwiach, wszedł do chaty. Zachodzące słońce złoćło tram, ikony w kącie. Na belce pod wyciętym w drzewie krzyżem napis: „25 czerwca 1905 roku”. Tyle lat liczy sobie ta chata. A jeszcze trzyma się, życzliwie patrzy na świat dużymi oknami. Szczęśliwa, bo wychowała cztery pokolenia, obroniła przed niepogodą, dała schronienie.

Mychajło popatrzył na ikony. Chrystus w wieńcu cierniowym spogląda na niebo, po Jego twarzy płyną duże krople krwi, nie mógł pojąć, skąd to urągawisko? „Ojcze, Ojcze, czemuś mnie opuścił?” Co oznaczają te straszne słowa? Co zobaczył Syn w ostatniej chwili życia? Może bezdenną próżnię nad sobą? Może otchłań, której przeraził się duch Syna człowieka?

Matka Boska tuli do serca, przygarnia Dziecinę, ciasno jej w poślaczanych szatach, dziwi się, dlaczego Ją — żonę cieśli — ubrano w dziwaczny królewski strój? Korona, złoto, brokat. Jej do twarzy w zwykłym płótnie, haftowanej koszuli, pstrej chustce. Wziąć Syna za rękę, sierp w drugą i w pole, na szerokie łany życia. Kołyszą się zboża, błyszczą chabry wśród kłosów, wiatr igra z wąsatym jęczmieniem, układa legendę o Synu człowieczym...

Dłuższą chwilę stał zamyślony przed ikonami. Matka szanuje stare tradycje. Modli się czy nie? Kogo widzi za malowanymi obliczami świętych? O czym mówi jej surowy siwy Sabaoth? Może patrzy za nią z tego obrazu jej ojciec lub pradziad? A ona dziękuje za życie i troski, za swoją miłość i strapienie, za wszystko niepowtarzalne i dziwne, co przekazali jej przodkowie ubiegłych wieków przez łona matek. Dokąd prowadzi ta droga? Gdzie się kończy?

Skrzypnęły drzwi. Do chaty wszedł ojciec, tupiąc ciężkimi butami. Wionęło szczególnym zapachem kuźni — dymkiem węglowym.

Ojciec i syn padli sobie w ramiona.

— Wybacz, wracam prosto z kuźni, nie umyłem się. Ręce mam czarne...

— Co tam ręce, tatko! Ich czarność jest jaśniejsza od niejednej czystości...

— Mówisz jak z książki — uśmiechnął się ojciec, muskając siwy wąs. — A jednak prawdę rzekłeś. No, siadaj, wypijemy, opowiesz, co i jak. Zaraz przyjdą krewni: wujaszek Charko, ciotki, jeszcze ktoś z sąsiedztwa. Poczekaj, ja tylko wyszoruję ręce — widzisz, jak się węgiel wżarł...

Ojciec wyszedł z chaty, stanął przed umywalnikiem, wziął spory kawał zwyczajnego mydła i zaczął mydlić żylaste ręce. Mychajło stanął na ganku przypatrując się pochylonej postaci ojca. Postarzał się kowal Kuźma, postarzał. I skurczył się. Kiedyś był z niego chłopak chwata, postawny, wysoki. Czarne wąsy, piwne oczy, kędzierzawa czupryna. Gdy przechodził przez ulicę — płoty trzeszczały. Dobry byłby z niego mąż! — wdychały dziewczęta, czerwieniły się, kiedy padało na nie spojrzenie młodego kowalczyka.

Kuźma wybrał małomówną Makrynę. Zamieszkał w oj-cowskiej chacie na skraju wsi, zajął się kowalstwem. A kiedy powstał kołchoz — poszedł do kuźni kołchozo-wej. Ile tego żelastwa przeszło przez jego ręce? Kto zliczy?

Ojciec umył się, wytarł ręcznikiem. Przez furtkę wbie-gła matka niosąc ćwiartkę wódki. Oddała ją ojcu.

— Zanieś, postaw na stole. Ja rozpalę prymus pod okapem, usmażę jajecznicę ze skwarkami. Mam galaretę z linów. Dobra galareta. Nazrywam ogórków, pomidor-ków. Będzie dobra zakąska. Już ludzie nadchodzą, niech wejdą do chaty. A ja zaraz...

Skoczyła do ogrodu, schyliła się nad grządką, zbierała ogórki. Na podwórze wszedł sąsiad Klim z żoną. Przy-witali się z Mychajłą, zaczęli pytać o pogodę w Kijowie, o ceny kartofli, mięsa. Ojciec zaniósł wódkę do chaty, zaprosił gości. Matka wróciła z ogrodu, wysypała z po-dołka na ławę dwadzieścia twardych ogóreczków. Szybko rozpałała prymus, postawiła patelnię. Zasyczał niebieski płomyk, zaskwierczała słonina. Matka zaczęła wbijać jajka.

Przyszedł wuj Charko, młynarz. Zdjął szarą marynarkę i zażartował:

— Cokolwiek byś włożył — i tak będzie białe. No to chodzę stale w jednej marynarce. Jak umrę, wytrzepcie mnie — a zbierze się fura mąki...

— Mówisz takie rzeczy — odezwała się matka miesza-jąc jajecznicę — że strach słuchać...

— Co w tym strasznego? — śmiał się Charko, gładząc rude włosy. — Gdzie tam jesteś, Mychajło? Chodź tutaj, cmokniemy się. Nie wyrzekłeś się jeszcze krewnych?

— Jak widzicie — odpowiedział Mychajło, witając się z wujem.

— Dobra jest, dzielny z ciebie chłop. Tylko zmizernia-łeś. Zmizerniałeś, bracie! Z czego to? Może gwiazdy tak wysuszają?

— Gwiazdy to nie dziewczęta — zażartował Klim.

— Kłopoty — rzekł niechętnie Mychajło.

Matka rzuciła na syna baczne spojrzenie, zakrzątnęła się koło stołu, mówiąc:

— No, to siadajcie, zjemy kolację. Kuźmo, postaw kie-

liszki. Michasiu, siadaj w kąciку. O, dobrze, nadchodzi kuma Maryna. Proszę bardzo, w sam czas. Przecież Michaś przyjechał...

Przyszło jeszcze sporo ludzi, wujowie, ciotki, siostry cioteczne i bracia. Zasiadli wokół szerokiego stołu. Patrzyli na Mychajkę, oceniali, przysłuchiwali się.

Gasły barwy dnia. Zapadał zmierzch. Zachód grał purpurą. Ojciec włączył lampę. Zabłyśły w świetle szaty świętych, zamigotała w butelce mocna wódka, zalśniły piękne pomidory. Stary kowal zaczął nalewać do kieliszków. Zapanowała uroczysta cisza.

— Makryno, siadaj do stołu. Czego ty tam, przy ożogu?

— Może trzeba jeszcze coś podać...

— Wszystko jest — zawołali goście. — Idź, matko, do syna. Makryno, nie wykręcaj się. Wypijesz z wszystkimi...

— No to, daj Boże zdrowie — rzekł ojciec.

— Żeby nie ostatni raz — dodał sąsiad Klim o tłustym czerwonym obliczu. — Z dobrymi ludźmi wypić — i nic więcej nie trzeba!

— Zdrowie Mychajły — rzekł wujaszek Charko. — Za jego gwiazdzistą naukę!

— I za matkę, co wychowała takiego syna — odezwała się kuma Maryna, zwracając okrągłą twarz do Makryny. — I nasza wieś zasłynie z uczonych. Nie tylko hreczkosieje, ale, ot, jacy ludzie tu wyrosli!

— Takie gadanie! — rzekł kowal z wyrzutem. — Czy hreczkosieje to przestępcy, czy co? Przecież żywią wszystkich!

— Niby tak jest, a jednak hreczkosiejów jest dużo, a uczonych mało. Ty, Kuźmo, nie bądź za skromny, syna masz dzielnego!

— Czy on jeden w naszej wsi? Mało stąd wyszło nauczycieli, inżynierów i mechaników? I poetę mamy, a Bartłomiejów syn ministerstwa się dochrapał!

— No, to wypijmy — powiedziała matka — bo wódka stygnie.

— Lepsza będzie — roześmiał się Charko. — No, to bądźmy zdrowi!

Wypili. Chrupnęły ogórki w zębach. Zamlaskały żuchwy, mieląc pomidory, galarete, jajecznicę. Znow napęł-

niono kieliszki. Wypili, wspominając dalekich i bliskich zmarłych krewnych, niech wejdą do Królestwa niebieskiego. Nos Klima nabrzmiał, stał się czerwonosiny. Klim podniósł kciuk do góry, odchrząknął i rzekł:

— Powiedziałaś przed chwilą, — Maryno — królestwo niebieskie! A gdzież ono jest, to królestwo? Puste słowo i nic więcej!

— Tak mawiali dziadkowie, ojcowie — odpowiedziała uprzejmie Maryna, wycierając usta brzegiem chusteczki. — Tak i nam przekazali. I tak jest właśnie. Bo gdzie się podziewa dusza ludzka po śmierci?

— Jaka tam dusza? — zarechotał Klim. — Para, dym. Hu — i nie ma. Czym jest człowiek? Zupełnie jak wieprz. Zarznął, zdechł i nie ma. Tak i my. Wyzionąłeś ducha, upadłeś, zakopali. Robaki zjedzą. Tyle naszego: ćwiartka na stole, a w niej wódka. Oto nasza dusza. Ha-ha-ha! Pij, hulaj — tylko tyle naszego. Jak ty myślisz, Mychajle, nieprawdaż? Tyś człowiek uczony, powiedz!

Zebrani goście oburzyli się, wpadli na Klima, kobiety zaczęły mu wymawiać.

— Jak tak można porównywać człowieka ze świnią? — klasnęła w dłonie kuma Maryna. — Przecież świnia to zwierz, a to boska dusza!

— Jedno i to samo — zawzięcie wołał Klim, nalewając sobie następny kieliszek. — Jak przetniesz wieprza, to zobaczysz wszystko to samo, co u człowieka: kiszki, serce, wątroba!

— No, to siedź w chlewie — powiedziała gniewnie żona Klima, chwytając go za rękaw. — Skoro człowiek czy świnia to wszystko jedno, włącz do chlewni i chrząkaj!

Goście parsknęli śmiechem. A Klim, wychyliwszy jeszcze jeden kieliszek, chichotał wraz z nimi.

— Nie mam nic przeciw temu, ha-ha-ha! Byle mi przynoszono jadło. Przyniesiesz, co? Jakieś poidło, zamieszasz śruty. No, bo chodzić do kołchozu, dniówki obrachunkowe wyrabiać? Zbrzydnie. Gotów jestem leżeć w chlewie, żonko! Ha-ha-ha!

— Nie ma z ciebie pożytku! Do niczego się nie nadajesz!

Krewni rzeli z uciechy, lecz Mychajle nie było wesoło. Klim przypominał mu czymś Lihosowa, był jakby jego

gorszym wydaniem, kiepską kopią. Czyżby taka była okrutna, naga prawda? Przyrząd fizjologiczny, maszyna, która pochłania jadło, czka z sytego zadowolenia, śpi, a potem umiera ze starości lub wskutek nieszczęśliwego wypadku? Po cóż więc taka różnorodność? Z jednej strony psychika, która dorównuje małpie, a z drugiej — niezwykle subtelny kwiat, który rozkwita na tym samym drzewie ludzkim. Straszna, przeklęta zagadka!

Mocna, pałaca wódka uderzyła do mózgu, niespokojną słodką falą spłynęła do nóg. Powróciła. Zakołysała się lampa, twarze gości. Klim, tykając palcem przez stół pierś Mychajły, powtarzał, bryzgając śliną:

— No, powiedz, powiedz! Mam rację czy nie? Mam rację czy nie?

— Nieprawda, człowiek ma duszę — powiedział twardo Mychajło. — Co by to był za człowiek bez duszy? Bez-dusznymi nazywa się bardzo złych ludzi...

— To puste słowa! Odpowiedz do rzeczy, do rzeczy. Sam czytałem broszurę, sam czytałem... Czarno na białym napisano — nie ma duszy. Ha? A „dusza” to słowo. Ehe, nie przyłapiasz mnie! Ha-ha-ha!

— Nic nie ginie — rzekł Mychajło. — Wszystko przekazuje się wciąż dalej i dalej. Dobro i zło, nauka, wiedza. I my zostaniemy w naszych czynach, w dzieciach...

— He-he, już to słyszeliśmy! Ale to nie jest dusza!

— Dusza — powtórzył uparcie Mychajło. — A wszystko inne znika. Żyje tylko pieśń, bajka, wiedza.

— Gdzie to wszystko żyje, u diabła! — wrzasnął Klim. — Kiedyś, ot, jacy byli Kozacy! Samemu Lucyperowi pluli w oczy, napędzali strachu Tatarom i Lachom, a ich dzieci żłopią bimber i wywijają, jak tam one się zwa, twisty! Ha-ha-ha! Widzisz, jak się żyje...

— Mychajło mówi prawdę, w pieśni jest dusza ludu — odezwał się wzruszony wuj Charko. — Zaśpiewajmy naszą starą pieśń. Makryno, zaczynaj, będziemy ci wtórować...

Matka odkaszlnęła, cichuteńko, przejmującym głosem zaśpiewała, przykładając rękę do policzka:

Powiej, wietrze, bujniusieńki
z głębokiego jaru.

Posmutniały twarze gości, pochyliły się głowy.

Przybądź przybądź, moja miła,
z dalekiego kraju.

Jakże ja stąd mogę powiać —
tu jary głębokie;

Jakże ja mam przybyć do was —
tu kraje dalekie.

Pochylcie się, gęste łązy,
dokąd wiatr wieje;

Oj, popatrzcie, piwne oczy,
skąd kochany idzie.

Schylły się gęste łązy,
przystały się kłaniać...

Popatrzyły piwne oczy
i zaczęły płakać...

Tęsknota ścisnęła Mychajle serce bezlitosną dłonią. Trysnęły łzy z oczu. Życie moje, Hanusiu, czemuś tak wcześniej odeszła ode mnie? Dlaczego zostawiłaś mnie wśród pustki, pod samotnym niebem?

Nalał sobie wielką szlifowaną szklanekę wódki, wypił, aż mu dech zaparło. Matka szarpnęła go za koszulę, szepnęła błagalnie:

— Nie trzeba, syneczku... Syneczku, nie trzeba...

— Niech pije, Makryno! — ryknął basem Klim, błyskając przekrwionymi oczami. — Tyle naszego! Niech pije! Uczony czy tłuczony — ha-ha-ha! — wszyscy lubią wódkę... bo ona, gołąbeczka, rozgrzewa duszę, to znaczy, duszy nie ma! Zaplątałem się, a niech to licha! Nalej i mnie. Tylko wódki kobietom nie dawaj, dla nich ...ik! ...nalewka! Zaśpiewaj, kumciu! Zaśpiewaj!

Kuma Maryna chętnie odłożyła łyżkę i zaczęła wywozić wysokim, dźwięcznym głosem:

Wieje wiatr, wieje bujny,
aż dąb wielki zgrzyta.
Siedzi kozak na mogile
i tak wiatru pyta:

„Powiedz, wietrze, powiedz bujny
gdzie kozacka dola?
Gdzie nadzieja, gdzie hetmani,
gdzie sława, swawola?”

A wiatr jemu odpowiada:
„Wiem, co ci sązone.
Hej, kozaku, dola twoja
w gajku zielonym”.

Przed oczami Mychajły wirowały koła, ale jeszcze resztkami świadomości usiłował zrozumieć treść pieśni. Wiekami, dziesiątkami wieków płynie smutna skarga rycerzy... Poszukiwaczy... Gdzież ona — dola? Gdzie ją znaleźć? Czy istnieje? A może jest tylko mirażem, drwiną z biednych kukielek, stworzonych do zabawy przez kapryśną przyrodę?

Zadeptano, zaorano
szarymi wołami...
I zapłakał biedny kozak
gorącymi łzami...

A basy mężczyzn skarżyły się się gniewnie zmarłym matkom i pradziadom:

Urodziła mnie matusia
na zielonym prosię
i dała mi gorzką dolę
muszę cierpieć do dziś.

Urodziła mnie matusia
na zielonym życie
i dała mi smutną dolę,
ciężkie moje życie...

Sąsiad Klim postawił z brzękiem szklanek na stole, beztrąsko podchwycił smutną melodię:

Zawiozę ja moją dolę,
sprzedam na jarmarku,
ale nikt jej nie chce kupić,
kto ma łeb na karku.

Hej, zawiozę moją dolę
znów w powrotną drogę.
I jak rąbnę moją dolę
głową o podłogę...

Tak, tak — zadźwięczało w przyćmionej świadomości Mychajły. — Głową o podłogę. Żeby nikomu nie doku-
czała, żeby nikogo nie męczyła. I od razu wszystko stanie
na swoim miejscu. Cisza. Barwinek wyrośnie na wzgórku.
Zaśpiewają ptaszki. Ha-ha. Sentymenty. A jednak... pię-
knie... I przyrodę można... oszukać... okręcić dokoła palca.
Ha-ha-ha...

Mychajło podniósł się, wyszedł z za stołu. Goście nie
zwracali na niego uwagi, śpiewali inną pieśń. Tylko mat-
ka dopędziła syna w sieni, szepcząc błagalnie.

— Trzymaj się, Misiu. Nie można tak...

— Jak, mammo?

— Przecie widzę. Jesteś nieswój. Ona cię uroczyła.
Jeszcze cię zgubi...

— Niech zgubi, mammo... Co mnie to obchodzi?

— Masz syna, Misiu... A i sam nie jesteś stary...

— Mammo, moja mądra, moja najdroższa... — Mychajło
opadł ciężko na ławkę, przyciągnął matkę do siebie. —
Ale co ja pocznę ze sobą? Nie chce mi się żyć bez niej.
Dla siebie? Po co mam żyć dla siebie? Syn? Matka jest
mu bliższa. Nie zginie. Wy — sami dacie sobie radę...

— O czym ty mówisz, syneczku — przeraziła się mat-
ka. — Jakbyś, nie daj Boże, postanowił zrobić coś złego...

— Nie, jeszcze nie postanowiłem... Może tak zrobię...

— Panie Boże, miej go w swej opiece — przeżegnała
się matka. — Wyrzuć takie myśli z głowy. Jeśli kocha-
łeś ją, to nie możesz się zabić. Jakaż to miłość, skoro
prowadzi do straszliwej zguby?

— A wiesz, powiedziałaś prawdę, pięknie powiedziałaś,
mammo... Miłość do życia... Ale jakie to życie, kiedy jej
nie ma? Straszno i dziwnie...

— Spójrz na niebo, syneczku... Spójrz, jakie gwiazdy...
Aż serce zamiera...

Mychajło podniósł oczy. Migotliwy ogień dalekich świa-
tów podziałał na serce jak balsam. Chaotyczne myśli
rozproszyły się, zamilkły wobec wielkości niebios. Matka
i syn siedzieli w milczeniu, nasłuchując ciszy wszechświa-
ta, lecz w to trwożne milczenie wdarły się zapalczywe
głosy:

— Nie, ty mi powiedz, powiedz, nie wykręcaj się: gdzie
jest Bóg? Powymyślali, nabajali — a gdzie On? Kto Go
widział?

— Człowiek to bóg — odpowiedział głucho kowal. — Wszystko jest w człowieku. I światło, i noc. A co — może mówię nieprawdę? Człowiek buduje i niszczy. Nie zaprzeczaj mi, Klimie. Ty lubisz dużo paplać. Nie irytuj się, tylko słuchaj. Ja tymi rękami przekulem góry żelastwa. Ile kosiarek i kombajnów czy pługów wyszło ode mnie na pola...

— Więc ty jesteś bogiem? — zaśmiał się ochryple Klim. — Stwórcą?

— Bogiem — odpowiedział kowal z godnością. — A kto niszczy, zabija — diabeł. Największym bóstwem, powiem ci — jest rolnik, siewca. Wyjdzie na wiosnę w pole, posieje garść ziarna na rolę, a jesienią sąsiedki pękają. Oho, jeszcze jakim bogiem jest człowiek. Ponad wszystkie bogi!

Goście w chacie zamilkli, zapewne oceniali filozofię staro Kuźmy. Matka poruszyła się, szepnęła:

— Pięknie ojciec powiedział. A jednak przesadza. Jeszcze bardzo dużo jest w ludziach złego, małostkowego. I nie tyle złego, ile małostkowego. Nikczemnego. Ja lubię patrzeć na gwiazdy. Pewnie przejąłeś to uczucie ode mnie. Wyjdę, spojrzę i wszystko ziemskie wydaje mi się takie mizerne, bez znaczenia.

— A co jest ważne, mamó?

— Ogień. Gwiazdy, słońce — wszystko pali się, płonie. Całe niebo jest w ogniu. A my ledwie się tlimy. Oto życie... Gdyby tak żyć w ogniu... Może kiedyś będziemy gwiazdami. Moja babunia — znała ją — opowiadała mi niegdyś taką bajkę: O tym, że ludzie prawi stają się gwiazdami, żeby świecić innym, tym, którzy jeszcze nie wzniesli się w górę...

— Ty, mamó, wierzysz w nieśmiertelność?

— Nie wiem... nieuczona jestem. Ty wiesz lepiej. A jednak często zastanawiam się: gdzie ja byłam, kiedy mnie nie było?

— Dziwaczne pytanie.

— Dlaczego? Jeszcze jak byłam panną, wciąż się tak zastanawiałam i myślałam całymi wieczorami. Aż mnie głowa rozbolała. Powiedział mi potem pewien nauczyciel, że głupio pytam... A teraz to znowu mi się kręci po głowie: gdzie ja będę, jak mnie już nie będzie?...

— Ty również tędy, mamó. Filozofowie wszystkich

wieków łamiał sobie głowę nad tymi pytaniami. Wybacz, matusiu, źle się czuję, przejdę się. Pójdę do lasu...

— Uważaj, synku, żebyś nie zbłądził...

— Ha-ha! Przecież ja tu znam wszystkie przejścia. Po omacku znalazłbym drogę.

— Nie chwal się zanadto. Tyle nowych drzew zasadzili, krzewów, bardzo tu się zmieniło... A ty na dobitkę podpiłeś sobie...

Mychajło chwiejnym krokiem zszedł z ganku, machnął ręką, ruszył do wrót.

— Nie szkodzi... wiem dobrze... głowę mam czystą... tylko nogi ciężkie jak z ołowiu... Odświeżę się trochę.

Wyszedł z obejścia, minął wzgórkę. Głosy pijanych gości ucichały, gdzieś wyły psy. Giętkie łoży smagały go po twarzy, pod nogami ugięły się pachnące trawy. Kółka gwiazdy na niebie, wykonywały jakiś figlarny taniec. Mychajło przystanął, westchnął głęboko. W ustach miał ohydny smak bimbrowy. Splunął, nachylił się, wyrwał z ziemi pęczek trawy, pożył. Cierpkie żdźbła ochłodziły podniebienie, język. Mychajło usiadł na wzgórkę. Potem położył się na wznak, rozkładając ręce.

Piękności moja niewymowna! Na co jesteś? Łudzisz, przyrzekasz, uspokajasz. Może istnieje rozwiązanie? W czym tkwi? Powiedz... Dla kogo ubrałaś się w gwiazdziste wianki, w pachnące szaty?

Wilgotna noc przeszywa do kości. Trzeba wstać. Ale się nie chce. Ręce i nogi odmawiają posłuszeństwa. Oczy skleją się. Przyjemnie, straszno. Za zmrużonymi rzęsami migocze gwiazdzisty krąg. Obraca się. I Mychajle wydaje się, że jest przykuty do nieskończoności, pośród otchłani. Nie ma kogo wołać, nie ma kogo oczekiwać. Kto rozkuje, kto rozerwie kajdany, kiedy on sam jest ofiarą i katem? Krzycz, wołaj — tylko kosmiczna otchłań odpowiada ironicznym echem...

Smutno, ciężko, straszno...

Wśród ciemności zaigrała tęcza, zbliża się. Kto to? Czyż jest jeszcze żywa dusza w bezmiarze?

Otworzył oczy. Pod sosną stoi Hanusia. Ubrana w ciemnobłękitną suknię wyszywaną gwiazdami. Nad czołem wianek z białych lilii, oblicze uśmiechnięte, łagodne. Tylko oczy smutne.

Mychajło nie zdziwił się. Serce zatrzepotało boleśnie,

a w świadomości mignęła myśl: Jak to możliwe? Przecież ona jest tam, w posępnej piwnicy.

— Żyjesz, Hanusiu? — zapytał cicho.

— Żyję, kochany — skinęła głową.

— Gdzie jesteś teraz?

— Mamy wielki sad. I bardzo dużo kwiatów. Jest nas osiem dziewcząt. Opiekujemy się kwiatami. Dokądkolwiek pójść — wszędzie kwiaty, kwiaty, czerwone maki. A ludzi nie widać. Stęskniłam się za ludźmi.

— Przyszłaś do mnie, Hanusiu? Zlitowałaś się nade mną?

— Zawiniłam wobec ciebie, kochany — rzekła Hanusia, pochylając głowę. — Nie przyszłam wówczas. Męczyłeś się bardzo. Wybacz mi. Wstań, pójdziemy na nasz ślub. Już czekają moje druhny. Urządzimy wesele.

— Chodźmy — zgodził się Mychajło. Podniósł się lekko ze wzgóрка, popłynął nad ziemią, wziął Hanusię za przezroczystą rękę. Dziewczyna zadrżała, w jej oczach zapłonęło szczęście. Ruszyli razem ponad łożami w głąb gęstego lasu...

Między drzewami mieni się kolorami kwiat paproci, rzuca srebrne błyski na trawę, na krzewy tarniny i głogu. Las milczący, jakby zaczarowany. I oto polana. Na środku — ognisko. Dokoła niego stoi siedem smukłych dziewcząt, wszystkie w bieli. Złote warkocze opadają na biodra, rzęsy mają spuszczone, oczu nie widać. Cicho, bezgłośnie świeci płomień, nie rzuca iskier i dlatego Mychajle robi się straszno. Jedna z dziewcząt mówi do Hanusi:

— Przyjaciółko, czy jesteście gotowi do wesela?

— Gotowi — brzmi głos Hanusi.

Dziewczyna zatapia głębokie, straszne spojrzenie w Mychajle, przesywa go na wskroś.

— Czy kochasz Hanusię?

— Kocham — szepcze Mychajło zmartwiałymi wargami.

— Czy mocno, czy na zawsze?

— Na zawsze, dziewczyno. Zajrzyj w moje serce, jeśli możesz dojrzeć...

— Widzę — rzekła dziewczyna już łagodniejszym głosem i uśmiechnęła się niedostrzegalnie. — Dobrze, Kochacz. A czy poślubisz ją?

— Pragnę tego.

— A ty, Hanusiu, czy go kochasz?

— Kocham, siostrze.

— Na wieki?

— Na wieki, na zawsze, przyjaciółki moje.

— Poślubisz go?

— Poślubię. Jestem gotowa, siostry moje.

— Stańcie w środku ogniska — rozkazała dziewczyna.

Hanusia popatrzyła na Mychajkę. Wahał się chwilę, strach przeszył serce. Jak to? Ogień ich spali, jakież to ślub?

— Nie bój się — rzekła dziewczyna surowo. — Powie-
działeś, że kochasz ją na zawsze, na wieczność. Wieczność
nie boi się ognia. Jesteś pewien swojego uczucia? To idź
śmiało...

Płomień ogarnia młodą parę. Ciepło, przyjemnie. Od-
wieczny las stoi jak ciemna zjawa, kołyszą się dziewczę-
ta z baśni. Jedna z nich zaczyna śpiewać cienkim, cichym
głosem:

Hanusiu, nasza dziewczeczko,
pokaż nam swoje liczko...

A dziewczęta wtórują zgodnym chórem:

Daj nam popatrzeć do woli,
byśmy się mogły pochwalić...

A Hanusia, nie puszczając ręki Mychajki, odpowiada na
wezwanie sióstr:

Siostry moje, łabędzie,
oj, krzywdy wam nie będzie,

liczko moje oglądacie,
lecz bólu serca nie znacie...

Zamyśliła się starsza dziewczyna, złożyła ręce na pier-
si, zapytuje smętnie:

Czemu gryzie serce zgryzota?
Skąd się wzięła twoja tęsknota?
Czy z pracy, czy od kochania?
Czy z panińskiego czekania?

Miałam, siostrzyczki, miłą godzinę,
ale zgubiłam do niej ścieżynę.
Więc mi zabierzcie zwątpienia męki,
bym nie zaznała z miłym rozłąki...

— W imieniu miłości łączę Mychajłę i Hanusię — powiedziała uroczyście dziewczyna, a druhny radośnie powtórzyły jej słowa i dodały w uniesieniu:

— Na wieki wieków! Na wieki wieków!

— Pocałujcie się — rzekła dziewczyna. — Jesteście od teraz nierozłączni. We wszystkich światach, we wszystkich światach.

Posypały się gwiazdy z nieba jak płatki kwiatów, zabłysły na ramionach, na warkoczach, na rzęsach Hanusi. Mychajło pochylił się ku ustom małżonki, chciał ją pocałować. Hanusia przeszła przez niego niby chmurka. Przerażony odwrócił się za nią. Hanusia roześmiała się, popłynęła nad polaną w kręgu sióstr. Rzucił się za nimi, chciał dogonić, objąć Hanusię, jej żywe, ciepłe ciało.

Z daleka rozległ się śmiech, zlewały się w nieprzebytej mur drzewa, paprocie; zgasło światło, znikły gwiazdy.

Cisza. Ciemność. Niebyt.

Zdrętwiały ręce. Skamieniały nogi.

Ból w piersi.

— Synu, syneczku! Co ci jest? O mój Boże, przecież on zupełnie przemarzył!

— Cicho, stara, nie krzycz. Trzeba go jak najprędzej zanieść do domu, owinać w kozuch! Nie powinien był tyle pić!

Kołyszą się sosny, skrzypi piasek, zmartwiona matka zagląda mu w twarz. Mychajło uśmiecha się, szepcze:

— Ożeniłem się... matusiu...

— Co ty mówisz, syneczku? Oj, zauroczyła ciebie, zawiązała ci świat! Oj, syneczku mój nieszczęśliwy! Co z tobą będzie?

— Wszystko będzie dobrze, mamó... Ona jest moja... Ślub nam dały dziewczęta przy ognisku...

— Bredzi — rozległ się pochmurny głos ojca. — Potrzeba lekarza.

— Skąd go tu weźmiesz? Jest felczer — ale pijanica. Musimy odwieźć go do Kijowa, Kuźmo! Biegnij do prze-

wodniczącego, niech da samochód. O mój Boże, takie zmartwienie! To ja jestem winna, widziałam, że się źle czuje, a pozwoliłam mu wyjść...

— Przystań, stara, lamentować. To nie pomoże. Pobiegnę po samochód, a ty ugotuj mleka z miodem i daj mu. Przyjdzie do siebie.

— Miód tu nie pomoże!

Gorące mleko kapie na wargi, na pierś. Mychajło odsuwa się, uśmiecha do matki.

— Nie trzeba... nie jestem chory... jestem szczęśliwy... Ona przyszła do mnie... teraz jest moja, na wieki wieków... na wieki wieków...

Otchłań się rozwarła. Nie można się zatrzymać. Spada do niej wszystko: świadomość, serce, ciało. Złowieszczy upadek. Kiedy się skończy? Ni gwiazd, ni ognia, ni głosu.

Cisza. Głucha cisza.

Niebyt.

Sahajdak obudził się, odzyskał przytomność w mieszkaniu kijowskim. Zza okna dobiegały donośne dźwięki ulicy. Na biurku błyszczał w słońcu nóż do papieru. Za zamkniętymi drzwiami słychać było głosy. Jeden z nich należał do Niny.

— Już dawno coś zauważyłam. Zaczyna mówić od rzeczy, wieczne protesty, to mu się nie podoba, tamto mu się nie podoba. Potem zaczął pić. Zawalił rozprawę. A teraz — macie. Pojechał do matki, upił się. Poszedł na spacer do lasu, usnął tam. Ziemia jest mokra, no i... Powiadają, że bredził, miał jakieś halucynacje. Trzeba go leczyć, doktorze. Bo ginie człowiek. Z obserwatorium wciąż dzwonią. Co się z nim stało?

— Dobrze — odezwał się łagodny męski głos. — Tak od razu trudno mi coś powiedzieć. Muszę go zabrać do lecznicy. Przyjrzę mu się, zbadam go. Niech się pani uspokoi. W życiu wszystko się zdarza. Nasze czasy są takie burzliwe, serce nie wytrzymuje, niszczy się intelekt...

— A przecież inni wytrzymują — powiedziała Nina z niezadowolaniem.

— Bęben wytrzymuje — sprzeciwił się głos męski. — A skrzypce psują się. Nie wszystkie organizmy są jed-

nakowe. Psychika to rzecz delikatna. Zabiorę go, spróbujemy postawić go na nogi...

— Doktorze, ozłocę pana. Będę panu wdzięczna całe życie.

— Wdzięczność — znakomicie — odparł lakonicznie lekarz. — A ozłacanie mnie nie ma sensu. Lepiej mi będzie z naturalnym wyglądem.

— No, ja tak tylko w przenośni...

— Właśnie tak pomyślałem — odpowiedział poważnie głos.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Mychajło zamknął oczy. Lepiej nie patrzeć teraz, nie rozmawiać. Niech wiozą, dokąd chcą, i robią, czego sobie życzą. To nie ma znaczenia. Ona przyszła, ona jest, ona czeka na niego pośród czerwonych maków. Ona i siedem białych sióstr...

Znowu zapomnienie. Gwar ludzki. Kołysanie noszy. Samochód. Dokąd go wiozą? Zapewne do Lecznicy Pawłowowskiej. Sądzą, że zwariował. No, to dobrze. Wszyscy są po trosze obłąkani. On oszalał z miłości. Niech sobie myślą, że go leczą. A on wie swoje. Będzie czekać na Hanusię ciemnymi nocami. Ona znów przyjdzie. I żadne ściany nie powstrzymają ich, popłyną nad ziemią, nad Dnieprem, nad łąkami, do posepnego lasu, w którym na polanie czekają białe koleżanki...

Skrzypi podłoga. Białe ściany. W pobliżu nie ma nikogo. Jest sam. Spokój. Cisza.

Gdzieś krzyczą ludzie. Głośno, wściekle. Potem ktoś płacze żałośnie. Wyje jak wilk. Znowu cisza.

Ciemność. Nie chce się wyjść z niej. Czekać, czekać. Może przyleci. Może poprowadzi wśród czarnych drzew do ogniska na ślub...

Białym widmem przepłynęła pielęgniarzka. Postawiła na stoliku tacę z jedzeniem. Mówiła coś, prosiła. Mychajło nie słuchał.

Odeszła.

Czas stanął w miejscu. Myśli kręciły się w wąskiej spirali jak w przereźblu. Wszystko minęło. Pękła treść poprzedniego życia, rozsypała się w drobne kawałki. Nie zbierzesz ich. A jeżeli zbierzesz — na co ci szczątki? Raczej wyrzeźbić nowe naczynie. Nowe — nie ma z kim.

W tym życiu — nie ma. A w tamtym? Tylko w tamtym. Czerwone maki. Ogrody. I osiem białych dziewcząt. On będzie ich bratem. Zacisznie, miło.

Co powiedzą przyjaciele? Głupstwo. Powiedzą, że nie ma innego świata. Powiedzą, że jest uczonym i powinien wrócić do trzeźwego myślenia. Powiedzą: wylecz się. Odpowie milczeniem. Zachowa tajemnicę dla siebie. Czerwone maki. A między nimi Hanusia. W niej cały świat. I więcej nawet. Nie trzeba kwazarów, nie trzeba nowych gwiazd. Wziąć za rękę i płynąć ponad sadami. Białe, białe sady. A nad nimi błękitne oczy...

Szelest kroków. Myśli — w rozsypkę. Przyczaiły się.

Kto to?

Ktoś w bieli. Lekarz? Grzywa siwych włosów, długie kozackie wąsy, chuda ascetyczna twarz. Spod kosmatych brwi dobre znużone oczy.

Usiadł na krześle. Przygląda się, milczy. Spostrzega otwarte oczy Mychajły.

— Dzień dobry...

— Witam pana — wyszeptał Sahajdak.

— Dlaczego pan nie jadł?

— Nie chce mi się jeść...

— Trzeba...

— Może i nie trzeba — westchnął Mychajło. — Mnie i tak dobrze...

— Poznajmy się — rzekł lekarz. — Znam pana, Mychajło Kuźmiczu. A ja nazywam się Hryhoryj. Hryhoryj Wasiljewicz Sokół. Lekarz...

— Psychiatra? — zawołał uszczypliwie Mychajło.

— Psychiatra — odpowiedział spokojnie Sokół. — I psycholog. I neuropatolog. Pan jest urażony, że znalazł się pan tutaj?

— Nie, dlaczego — Mychajło wzruszył ramionami. — Skoro jestem wariatem, to dokądże indziej...

— Kto panu powiedział, że pan jest wariatem? — zapytał Sokół surowo. — Niech pan nie myśli nawet o takich bredniach.

— Słyszałem. Żona powiedziała...

— Jakie ma podstawy ku temu?

— Że niby miałem halucynacje. Ja naprawdę ją widziałem.

— Kogo?

— Hanusię. Jak pana w tej chwili...

Brwi Sokoła jeszcze niżej opadły nad oczy, wąs poruszył się. Lekarz milczał chwilę, a potem rzekł krótko:

— A co dalej...

— A dalej — ona znikła. Biegłem za nią, szukałem. Nie znalazłem. Potem mnie zabrano. Przywieziono tutaj. Doktorze... Czułem dotyk jej dłoni, słyszałem pieśni weselne jej sióstr. Opowiadały mi o tamtym świecie, który zamieszkują. Są tam czerwone maki, ogrody. Jakaż to halucynacja? Te odczucia były silniejsze od obecnej rzeczywistości. Jeśli to ma być iluzją, to dlaczego ten świat nią nie jest? Maja, jak powiedział mi przyjaciel, Hindus...

— Pan ma przyjaciela w Indiach? — zaciekawiał się lekarz.

— Mam — odparł sucho Mychajło. — Ale dlaczego pan nic nie mówi? Skąd ona przyszła? Dlaczego była tak realna? I cieszę się z tego, i niczego mi nie trzeba, tylko ją widzieć, słyszeć... Jeśli to jest obłąd, to niech tak będzie wiecznie. Byle z nią... Niech pan posłucha, doktorze! Od wielu wieków ludzie wierzyli w świat pozagrobowy. Odrzucaliśmy sceptycznie ich poglądy. A może myliliśmy się? Kto zagląda w ową szczelinę — uważamy go za wariata. I człowiek trafia tutaj. I następują patologiczne zmiany. Dysharmonia między rzeczywistością i otoczeniem...

— Pan rozumuje całkiem normalnie — rzekł lekarz, gładząc wąsy. — Niech mi pan opowie o wszystkim. O wszystkim, co się działo przed naszym spotkaniem. To jest bardzo ważne. Jeśli oczywiście ma pan do mnie zaufanie. Proszę pomyśleć...

— Opowiem, doktorze. Pan ma taką szczerą twarz...

Sokół siedział bez ruchu godzinę. Czy dwie? Jak skamieniały pił sercem cudzy ból, dręczył mózg cudzym niepokojem, rozplątywał gmatwaninę skomplikowanych doznań.

Po wysłuchaniu Sahajdaka powiedział cicho, z rozważą:

— Przyjacielu, pan jest zupełnie zdrowym człowiekiem. Jedynym pańskim brakiem — jeśli to można nazwać

brakiem — to jest niezwykła wrażliwość i niezwykła wyobraźnia. W przyszłości, kiedy świat stanie się harmonijny, takie cechy będą błogosławieństwem. A w naszej epoce wrażliwe organizmy spalają się jak świece. Jestem od dawna lekarzem, widzę, jak pod młotem przeciwności pękają subtelne dusze. Wchodzimy w nową epokę. Nawał wrażeń, lawina informacji, lecz forma, mózg, świadomość — są stare. Pozostają w tyle. Konflikty idei naukowych, religijnych, artystycznych. Rozwarła się otchłań kosmosu. Skończone weszło w konflikt z nieskończonym. Koncepcja śmierci jako ostatecznego zniszczenia nie zadowala już człowieka, tym bardziej iż przeciw niej powstaje prawo zachowania. Nowej definicji nie ma — stara jest nienaukowa, infantylna. Odwieczne zagadki bytu. Nie pan jest pierwszy i nie pan ostatni. Tym więcej, że przyłączyły się sprawy osobiste. Rozumiem pana, przyjacielu. Takiej straty nie może nic wyrównać...

— Widzi pan... Sam pan powiedział: strata nie do wyrównania...

— Jeżeli jest naprawdę bezpowrotna — odpowiedział poważnie lekarz. — A jeżeli nie?

— Proszę nie mówić zagadkami — rzekł cicho Mychajło. — Jestem zmęczony grą. Błagam, niech pan mówi jasno...

— Nie dam panu gotowych formuł — rzekł Sokół z westchnieniem. — Ale mogę opowiedzieć panu coś nieco o sobie. Ja też przeszedłem tę samą drogę, na którą pan wszedł...

— Pan?

— Tak. Jeśli pan chce — opowiem. To pana zainteresuje. Może ta historia stanie się odpowiedzią na pańskie poszukiwania...

Słowo szóste — puchar Amrity

Spotkał się jasny Anioł z ciemnym.
I rzekł Anioł:
— Gorzcy są sładzy twoi.
Uśmiechnął się ciemny, odpowiedział:
— Moi są gorzcy, a twoi — kwaśni.
Powinniśmy obaj poszukać słodkiego.
Pochylił Anioł głowę, bo nie mógł pokazać,
gdzie jego sładzy nie skwaśnieli.

Bajka wschodnia

Urodziłem się na Czernihowszczyźnie, nad Desną. Mała, cicha wioska, łąki, lasy. Ojciec mój — Wasyl Sokół — był drobnym szlachcicem. Był bardziej podobny do wieśniaka niż arystokraty. Żyliśmy skromnie, ale tatko dał mi staranne wykształcenie. Jeszcze w dzieciństwie przyjął guwernantkę, która uczyła mnie angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Potem gimnazjum, wydział lekarski Uniwersytetu Petersburskiego.

A potem — wicher Października.

Nie umiałem wybrać od razu słusznej drogi. Bez zastanowienia rzuciłem się w przeciwną stronę. I długo nie mogłem wydostać się z bagna kontrrewolucji, zdobyć się na odwagę lub skorzystać z przypadku i zerwać z Kołczakiem, z którym zetknął mnie los.

Tak mijał czas.

W końcu przyszła katastrofa. Armia Kołczaka została rozbita. Poszczególne oddziały rozbiegły się w różne strony, mszcząc się za klęskę na bezbronnej ludności.

Ja wraz z małym oddziałem sztabowym znalazłem się na przedgórzach Ałtaju. Tam dopędził nas oddział partyzancki. Wybuchła bitwa. Kozacy z ochrony sztabowej rozbiegli się. Mała grupa oficerów ostrzeliwała się zaciekle, kryjąc za skałami. Pierścień partyzantów zaciskał się. Konie, zaprzężone do podwód, padały pod kulami,

rząc żałośnie. Upadłem obok koła, zakryłem twarz, czekałem tępo na koniec. Ktoś przy mnie wrzasnął wściekle, coś upadło, uderzyło głucho o ziemię. Coś oparzyło mnie koło ucha. Zadzwoniło mi w głowie. Napłynęła ciemność...

Ocknąłem się na wozie. Siano pachniało, tętniły kopyta, nade mną kołysały się jaskrawe gwiazdy, przepływały ciemne wysokie drzewa.

Żyję — pomyślałem radośnie. — Jeszcze żyję...

Rozległ się głuchy, starczy głos:

— Jaka ty jesteś litościwa, Kseniu. Co ci do niego?

— To bliźni — odezwał się melodyjny głos kobiety. — Bliźni, ojcz...

— Nie gadaj głupstw — zabrzmiał surowy głos mężczyzny. — Może to wcale nie prawosławny...

— No to co? — upierała się kobieta. — Czy nie widzisz — człowieka spotkało nieszczęście. Trzeba dopomóc.

— A czy ja co mówię? — westchnął mężczyzna. — Przecie wieziemy. Powiadam tylko, że twoja litość nie przyniesie nic dobrego. Ot, jak...

Kobieta nie odpowiedziała. Ja również milczałem. Moje serce przeniknęła sympatia do nieznanym, która mnie uratowała.

Wojna, pożary, śmierć pozostały w tyle. Wydawały mi się snem, marą. Może wcale ich nie było.

Kołyszą się gwiazdy, pachnie słodkim końskim potem, uspokajająco dzwonią okute koła na kamienistej drodze...

Przywieziono mnie do zapadłej górskiej wsi Multa. Ze strony południowej płynęła doliną groźna rzeka Katuń. Błyszczały pod słońcem bloki śnieżne, kłębiły się nad nimi chmury. Na stokach gór rosły gęste lasy modrzewiowe i cedrowe, doliny kwitły wypełniając powietrze delikatnymi zapachami.

Wieś była kierzacka.* Mieszkali w niej staroobrzędowcy, których przodkowie jeszcze za czasów Piotra uciekli do tych błogosławionych krajów, by zachować stare obrzędy i wiarę ojców przed ortodoksami.

Zamieszkałem w małej schludnej chatce. Pachniało tu smolnym drzewem, na oknie stała spora skrzynia z miętą, wazon z dużymi różowymi kwiatami. Koło mojego

* Kierzacy — staroobrzędowcy, członkowie odłamu Cerkwi prawosławnej przeciwnego reformie w. XVII (przyp. tłum.).

łóżka — szeroka ława. Znajdowałem na niej każdego ranka dzban pachnącego mleka, pulchny chleb, talerzyk miodu. Za drzwiami słyhać było często stłumione głosy, lecz do pokoju nikt nie wchodził za dnia. A rankiem znów widziałem jadło na ławie, dotykałem na rękach i czole świeżych opatrunków z cienkiego płótna.

Wkrótce wyzdrowiałem. Korciło mnie bardzo, żeby zobaczyć moją wybawczynię, lecz ona nie przychodziła. Za oknem zieleniły się gałązki jałowca, pukały z szybę miękkimi palcami, wzywały na szeroki świat.

Podchodziłem już do okna, trzymając się ściany. Widać było las, błękitne zębate góry na horyzoncie, potok toczący białą pianę w pobliżu chaty. Wśród kwitnących traw pasły się krowy, bawiły się dzieci. Chciałem wyjść do nich, chciałem coś zrobić.

Pewnego razu wszedł do izby starszy brodaty mężczyzna, siwy, barczysty, w chłopskiej sukmanie, w wysokich butach. Za nim stała wysoka zgrabna dziewczyna w długiej czarnej sukni. Była gładko uczesana, na pierś spadał jak żmija gruby jasny warkocz. Szare oczy spoglądały niespokojnie, nie spuszczała wzroku z mojej twarzy. Mężczyzna, pogładziwszy brodę, przywitał się, w jego niebieskich oczach przyczał się wyraz nieufności.

— No cóż — powiedział. — Kim jesteś, jakiegoś ty rodu? Ja jestem Afanasij Hryhorowicz Łabędź. To jest moja córka, Ksenia...

Przedstawiłem się i podziękowałem za uratowanie mi życia.

— Dziękuj Bogu — rzekł krótko gospodarz. — No, i jej, Kseni. Ja, prawdę mówiąc, nie bardzo lubię wtrącać się do takich spraw. Biali, czerwoni — kto się w tym wyzna? Brat przeciw bratu — czy tak być powinno? Krew, wrogość, piekło. Nie będzie z tego dobra. Nie może być...

— Nie nasza rzecz zajmować się tą sprawą, tatko — rzekła władcym tonem córka. — Czynić dobro — to co innego. Przecież powiedziane jest: „Kto sądzi, że miłuje Boga, a nienawidzi brata swego — kłamie”.

Ojciec z zniezadowoleniem pokręcił głową, lecz w jego oczach błysnęły iskierki dumy. Spojrzał na mnie, kiwnął głową.

— Słyszałeś? Piśmienna. Naczytała się. No, dobrze! Do

rzeczy. Ty, Hryhoriju Wasiljewiczu, jesteś człowiekiem uczynnym, rozumiesz... Nie możesz tutaj być. Kto, co? U nas tutaj jest surowo, o naszej rodzinie jeszcze nie było plotek. Przygotuj się. Odwiozę cię w nocy do Ust'Kany. Tam sam zdecydujesz, dokąd i jak...

Westchnął, podreptał w miejscu, wyszedł. Ksenia, rzucawszy na mnie smutne spojrzenie, poszła za nim.

Leżałem samotny, rozmyślałem. Dokąd mam iść? Do kogo? W dalekim Piotrogradzie nie miałem nikogo bliskiego, całą Rosję ogarnął wichur walczy. Nie znajdę od razu prawdziwej drogi, zmiażdży mnie ten cyklon jak robaka. Pragnę ciszy, prostego i jasnego życia. Zagłębić się w siebie, pomyśleć... Jak tu pozostać, jak wejść w ten świat staroobrzędowców, jak zdobyć ich zaufanie?

Siedziałem pogrążony w rozmyśleniach aż do zmierzchu. Za oknami już zamigotały gwiazdy. Drzwi otworzyły się bezszelestnie, do pokoju wśliznęła się wysoka postać. Zaskoczony zerwałem się na równe nogi.

— Ksenia Afanasjewna?

— Cicho. — Zbliżyła się do mnie, położyła rękę na mojej dłoni. Przez moje ciało przepłynęła gorąca fala. — Odjedziesz od nas?

— Nie... Nie wiem. Twój ojciec każe. Przecież słyszałaś?

— A ty, Hryhoriju Wasiljewiczu... chcesz pojechać stąd?

Mierzyła mnie płomiennym spojrzeniem, a w jej oczach lśniły iskry. Wyszepiałem:

— Dobrze mi u was. Nie mam nigdzie nikogo...

— Czy jestem ci miła, Hryhoriju Wasiljewiczu? Taka jaka jestem, prosta, nieoświęcona? Nie dziw się, że pierwsza mówię. Pokochałam cię. Nie wiem dlaczego. Serce mi mówi, że jesteś mi przeznaczony. Jedyny. Czy pomyliłam się, powiedz?

Nie znane dotąd wzruszenie ścisnęło mi serce, szczerść dziewczyny roztkliwiła mnie, do oczu napłynęły łzy. Oto on — rozkaz losu. Pochyliłem się i z wdzięcznością ucałowałem jej rękę.

Pocałowała mnie namiętnie, pobiegła do drzwi. Stała na chwilę.

— Ojciec zaprzęga konie. Zatrzymam go. Zaczekaj, przyprowadzę go...

Po kilku minutach gospodarz już był w moim pokoju. Wszedł z płonącym łuczywem, wetknął je w szparę. Przeszył mnie surowym spojrzeniem.

— Tak szybko? Co to ma znaczyć, Hryhoriju Wasiljewiczu? Jak to rozumieć?

— Miło mi tu u was — odrzekłem głucho. — Nie mam dokąd pójść. Wiem, że wasza Ksenia godna jest lepszego ode mnie. Ale będę dla niej szczerym przyjacielem. Nie ma w tym żadnego wyrachowania, Afanasiju Hryhorowiczu. Nie ma oszukaństwa. Sądźcie, jak uważacie...

— Ojcie — odezwała się Ksenia zza ramienia ojca. — Moje serce tak każe. Nie stawaj na przeszkodzie!

— Milcz! — przerwał jej groźnie ojciec. — Serce! Dużo ty o nim wiesz? A może jest bezbożnikiem? A ty jesteś dawnej głębokiej wiary. Mów otwarcie, jak przed Bogiem, wierzysz czy nie?

— W jakiego Boga, Afanasiju Hryhorowiczu? — spytałem poważnie. — Przecież nie ma jednego Boga?

— Jak to nie ma jednego? — krzyknął zaskoczony gospodarz. — Jak śmiesz bluźnić? Stwórca wszystkiego jest jeden. A Syn Jego — Zbawiciel świata — również jeden.

— Dlaczego więc ludzie nienawidzą się z powodu wiary? — zapytałem smutno. — Wszyscy wierzą w jednego Boga. Wszyscy chrześcijanie — w jednego Chrystusa. I mordują się wzajemnie w imię Zbawiciela. Czy Nikon i car Piotr nie zagnał was do dalekiego Ałtaju w imię Chrystusa? A wy — czy nie broniliście swojej wiary w imię tego samego jedyne Boga?

— To jest herezja Nikona — odpowiedział niepewnie gospodarz. — Strześliśmy starej wiary przadków naszych...

— Na czym ona polega? — westchnąłem. — Na kładzeniu znaku krzyża za pomocą dwóch palców, na różnicy kilku mniej ważnych obrzędów. Spójrzcie, Afanasiju Hryhorowiczu, na całą Ziemię. Tysiące sekt głosi prawdę, miłość, zbawienie i przegryzają sobie nawzajem gardła w imię Boga jedyne. Gdzie jest Jego głos, gdzie jest Jego wola, gdzie jest ręka wszechmogącego i kochającego Stwórcy świata? Dlaczego stworzył taki straszny, pełen cierpienia świat?

— Taka jest wola Boska — przerwał mi surowo gospo-

darz. — Nie wolno narzekać, nie wiemy dlaczego i po co. Ty mi najpierw powiedz, do czego się nadajesz, przejdź po ziemi jako człowiek — a dopiero potem pytaj. Trzeba cierpieć, modlić się, czekać i dziękować...

— To jest niewola — zaprzeczyłem. — A Chrystus powiedział: „Jesteście jako bogowie”. Afanasiju Hryhorowiczu, przecież nie ulegliście władzy zwierzchniej, jak nakazywali apostołowie, lecz zbuntowaliście się przeciw Nikonowi i Piotrowi, uciekliście na dalekie ziemie. Wasi przodkowie nie chcieli być niewolnikami. Męstwem i pracą ożywili te dzikie obszary, nie lękając się klątwy Cerkwi i Boga...

Gospodarz milczał. Dostrzegłem w jego oczach wyraz aprobaty. W jego duszy toczyła się walka. Westchnąwszy ciężko, powiedział:

— Musisz jechać do Białowodów. Tylko tam. Tam znają prawdę, tam znają prawdziwego Boga...

— Białowody? Co to jest? Gdzieś słyszałem tę nazwę. Czytałem w jakiejś książce...

— Białowody to królestwo prawdy — rzekła cicho Ksenia. — Mieszkają tam wysłańcy niebios. Nasi wybierają się w drogę do tego królestwa...

— Bajka — powiedziałem z uśmiechem. — Kseniu, wierzysz w to naprawdę?

— Wierzę. Wiem...

Ojciec zakaszłał, na ścianie zakołysał się jego cień.

— Zaczęliśmy od czegoś innego i kończymy czymś innym. Hryhoriju Wasiljewiczu, prawdę mówiąc — przypadłeś mi do serca. Nie naszej wiary, obcy, ale polubiłem cię. No cóż, wiara — to twoja sprawa. Kochajcie się, stwórzcie parę małżeńską. Ale po Bożemu. Ślub jeszcze dziś w nocy. Zgoda?

Z wdzięcznością pochyliłem przed nim głowę.

— A o Białowodach pomówimy później. Usłyszysz coś jeszcze. Przybył tu do nas pewien mnich, gromadzi ludzi. Sam zobaczysz. Kseniu, ubierz się, jak należy. Daj narzeczonemu moje nowe ubranie. Ja pójdę do ojca Michała...

...Szliśmy ulicami uspiętej wsi. Niby świeceki weselne płonęły nad górami jaskrawe gwiazdy, kępy ciemnych

modrzewi i sosen witały nas kołysząc koronami. Było uroczyście i cicho. Trzymaliśmy się za ręce, odczuwaliśmy tchnienie tajemnicy, która złączyła nas niewidzialnymi nićmi w gmatwaninie życia.

W starej kaplicy czekał na nas ojciec Michał, przewodnik duchowy staroobrzędowców. Był cały biały. Długie białe włosy, biała broda, wiechcie białych brwi. Przywitał nas życzliwie. Kazał stanąć przed ciemnym wizerunkiem Chrystusa. Pod ikoną znajdowała się duża czerwona czara, unosił się nad nią płomień. Twarz duchownego zbliżyła się do mnie, jego oczy spoglądały jasno i przyjaźnie.

— Kochasz ją?

— Kocham — wyszeptalem.

— Dobrze, moje dziecko — rzekł ojciec Michał. — A ty, Kseniu, czy kochasz, czy dobrowolnie chcesz zostać jego małżonką?

— Kocham, ojcze.

— Dobrze, dzieci. Bóg jest miłością. Niechaj więc połączy was miarą miłości waszej. Strzeżcie miłości. Wszystko inne ułoży się...

Odmawiał szeptem jakąś modlitwę, a ja stałem obok mojej żony. Byłem szczęśliwy. Odczuwałem wielki spokój wewnętrzny, nie myślałem o niczym innym prócz Kseni.

Przed ikonami migotały świece, pachniało woskiem. Chrystus patrzył na mnie surowo. I gdzieś w głębi mojej świadomości rodziło się przeświadczenie, że dziś wchodzę w nową strefę życia, na nową, nieznaną drogę...

Żona kochała mnie czule i gorąco. Byłem szczęśliwy. Współ z Afanasijem Hryhorowiczem zaczęliśmy układać nad strumieniem nowy zrab pod chatę. Ksenia pomagała nam. Przychodzili brodaci kierzący z innych gospodarstw, a wówczas praca szła szybciej.

Moja żona chodziła czasami na jakieś zebrania religijne. Doszły mnie wieści o mnichu-kaznodzieji, który wzywał na pielgrzymkę do Białowodów. Wciąż jeszcze nie traktowałem tych wieści poważnie. Lecz oto pewnego razu Ksenia przyszła na budowę i zawołała mnie. Patrzyła mi w oczy błagalnie.

— Co ci jest, Kseniu? — spytałem cicho. — Jakaś dziwna jesteś ostatnimi dniami. Co się stało?

— Idę do Białowodów, drogi mężu — powiedziała wzruszona. — Nie mogę postąpić inaczej. Zrozum. Tam jest prawda, tam wolność. Tam wiedzą, po co żyje człowiek. A ja tylko o tym myślę. Nie mogę nie iść...

— A ja?

— Właśnie tym się trapię, Hryhoriju. Martwię się o ciebie. Bo kocham — i bez ciebie żyć nie mogę. Chodźmy razem. Co nam po tej chacie? Co nam da powszednie życie? Raczej umrzyjmy w drodze do Białowodów, ale będziemy wiedzieć, że szukaliśmy prawdy...

— A jeśli to jest tylko fantazja, Kseniu? Bajka zmyślona przez ludzi dla pocieszenia, dla oszukania duszy? Co wówczas?

— To nie bajka — rzekła gorąco Ksenia, ściskając moją dłoń. W jej oczach błysnął fanatyczny płomień.

Udzielił mi się ten żar. Milczałem, patrzyłem na żonę, w mózgu wirował huragan myśli. Przepłynęły obrazy przeszłości. Dyskusje z magistrem, Piotrogród, choroba. Zapomnienie. Tajemniczy wybawca... czy urojenie? Niezwykle znów wdzierało się do mojego życia, łamało ustalony ład, rzucało na poszukiwania. Dokąd? Po co?

— Zaprowadź mnie do niego... do tego mnicha — poprosiłem Ksenię. — Chciałbym sam posłuchać...

I oto przestąpiliśmy próg niskiego starego domostwa. Mieszkał tu najstarszy we wsi staroobrzędowiec Artamonow. Ukończył już sto trzy lata. Podobno w dawnych czasach odwiedził Białowody. Właśnie u niego zamieszkał brodaty kaznodzieja, wzywający ludzi na wędrówkę do świętej krainy.

Na niskich ławach siedzieli mężczyźni, kobiety, dzieci. W kącie, za stołem, widać było postać kaznodziei. Czarna sutanna osłaniała chude ciało, spod nachmurzonych czarnych brwi patrzyły bacznie i czujnie zmęczone oczy. Mnich spojrział na mnie, lecz nie przerwał opowieści. Usłyszałem ostatnie słowa:

— ...i tam, za wielkimi jeziorami, w dalekich górskich krainach, trwa niewzruszone królestwo prawdy. Nazywa się — Białowody. W niepamiętnych czasach zostało przyniesione z nieba na ziemię, by dopomagać poszukiwaczom miłującym prawdę. Tam rozkwita sprawiedliwość,

nie ma popów i carów. Wiara jest czysta, płynąca z serca, z duszy. Mieszka tam wieszczą mądrość i wielka wiedza. A wszystko to dla dobra ludzi...

W jego głosie brzmiało głębokie przekonanie i wiara. Nie wytrzymałem, zapytałem:

— Wybaczcie, ojcze... A kto tam był, w Białowodach? Gdzie są świadkowie? To jest tak cudowne, że człowiek nie może pozostać obojętny... Ale by iść tak daleko — trzeba mieć pewność...

Obok kaznodziei siedział bardzo stary siwy dziadek. Odchrząknął, osłaniając wyschniętą ręką pomarszczone, bezzębne usta, uśmiechnął się do mnie i powiedział cicho:

— Byli, gołąbeczku, ludzie w Białowodach... Aha, byli... Ot, ja byłem, na przykład, jeśli chcesz wiedzieć... Ja. Byłem z nieboszczykiem Atamanowem, niech mu Pan ześle zbawienie!...

Patrzyłem nań zdumiony; wierzyć mu czy nie wierzyć. A dziadek, ogarniając obecnych ciepłym spojrzeniem, ciągnął dalej:

— Nasz gość mówi prawdę — wiercie mu. Od dawien dawna nasi ojcowie i dziadowie słyszeli o Białowodach. Słyszałem i ja. Ehe, będzie temu lat sześćdziesiąt. Zebrało się nas sześciu. Skusiły nas Białowody — chcieliśmy zobaczyć świętych ludzi, posłuchać ich, nauczyć się pobożnego życia. Poszliśmy... Między Irtyszem i Argunią... a dalej, jeśli znasz drogę, trafisz do słonych jezior. Miejsce szkodliwe, zgubne... Zginęło tam mnóstwo ludzi. Lecz poszczęściło się nam: mieliśmy dobrych przewodników. Ominęliśmy jeziora, dotarliśmy do gór Bohorsze... Trudna to była przeprawa, ale podołaliśmy. Przeszliśmy przez Kokuszki. A stamtąd ruszyliśmy przez Jerhor do najwyższego w świecie królestwa śnieżnego. Za nim — święta dolina, starożytna, odwieczna... Królestwo prawdy... Szliśmy dwa lata. Czterech umarło. Ja i Atamanow doszliśmy. Przyjęto nas dobrze, pokazano wiele cudów...

— Jakież to cuda? — zapytałem.

— Ludzie. Podobni do naszych. A niektórzy — niepodobni. Uprzejmi, dobrzy, piękni. Prosta odzież. Milczą-

cy. Wszyscy pracują, pracują. Jeden zbiera kwiaty, inny coś buduje. A inni znów latają na ptakach niebieskich...

— Na jakich ptakach? — zapytałem zdumiony.

— No... nie na takich, jakie my widzimy — uśmiechnął się starzec — lecz na sztucznych... Podobne do sań, bez kół. Same podnoszą się, po cichu...

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał. Oczy ludzi błyszczały z cichej radości. Ksenia uściśnęła gorąco moją dłoń. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Nie wierzyć starcowi? Nie ma podstaw. Uwierzyć? A jeśli to halucynacja, skutek wieloletnich wędrówek?

Kaznodzieja podniósł się zza stołu, podszedł do mnie, zapytał cicho:

— Pan, zdaje się, nietutejszy?

— Z Piotrogradu. Życie mnie tu rzuciło...

Spojrzał mi w oczy uważnie i życzliwie.

— Rozumiem. Uczony? Inżynier? Nauczyciel?

— Medyk. Dlatego nie mogłem tak od razu... Rozumiecie?

— Rozumiem. Ja też nie jestem mnichem. Podróżowałem z Przewalskim. Właśnie wtedy usłyszałem o Białowodach. Ale pomówimy wieczorem spokojnie, otwarcie. Niech pan przyjdzie. Albo ja do was...

Ksenia podziękowała skinieniem głowy, szepnęła:

— Zapraszam z całego serca. Będziemy bardzo radzi...

I oto nadszedł wieczór. Kaznodzieja siedział w naszym pokoju. Miał tylko dwóch słuchaczy: Ksenię i mnie. Dotknął palcami gętych pędów mięty, delikatna woń uniosła się w powietrzu, oczyszczając umysł. Gość westchnął głęboko, mrużąc oczy z zadowolenia.

— Czy zwrócił pan uwagę, że niemal w każdej chacie staroobrzędowców znajduje się mięta? I kwiaty. To dawna wiedza, o której współcześni kierzący zapomnieli, ale tradycja pozostała. Mięta doskonale dezynfekuje powietrze. To środek przeciw influency, od bólu głowy, doskonały kompres na opuchliznę. Wie pan o tym? Tym lepiej. Nie będziemy odbiegać od tematu. Przede wszystkim — poznamy się. Nazywam się Jurij Siergiejewicz. Reszta nie ma znaczenia. Nazwisko, tytuły — to wszystko należy do przeszłości. Ona zaś nie wróci, więc to wszystko jest niepotrzebne. Posłuchajcie o Białowodach. Pan jest naukowcem, lekarzem, człowiekiem wykształconym,

dlatego nie przyjmie pan do wiadomości legendy o świętej krainie bez oporów... Panu potrzebne są dowody... lub wyjaśnienia...

— Tak, tak — podchwyciłem. — Dość już było iluzji, dość barwnych legend. Czy nie nazbyt wiele tych zamków powietrznych?

Twarz Jurija Siergiejewicza posmutniała, opuścił powieki, splótnął palce, milczał, jakby przysłuchując się niedosłyszalnemu głosowi. Ksenia zastygła, wstrzymała oddech, spoglądając na mnie z wyrzutem.

— Może i słusznie — odezwał się w końcu nasz gość. — Może pan ma rację... To wszystko zależy od tego, czego człowiek pragnie. Przypomnę panu starą przypowieść tybetańską. Człowiek szukał Majtrei. Szukał dwanaście lat, nie znalazł. Chciał już wrócić do domu, kiedy napotkał starego dziadka. Dziad piłował końskim włosom gruby kloc i powtarzał: „Choćbym miał piłować całe życie, to jednak przepiłuję”. Na widok takiej cierpliwości poszukiwacz zawstydzził się. I zaczął na nowo poszukiwać Majtrei. I wówczas ukazał mu się Majtreja Budda, siadł mu na ramionach i rzekł: „Chodźmy między ludzi, na bazar”. Przyszli na bazar. Ludzie rozbiegli się w różne strony, wołając: „Co za cuchnącego psa niesiesz na ramieniu?” W ten sposób można miast Buddy ujrzyć ohydnego psa, zależnie od tego, jakimi oczami człowiek patrzy na świat, czego pragnie...

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem potakująco głową.

— Przypowieść jest jasna. Wszyscy religianci, wszyscy sekciarze, ortodoksi zrobili ze swoich bogów tyranów i despotów, molochów, które pożerają ofiary i piją krew. Lecz dość o tym. Juriju Siergiejewiczu! Chcę wiedzieć, co realnie stoi za tym pojęciem — Białowody? Jeden aspekt — staroobrzędowy — jest dla mnie jasny: poszukiwanie czystej wiary, poszukiwanie prawdy, dla zaspokojenia udreńczonej duszy... Ale inne, realne aspekty?

— Realne? Ma pan duże wymagania. To pojęcie jest niewymierne. Kto je przedstawi w całej pełni lub przynajmniej w połowie? Ja powiem, że wiem... prawie wszystko. Istnieją pewne domysły, hipotezy, przekazy...

— Jakie to dziwne — powiedziała Ksenia, patrząc z niepokojem na gościa. — Ludziom pan mówił co innego — teraz co innego... Czy prawda nie jest jedna?

— Prawda jest jedna — rzekł Jurij Siergiejewicz. — Jedna, Kseniu Afanasjewna. Lecz pojmowanie jej — różne. Opowiem wam o kilku zdarzeniach — osądźcie sami.

W średniowieczu często nadchodziły do papieży w Rzymie listy z Azji Środkowej. Pisma te piętnowały przestępstwa Cerkwi, ostrzegały. Podpisywał je prezbiter Iwan. Zapewne był to pseudonim. Papieże kilkakrotnie wysyłali poselstwa na spotkanie z Iwanem. Rzecz jasna, że wysłańcy nie mogli nikogo znaleźć. Jasne jest również, po co ich wysyłano... I dalej. Wśród narodów Europy, również w Rosji, krążyły legendy o indyjskim królu — kapłanie Iwanie...

— Czytałem coś o tym u Franka, który zbierał legendy ludowe...

— O, właśnie to. Legendy i przekazy stwierdzają, iż w dalekich Indiach istnieje królestwo prawdy, że rządzi tam Iwan, że ludzie są tam nieśmiertelni, a w królestwie — dzieją się różne cuda, dziwy. Skąd pochodzą te apokryfy?

— To marzenia ludzi o krainie szczęścia — powiedziałem. — Odwieczna idea o raj, o życiu bez trosk...

— Lud nie jest taki głupi, by marzyć o niebieskich migdałach. Ale przekazy o realnym wydarzeniu zachowuje w ciągu wieków, choć dawno już zapomniał o jego sensie. Niech pan sobie przypomni bajki i legendy wszystkich ludów o dzinnach i dewach, którzy zjawiają się i znikają nagle, latają w przestrzeni, widzą wszystko wszechwidzącym okiem. Proszę sobie przypomnieć ogniste smoki, które napotyka się niemal we wszystkich bajkach. Niech pan weźmie pod uwagę wszystkie przekazy religijne o cudownym mieście Syjon na górze, o Nowej Jerozolimie, o mieście Kiteżu, które znikło bez śladu. Proszę wspomnieć opisy Ezechiela, który bardzo dokładnie przedstawił wygląd niebiańskich gości: ciała pokryte lśniącem metalem, coś na kształt kryształowego otoku dokoła głowy, skrzydła, na których podnoszą i opuszczają się te istoty, koła z oczami z przodu i z tyłu, promienie oświetlające drogę tym wysłańcom, latające chmury pełne niewiarygodnych dziwów...

— Przypominam sobie — odparłem w zadumie. — Czytałem kiedyś. Ale nie przywiązywałem do tego zna-

czenia. Uważałem to po prostu za mglistą symbolikę starożytności...

— Nie ma pustej symboliki. Każdy symbol stworzony został dla zamaskowania treści lub jej uogólnienia. Algebraiczny znak ducha. Dla ludzi niepiśmiennych symbole matematyczne są również absurdem. Przypomnę panu jeszcze opisy z Apokalipsy... Autora tych zapisów spotykają potężne istoty. Pamięta pan? Drzwi do nieba są otwarte, zapraszają go, by wszedł. Wchodzi i widzi siedzącego na tronie, dokoła Niego ludzie w białych szatach. Przed nimi jakby szklane morze, podobne do kryształu, cztery istoty pełne oczu z przodu i z tyłu. Janowi pokazują w tym kryształach różne widzenia: co było i co ma być na Ziemi. Zastanawiałem się nad tymi groźnymi przepowiedniami — czy nie można przypuszczać, że wszystkie te legendy i bajki są odgłosem spotkania naszych przodków z potężnymi wysłaniami dalekich światów...

— To znaczy...

— To znaczy z mieszkańcami innych planet. Wiem, że dla pana to może brzmieć dziwnie, nieprawdopodobnie. Mieszkańcy innych planet mogli pokazać ludziom, jaka ich oczekuje przyszłość, jeśli nie zmienią trybu życia: katastrofy, upadki, śmierć. I na odwrót — jeśli zapanuje braterstwo — inne wizje: nowe życie, bez świątyń, bez bogatych i biednych, bez chorób i nieszczęść. Wiem — z takiej hipotezy śmiać się będą zarówno popi, jak i uczeni-ortodoksi. Zresztą proszę sobie przypomnieć Ciołkowskiego. Czytał pan jego prace?

— Czytałem. Jeszcze podczas studiów uniwersyteckich. Nazywano go wówczas wariatem...

— Nic dziwnego. Ludzie gotowi są uznać efemerydę — tyrana niebieskiego, historycznego, niekonsekwentnego, groźnego Jahwe, gotowi są czcić najstraszniejsze potwory... ale nie zgodą się z istnieniem mądrych i ludzkich istot obok nas, na innych planetach. Dziwne to i smutne. Niech pan słucho dalej. Proszę zwrócić uwagę na legendy wschodnie, przekazy, apokryfy. Hindusi wierzą twar-do, że w Himalajach mieszkają bogowie. Mówią o tym Wedy, Purany, Mahabharata. Cała Azja wie o Shambali lub Kalapie...

— Shambala — powtórzyłem. — Królestwo niebieskie.

Szweta-Dwipa. Wyspa światła, która unosi się w przestworzach. Słyszałem o tym. Czytałem. Mieszkają tam Kumaczy, nieśmiertelni asceci, którzy powstali przeciw Brahmie, najwyższemu bogu...

— O, widzi pan. Pan to zapamiętał. Jeszcze jeden obraz Prometeusza. Buntownicy przeciw ślepemu prawu przyrody, rewolucyjne siły rozumu. Dlaczego wszystkie narody patrzyły na Wschód, mówiąc o siedzibie istot niebiańskich? Czemu wskazywano na najwyższe góry? Nawet nasze legendy o tytanie Światogorze, który skamieniał w wąwozach górskich? Czyż one nie mówią o tym samym? I wreszcie Białowody... Ja wierzę staremu Artamanowowi. Oczywiście, staruszek nie może nam opowiedzieć nic konkretnego. Przeszedł, poszedł nie jako uczoney-badacz, lecz jako fanatycznie wierzący. Ale i jemu nie pokazano wszystkiego. I nie pozwolono mu zostać, chociaż prosił o to. Zrozumiał pan? Otóż, nie każdy może się tam znaleźć...

— Jakież więc sens ma ich pobyt na planecie?

— O, wielki. Wykazać, że nie ma bajek o królestwie dobra i prawdy. Nie ma legend o cudach, o dobrych tytanach. Nie ma postaci Prometeusza, który natchnął tylu twórców. A kto powie — co oni zrobili, a czego nie zrobili? Hryhoriju Wasiljewiczu, nie będę panu przekazywać wszystkiego... wszystkiego nie da się powiedzieć słowami. Powiem tylko jedno: od chwili, kiedy usłyszałem o cudownej krainie w Himalajach — stało się to jeszcze podczas ekspedycji — nie zaznałem już spokoju. I w dzień, i w nocy marzę o spotkaniu z dziwnymi przybyszami. Nie dla siebie, lecz dla ludzi. Nie wiem, czy dotrę do celu... a nie mogę nie iść. Więc wzywam ludzi, by szli ze mną razem. Droga jest daleka, niezbędni są przyjaciele. Tacy, którzy wierzą. Pan wie, uczeni to przeważnie sceptycy. Niekiedy lepiej mieć do czynienia z prostymi ludźmi. Właśnie o to tutaj chodzi, rozumie pan?

Ksenia położyła rękę na piersi, westchnęła z ulgą.

— Słuchałam pana, słuchałam... niby jakiejś baśni. Nie wszystko rozumiem. To bardzo mądre, ale radosne. Istnieją Bałowody? Czy dobrze rozumiałam?

— Istnieją, Kseniu Afanasjewna — roześmiał się gość. — Nie szkodzi, że pani nie rozumiała wszystkiego. Pani serce dawno pojęło prawdę, która, jak dobro, jest jedna.

Droga jest długa. Po drodze nauczymy was wielu rzeczy, dojdzie pani do Białowodów jako kobieta wykształcona. Zgoda?

— Bardzo tego pragnę...

— No, to doskonale. A teraz do rzeczy. Miło mi, że spotkałem na drodze naukowca, przyjaciela. Wiemy, czego szukamy. A jeśli wyżyjemy — przekazemy naszą wiedzę ludziom. Nie mistyczne domysły, lecz fakty naukowe. Hryhoriju Wasiljewiczu, jak pan decyduje? Pójdziemy razem?

Nie wahałem się długo. Na co mi życie pozbawione treści? Kseni nie zatrzymam, bez niej nie ma dla mnie życia. Wrócić? Dokąd? Kocham swój naród. Chcę mu służyć. Los zsyła mi niezwykłą okazję. Jestem naukowcem. Pójdę za tym wezwaniem. Może na tej drodze będę pożyteczny dla ludzi...

Jurij Siergiejewicz wyciągnął rękę. Ręka Kseni i moja spoczęły w jego dłoni...

Wyruszyliśmy w sierpniu. Ojciec błagał Ksenię, prosił, żeby pomyślała, czy warto iść do nieznanego kraju. Tu ziemia rodzinna, drogi sercu Ałtaj. Urodzą się dzieci, przyjdzie radość, życie wejdzie w zwykłą koleinę. Bóg życzy sobie, byśmy mieszkali i pracowali tam, gdzie się urodziliśmy...

— Nie, ojcze, nie — uparcie odpowiadała Ksenia. — Kto, jeśli nie Bóg, tchnął w moje serce pragnienie pielgrzymki do świętej krainy? Nie mogę, drogi ojcze, nie mogę tu zostać. Zmarnieję, zginę. Nie namawiaj...

Stary Łabędź pobłogosławił nas smutno. Bagaż załadowaliśmy na jucznego konia. Ze wsi, oprócz nas, wyruszyło jeszcze dziewięć osób. Ogółem ruszyło do Białowodów dwanaście.

Minęliśmy grzebień Katuński. Z przełęczy widać było oślepiające szczyty Biełuchy, błękitne fale gór. A dalej, na południu, widniały we mgle potężne masywy tajemniczych grzbietów górskich.

Sześć kobiet i trzech mężczyzn, którzy opuścili Multę, byli zajadłymi staroobrzędowcami. Na postojach gotowali

sobie oddzielnie posiłki, oddzielnie modlili się, mieli oddzielne naczyna. Szli w milczeniu, uroczyście, z fanatyzmem w oczach.

Nadeszła zima. Zatrzymaliśmy się na skraju pustyni. Najęliśmy się do pracy u osadników chińskich. Spadły śniegi. Rąbaliśmy w lasach wysokie, grube modrzewie, piłowaliśmy je, obciosywaliśmy twarde pnie pod nowe budynki.

Wiosną ruszyliśmy dalej, zaoszczędziwszy żywności i nieco pieniędzy. Jurij Siergiejewicz skierował karawanę na południowy wschód, by ominąć Dżungarię.

— Plemiona rozbójnicze — wyjaśnił. — I niebezpieczne bagna...

Powitała nas milcząca surowa pustynia. Wzgórza bez końca, gliniane urwiska, kamieniste zbocza. Gdzieniedzie saksauł, kłujące trawy, małe piękne oazy. Przy jednym z jezior zdarzyło się nieszczęście.

Zza wzgórz przygalopował oddział jeźdźców, z wyciem i gwizdem chwycił na arkan ludzi i konie. Rozbójnicy stepowi nie dali nam oprzytomnieć ani poskarżyć się i pognali nas w głąb pustyni.

Droga była ciężka. Nie będę opowiadać o wszystkim. Starczyłoby na wiele dni. Trzy kobiety i dwaj mężczyźni z grupy staroobrzędowców zmarli w drodze z pragnienia. Jeźdźcy bezlitośnie rzucili ich zwłoki w wąwozy skalne, nie pozwolili nawet pochować zmarłych.

Po dwóch tygodniach przygnano nas do dziwnego miasta wznoszącego się wśród piasków pustyni Gobi. Jurij Siergiejewicz zdziwiony szeptał:

— Proszę zwrócić uwagę, to nie ruiny starożytnego miasta. Nowe budownictwo. Niepojęte... Komu potrzebne są piramidy egipskie w dwudziestym wieku

Wkrótce dowiedzieliśmy się o władcy tego strasznego gniazda. Był to słynny rozbójnik Dze-lama, wykształcony Mongoł, książę. Jego życie osłaniała jakaś tajemnica. Studiował na uniwersytecie w Petersburgu, siedział w carskich więzieniach, rabował na bezdrożach pustyni, a teraz, zebrawszy zgraję zwolenników, zaczął budować miasto pośrodku Gobi. Zapędził do pracy ludzi, skąd tylko się dało — z karawan, z mongolskich ułusów, z aułów ojrockich. Nas zmuszano również do budowania dziwacz-

nych pałaców, połączonych wałami obronnymi jak prawdziwa twierdza.

Nadzorcy byli bezlitośni, okrutni. Pracowaliśmy pod palącym słońcem po osiemnaście godzin, cierpiąc głód, dusiliśmy się od żaru i pragnienia. Ksenia, leżąc pod gwiaździstym niebem za kamiennym ogrodzeniem, szepotała żałośnie:

— Jak to się stało, Hryhoriju, jakże to, mój drogi? Szliśmy do Białowodów, a trafiliśmy do szatańskiego gniazda... Czy mamy tu zginąć?

— Wytrzymamy, Kseniu Afanasjewna — mówił pochmurnie Jurij Siergiejewicz — płacz tu nie pomoże. Czy nie widzicie, z kim mamy do czynienia? Dzicz, kaci. Gdyby udało się nam zobaczyć z Dże-lamą! Może on nas wypuści? Przecież to człowiek wykształcony...

Nadszedł taki dzień. Dże-lama dokonywał obchodu murów swojej twierdzy. Budowa była już na ukończeniu. Zatrzymał się przy nas, pewnie zwrócił uwagę na nasze europejskie twarze. W jego wąskich oczach zabłyśły czarne ognie, na surowym, śniadym obliczu Dże-lamy ukazał się wyraz zaciekawienia.

— Kto? skąd? — zapytał po rosyjsku. — Rosjanie?

Jurij Siergiejewicz odłożył kamień, który wciągał na mur, i podszedł do rozbójnika.

— Sławny Dże-lamo — powiedział. — Czekaliśmy długo na ciebie...

— Po co? — uśmiechnął się ironicznie Dże-lama.

— Chcemy cię prosić, żebyś nas zwolnił. Popracowaliśmy już dla ciebie. Kobiety opadły z sił, my też jesteśmy zupełnie wyczerpani...

— Dokąd szliście? Kim jesteście?

— Te kobiety i ci mężczyźni to staroobrzędowcy z Ałtaju. Ja i ten człowiek — wskazał na mnie — jesteśmy Rosjanami. Szliśmy do Białowodów...

— Do Białowodów? — Dże-lama wyszczerzył zęby w uśmiechu. — A co to takiego?

— Shambala. Kalapa — wytłumaczył Jurij Siergiejewicz. — Święte miejsce Azji. Szliśmy, by spotkać się z wielkimi Arhatami...

Twarz Dże-lamy zachmurzyła się, ukazał się na niej złowieszczy grymas.

— Czego wy szukacie, głupi cudzoziemcy, na pusty-

niach górskich? Do czego wam potrzebni mistyczni Arhaci? Gdzie i komu pomogli oni w ciągu wieków? Siła to jedyna nadzieja. Szabla w ręku, pika. Jestem blisko Tybetu, waszego „świętego” miejsca, lecz — jak widzicie — polegam na własnych siłach. Pośród pustyni wyrośnie miasto Dże-lamy, przyjdą tu złożyć hołd wszystkie okoliczne plemiona! Tu powstanie nowe mocarstwo! Ja mam wojsko, potrzebni mi będą ludzie wykształceni. Porzućcie marzenia o Shambali, spójrzcie trzeźwo na życie. Widzę po waszych oczach, że nie jesteście zadowoleni z mojej odpowiedzi. Zastanówcie się — tak czy inaczej nie wydobędziecie się stąd. Albo śmierć — albo praca dla wielkiego Dże-lamy!...

Pozostawił nas w rozterce, zgnębionych, zmaltretowanych.

Zaczęły się nowe dni poniewierki, niewolniczej pracy.

Ocalił nas szczęśliwy przypadek...

Pewnego dnia przyjechał do twierdzy Dże-lamy oddział żołnierzy mongolskich. Powitali ich rozbójnicy Dże-lamy. Mongolski oficer wyjaśnił, że przywiózł od rządu dywan jako znak przyjaźni i życzliwości dla słynnego wodza Dże-lamy.

Oficera przyjęto serdecznie jak drogiego gościa. Lecz pod dywanem ukryta była broń. Groźny rozbójnik zginął od kul. Wybuchła walka. Korzystając z zamieszania uciekliśmy. W nocy byliśmy już daleko, w górach, i zmierzaliśmy do Tybetu. Pozostało nas tylko sześciu spośród tych, co wyruszyli z Ałtaju, przyłączył się do nas pewien tybetański buddysta, który obiecał, że zaprowadzi nas do świętej krainy.

Nasza odzież zamieniła się w szmaty, wychudliśmy. Jedliśmy to, co udawało się dostać za resztki pieniędzy, ukrytych przed rozbójnikami. Następnego lata przeszliśmy przez ogromny Ałtyn-tag, znaleźliśmy się przed Koko-szili.

Buddysta spoglądał wesoło na śnieżnobiałe szczyty, nucił jakiś hymn i ciągle powtarzał:

— Już niedługo. Już blisko są święte miejsca. Czujecie? To wonie Kalapy...

Zatrzymaliśmy się, wdychaliśmy aromat górskich kwiatów płynący nad nami. Kobiety-kierzaczkę płakały ze szczęścia, żegnały się.

Zatrzymywaliśmy się na postój w klasztorach zbudowanych na skrzyżowaniach ścieżek karawanowych i dróg. Widzieliśmy mnóstwo lamów, tysiące wiernych, którzy z poświęceniem pracowali na tę armię nierobów. Byliśmy świadkami dziwacznych procesji i zwyczajów, jeszcze straszniejszych i wstrętniejszych niż nasze. Sekt było w Tybecie bez liku. Większość wyznawała jakąś ciemną wiarę w czary, sięgającą do najdzikszych obrzędów starożytności. Dziwiliśmy się, pytaliśmy naszego tybetańskiego przewodnika:

— Na wschodzie istnieją wielkie filozofie. Gdzieś niedaleko stąd znajduje się twierdza prawdy, wiedzy, a dookoła panuje ciemnota, fetyszym. Jak to wytłumaczysz? Dlaczego wśród buddystów jest tyle sekt? Czy Budda nie był jeden? Czy Budda głosił takie obrzydliwe tradycje?

Buddysta uśmiechnął się chytrze i odpowiedział:

— A czy Chrystus nie był jeden?... Czy głosił inkwizycję, podział swoich wyznawców na różne Kościoły, na tysiące sekt? Czy nie rozumiecie, że natura człowieka jest wszędzie jednakowa? Jacy są ludzie — takie tworzą sobie bóstwa. Gautama w ogóle zaprzeczał istnieniu Boga. Pragnął, by ludzie o własnych siłach dochodzili do wiedzy, do zrozumienia swojego miejsca w kosmosie. Nasze tradycje przekazują słowa Buddy. Surowo oskarżał braminów o oszustwo, o szarlatanerię. Nauczał ludzi, by nie polegali na jakichś istotach wyższych, lecz kroczyli własnymi nogami po ziemi, oczyszczając się z brudu duchowego, dopomagali innym, kochali swoich przyjaciół. A kapłani zrobili z człowieka Boga. No cóż, każdy kształtuje samego siebie, każdy wybiera swoją drogę. Nie chcieli mieć Buddy-człowieka, niech oddają cześć Buddzie-despocie niebiańskiemu. Więc nie dziwcie się, że obok świętej krainy panuje ciemnota. Gdzie jest wielkie światło, tam obok niego pełźnie mrok...

Jurij Siergiejewicz słuchał buddysty, wypytywał go. Mnie już to nie ciekawiło. Zamknąłem się w sobie, żyłem tylko nadzieją: a może jednak odsłoni się przede mną cel naszych poszukiwań? Jeden promień bajki może wyrównać wszystkie straty poniesione na ciężkiej drodze...

Mijał drugi rok naszej wędrówki. Przed nami wyrosły grzbiety Transhimalajów. Jurij Siergiejewicz rozchorował się ciężko, zmarli mężczyźni-starooobrzędowcy, dwie ko-

biety. Tylko Ksenia szła bez słowa obok mnie, nie skarżąc się, nie żaląc się na swoje zdrowie. Jej twarz wychudła, rysy zaostrzyły się. Oczy zapadły się głęboko, pociemniały. Dobrze również znosiła trudy wędrówki kierzaczka Maryna — niewysoka mocna kobieta.

Zostawiliśmy Jurija Siergiejewicza w klasztorze. Kasłał mocno, na jego ustach ukazywały się czerwone plamy. Na pożegnanie uściśnął moją rękę i szepnął:

— Szkoda... Nie udało mi się... Złóż pokłon w moim imieniu. Powiedz, że umarłem w drodze do światła... I jeszcze jedno, Hryhoriju, pamiętaj o ojczyźnie. Służ jej. Co wiesz — przekazaj potomkom. Niech niosą legendę dalej i dalej... Bez legendy nie można...

Poszliśmy we troje za buddystą. Dokoła nas wyrastały szczyty okryte lodem i śniegiem, huczały potoki. Szliśmy przez chwiejne mostki nad przepaściami. W dole kłębiły się chmury, otchłań wzywała do siebie, zamierało serce.

Maryna opadła z sił. Serce tłukło się w niej jak ptak w klatce, nogi ugiwały się pod nią.

— Niegodna jestem ujrzeć Białowody — wyszeptwała. — Serce podpowiada, żebym tu została... Idźcie sami...

Pozostawiliśmy ją w rodzinie Nepalczyków, cudownych prostych ludzi. Nie pytali, dokąd idziemy i po co. Pewnie wiedzieli sami. Przyrzekli zaopiekować się kobietą.

W końcu w głębokim wąwozie opuścił nas buddysta. Powiedział na pożegnanie:

— Idźcie dalej tym wąwozem. Ja nie mogę. Jeżeli przeznaczone wam jest zobaczyć tajemnicę — dotrzecie do niej. A jeśli nie — powróćcie lepiej. Niech prowadzi was dalej wasz karman...

Ruszył w powrotną drogę. Pozostaliśmy z Ksenią sami wśród groźnych gór Himalajów. Do dziś ta droga wydaje mi się czymś nierealnym, marzeniem sennym...

Wąwóz stawał się coraz węższy. Skały stykały się wysoko nad naszymi głowami, zasłaniając słońce. Było ciemno i mokro. Cisza, straszne, nieprzeniknione milczenie otaczało nas, góry, wszystko dokoła.

Ksenia stanęła, oparła się o kamienną ścianę. Zamknęła oczy. Dyszała ciężko. Po jej policzkach spływały łzy.

— Hryhoriju, nie mogę... Serce mi pęka... Nie dojdę...

— Kseniu, kochanie, musimy iść, musimy spotkać kogoś, bo w przeciwnym razie...

— Co?

— Śmierć...

Ksenia uśmiechnęła się żałośnie.

— Czy boimy się śmierci? Wszystko jedno, i tak kiedyś umrzemy. Moje towarzyszkę umarły... Jurij Siergiejewicz jest umierający. Tylko bardzo pragnę choćby jednym okiem zobaczyć, jakie one są — te Białowody...

— Wezmę cię na rękę, Kseniu...

— Ty sam ledwie idziesz, kochany. Policzki ci zapadły, rękę jak patyczki... Odpocznijmy trochę. Rankiem ruszymy dalej.

Mgła była coraz gęstsza. Nie widać było nawet wąskiej ścieżki, którą szliśmy. Mleczna zasłona spowiła skały. Nie było innej rady, musieliśmy przenocować.

Znalazłem po omacku wgłębienie w skale. Położyliśmy się tam. Wsunąłem Kseni pod głowę torbę z ryżem i usiadłem przy mojej żonie. W mózgu kłębiły mi się widziadła. Łuny na horyzoncie, czarni jeźdźcy, błysk szabel, wybuchy, płaczące dzieci... Krzyże, krzyże... Miliony krzyży na obszarach ziemi... A na tle tych wizji ukazała się nagle biała postać. Wielkie jasne oczy, spokojne oblicze. I cichy głos: „Wszystko zależy od ciebie”. Dlaczego zjawia się ta dziwna postać tutaj, wśród gór?

Otworzyłem oczy. Ksenia leżała zwinięta w kłębek, była nieprzytomna, jęczała. Żal mi się jej zrobiło. Zdawałem sobie sprawę z tego, jak ciężką drogę odbyła moja żona. Pojąłem wielkość ofiary, jaką złożyła w imię dziwnej, tajemniczej idei. I zrozumiałem, że ta prosta kobieta miała duszę tytana. Walki duszy nie mierzy się jedynie wysiłkiem zewnętrznym — zasadnicze pojedynki toczą się w ciszy serc.

Gdzież ty, jasny kraju prawdy? Gdzie jesteście, Białowody? Świetlista Kalapo, stare marzenie narodów wschodnich, jak trudna ścieżka wiedzie do ciebie! Tak trudna, iż milionom ludzi wydajesz się nieuchwytnym widziadłem, zmyśleniem bazarzy i pieśniarzy...

Gdzieś we mgle zapiał kogut.

Zadrżałem, przetarłem oczy. W wąwozie jak przedtem płynęła szara mgła. Skąd ten kogut? Czy mi się zdawało? Czy to halucynacja?

Znowu rozległo się dźwięczne: Kukuryku!

Ksenia poruszyła się, wsparła na łokciu.

— Kogut — powiedziała nieśmiało.

— Więc to prawda, a nie urojenie. Ty też słyszałaś. Gdzieś blisko są ludzie. Chodźmy.

Zebrałiśmy nasze rzeczy, ruszyliśmy dalej. Mgła roz-
pływała się, podnosiła coraz wyżej. Wysoko nad wąwo-
zem grały na skałach różowe błyski. To pewnie weszło
słońce.

Z daleka napływał szum. Potężniał z każdą chwilą,
napełniając wąwóz potężną melodią siły. Wkrótce ujrze-
liśmy wodospad. Spadał z góry na ścieżkę, którą szliśmy.
groźnie bił w skały i spływał w przepaść.

Ksenia spojrzała na mnie.

— Dalej iść nie można...

Milczałem. Zastanawiałem się. Rozumiałem, że takiej
groźnej przeszkody nie potrafimy pokonać. Wiedziałem
również, byłem głęboko przekonany, że wodospad nie
znalazł się tu przypadkowo. Gdzieś w głębi serca sły-
szałem głos, który kazał czekać. Z powrotem i tak nie
można iść bez przewodnika. Droga wiedzie tylko na-
przód... Naprzód.

Usiedliśmy na kamieniu. Milczeliśmy. Wilgotne bryzgi
jak srebrna chmura wypełniały wąwóz, miarowy szum
potoku napawał spokojem. Ogarnęła mnie cicha radość.
Rozjaśniło się również oblicze Kseni. Zapytała mnie
szepem:

— Czy ty też dobrze się czujesz, Hryhoriju? Wydaje mi
się, że odpoczęłam... jakby mnie ktoś napoił radością...

Bez słowa uścisnąłem jej dłoń.

Szum wodospadu zaczął ucichać. Potok kurczył się,
szybko spływał w dół po kamieniach, wreszcie znikł.
Odsłoniła się ścieżka prowadząca do ciemnego skalnego
przejścia. Nie namyślałem się długo, chwyciłem Ksenię
za rękę i ruszyłem naprzód.

— Biegniemy!

— A jeśli tam nie ma drogi?

— Milcz! Biegniemy!

Ślizgając się po mokrych gładkach, mineliśmy miejsce,
w którym przed chwilą grzmiał wodospad, znaleźliśmy
się na suchej ścieżce. W tej samej chwili coś huknęło za
nami. Drogę odwrotu odciął groźny słup wody.

— Hryhoriju, to nie był zwykły wodospad, widziałeś?
Oni wiedzą o nas...

— Widzę, Kseniu, cicho... Serce mi zamiera...

Szliśmy powoli wąską dróżką. Małe kamyczki toczyły się spod naszych nóg, szeleszcząc spadały w przepaść. W końcu zatrzymaliśmy się przed nieprzebytą ścianą. Gęste zarośla zasłaniały stoki, nie widać było ani ścieżki, ani jakichkolwiek śladów.

Staliśmy przed górą bez sił, lecz pełni niewymownej nadziei. I nagle, nieoczekiwanie, umysł nawet nie zdążył pojąć, kiedy i jak, ukazała się na tle skały jakaś postać. Wysoka, spokojna, wspaniała. Rozległ się cichy, lecz wyraźny głos:

— Przyszedłeś. Męstwo i pragnienie wzięły górę. Wejdz do tajemnicy.

Nie byłem w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Drżałem cały jak w febrze, jakby przeze mnie przepływał potok niezwyklej energii. Nieznajomy uśmiechnął się życzliwie.

— Pozbądźcie się strachu. Jesteście wśród przyjaciół...

Dotknął skały dłonią. Poruszyła się olbrzymia bryła granitu. Za nią ukazało się czarne przejście. Wionął stamtąd zapach kwiatów czy ziół.

— Chodźmy.

Nieznajomy przyjaciel wziął mnie za rękę. Ksenia trzymała się mnie. Weszliśmy do podziemnej jaskini. Granitowa bryła wróciła z hałasem na dawne miejsce. Zapadła ciemność...

Nie mam słów, by przekazać wszystko, co stało się później. Wyszliśmy z podziemia na przełęcz. Dokoła białe śniegi, lodowe wierzchołki gór. A w dole leżała cudowna dolina z baśni. Nad jeziorem zieleniały cedry, potężne dęby. Widać było kilka monumentalnych budynków z czarnego kamienia, zlewały się z tłem gór. Po ścianach wily się rośliny o różowych i błękitnych kwiatach. Błyszczały nieznane przyrządy sferyczne. Nad doliną latało dziwaczne stworzenie czy może aparat podobny do dysku.

— Białowody — wyszeptła Ksenia z ręką na piersi. — Panie, za co taka radość? Czy sobie zasłużyłam?

Przewodnik bacznie i ze smutkiem spojrzął na zmize-

rowaną twarz Kseni, na jej poranione nogi i westchnąwszy odpowiedział:

— Zasłużyłaś, niewiasto. Szczerością, pracą, męstwem. Chodźmy...

Zaczęliśmy schodzić w dół...

Kilka dni odpoczywaliśmy, spaliśmy, piliśmy pachnące mleko jaków, jedliśmy wonny chleb. Można było wychodzić, ale z budynku, w którym pozostawił nas przewodnik, nie widać było nic prócz małego gęstego lasu i lśniącego potoku.

Ksenia zachorowała. Zaczęły się bóle głowy, gorączka. Ja odczuwałem również, że w tej dolinie działają jakieś potężne energie nie znane dotąd ludziom. Może niezwykła radioaktywność? Może nieznanym magnetyzm? Lecz kim są oni, dziwni ludzie, czemu się nie pokazują? Dlaczego nie wyjaśniają tajemnicy?

W końcu doczekałem się nieznanego przyjaciela. Przyszedł wówczas, kiedy Ksenia zasnęła, usiadł koło mnie. Serce zabiło radośnie, zrozumiałem, że przyszedł nie na próżno.

— Czego pragniesz, poszukiwaczu? — zabrzmiało pytanie.

— Prawdy — odparłem gorąco.

— Jakiej?

— Czyż prawda nie jest jedna jedyna?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział z uśmiechem. — Jedyna prawda panuje w zbratanym świecie. Wasz świat jest rozdarty.

— Nasz świat? Pan wyraził się w taki sposób, jakby to nie był i wasz świat.

— Stał się nasz. Na długo. Nikt nie wie, ile jeszcze lat mamy pozostawać tutaj...

— Więc jesteście z innego świata?

— Z innego. Ale jakie to ma znaczenie?

— Mnie się wydaje, że decydujące. Gdyby ludzie wiedzieli, że na ziemi mieszkają potężni przybysze...

— To co z tego? — zapytał nieznajomy ze smutną ironią.

— Przyszliby do was, by poznać prawdę. To przyspieszyłoby ewolucję planety...

— Robimy wszystko, co można. Lecz gdybyśmy jawnie ukazali się na ziemi — wola ludzkości zostałaby sparaliżowana. Ludzie zbyt łatwo oddają swoją wolność, chętnie ulegają despotom.

— Ale przecież wy nie pragniecie władzy...

— Istnieją dusze niewolnicze. Niewolnik znajdzie sobie zawsze pana, będzie ubóstwiał nawet nieruchomego, martwego bałwana. Historia zna pod dostatkiem przykładów tego rodzaju. Czego chciałeś tutaj? Dlaczego szli tutaj twoi towarzysze — staroobrzędowcy? Każdy chce zobaczyć Boga, mniej lub więcej wzniosłego. Tutaj nie ma bogów, jesteśmy waszymi braćmi. Jedynym naszym przywilejem jest to, że nie znamy złudzeń. Słyszysz? Bezlitośnie odrzucamy najpiękniejsze iluzje. Nie godzi się, by istota myśląca żyła w niewoli umowności, nawet najprzyjemniejszej. Pragniemy, byście zniszczyli kurniki waszych iluzji...

— Przyjdźcie i powiedzcie!

— Niech ten rozkaz zabrzmie w waszych sercach. Jeszcze zbyt namiętnie pragniecie rozkoszy i przyjemności. Powinniście poznać ich marność i zwrócić się ku prawdziwej rzeczywistości.

— Na czym ona polega?

— Na jedności istnienia. Przeciwstawiliście jej kult samotności. Każdy przeciw każdemu. Jeden przeciw wszystkim.

— Przychodzili myśliciele, bohaterowie. Wzywali ludzi do jedności. I dziś toczy się walka o tę ideę.

— Wiemy. Lecz droga jest jeszcze długa. Niewykluczona jest katastrofa. Planeta wśród kosmosu jest jak komórka organizmu wszechświata. Wiesz, co się zdarza, kiedy komórka choruje?

— Chorują inne, zdrowe.

— Tak. Resztę podpowie ci wyobraźnia. Powtarzam jeszcze raz pytanie — czego pragniesz?

— Poznać drogi wiodące do prawdziwego działania. Pomóżcie.

— Wszystko jest w tobie. Jest siła, jest wiedza. Pole tęskni za dobrym ziarnem, serca ludzkie pragną miłości. Idź, siej, uzdrawiaj chorych. Tam, wśród łoskotu bitwy, odnajdziesz prawdę. Prawdę ofiary. Biedni ludzie modlą się do Boga, by ocalił ich dusze. Trzeba przedtem mieć

duszę. A mając ją — oddać ludzkości. Przyjdzie kiedyś czas, gdy ludzkość będzie zjednoczona. Widzimy ją w naszych zwierciadłach przyszłości. Jest embrion, wyrośnie z niego nowy świat. Idź, pomóż. I nieś wspomnienie o nas — braciach, którzy są obok was i udzielą wam pomocy, jeśli sami tego zechcecie.

— Czy moglibyście przyspieszyć wyjście ludzi w kosmos?

— Przyspieszyć? Po co? Wyjście w kosmos to narodziny w innym świecie. Przedwczesne urodziny to katastrofa. Lot do innych planet nie rozwiązuje problemów ludzkości. Rozwiązanie jest w waszych sercach. Odrzućcie bożki — znikną niewolnicy. Bądźcie tytanami. Nieokończoność zrodziła was i oczekuje synów tworzących, a nie przesądnych, małodusznych istot, poniżonych iluzją bezsilności. Wracaj do ojczyzny, piękna przyszłość jest bliska...

— A tu... Czy nie moglibyśmy zostać tutaj...

— Niezliczone mnóstwo ludzi poszukuje świętych Białowodów, by paść do nóg niebiańskim przybyszom. Pożądamy spokoju. Ślepcy. My nie mamy spokoju. Im wyżej w bezmiarze kosmosu, tym walka z chaosem jest bardziej napięta. Zostańcie z początku bojownikami na Ziemi. Skoro nie potrafisz władać stalowym mieczem, jak będziesz trzymać płomienny? Moglibyśmy dać ci czaszę Amrity, będziesz nieśmiertelny. Ale co unieśmiertelnisz? Ograniczone ciało, chwiejny rozum, nieukształtowaną duszę. Taka nieśmiertelność to przekleństwo. Prawdziwa Amrita — to wieczna transformacja, nieskończone pragnienie absolutu. Wszystko we wszystkim — zapamiętaj...

Długo jeszcze rozmawialiśmy. Przedemną odsłaniały się nowe horyzonty, rozpyływały się mury niezrozumienia, nastawał spokój pewności, nadziei. Nie umiem przekazać wszystkiego, nie jestem w stanie znaleźć odpowiednich słów, bo najważniejsze pozostały w ciszy serca, w nie wypowiedzianych uczuciach...

Wypytywałem o inne światy, o życie w kosmosie, o zasady ruchu ich aparatów. Nie powiedziano mi o tym nic.

— Cudza wiedza jest szkodliwa — rzekł przyjaciel. — Nadejdzie godzina, a zbudujecie własne okręty.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Milczący przewodnicy

towarzyszili nam do krańca doliny. Białowody, pozostały w pamięci jak fantom, jak miraż na pustyni. Przed nami leżała niezwykle trudna droga do domu. Czy podołamy? Czy nie zginiemy gdzieś na pustkowiu?

Potem... przewodnicy znikli. Mgła, cisza. Znow byliśmy sami wśród chaosu skał. Szedłem, słuchając odgłosu własnych kroków, oglądałem się wstecz, a w moim sercu zrodziła się wątpliwość: Czy to nie był sen? Czy to działo się z nami, czy nie? Zbyt wielka była różnica między zwyczajnym światem a tym czarownym refleksem niezziemskiej rzeczywistości.

Ale nie będę opisywać wszystkiego, co przecierpeliśmy w drodze powrotnej. Mimo wszystko dotarliśmy do Ałtaju. Starego Łabędzia już nie zastaliśmy — umarł — może wskutek choroby lub z tęsknoty za córką. Wkrótce po naszym powrocie zachorowała Ksenia. Szalałem z rozpaczy, a ona gasła jak świeczka i uśmiechając się żałośnie szeptała:

— Żegnaj, najdroższy. Już rozciąga się przede mną droga — daleka... daleka... Bez końca. Rozum nie ogarnia. Lecz w sercu mam radość. Umrę spokojnie. A ty — idź dalej... Pomagaj innym. I nie zapomnij o mnie... Nie zapomnij o twojej Kseni... na nowej drodze...

Potem samotność. Rozmyślania. Pewnego dnia zostałem aresztowany. Oskarżono mnie o szpiegostwo. W obozach pracowałem jako lekarz. Zresztą po sprawdzeniu okazało się, że nie popełniłem żadnego przestępstwa. Zwolniono mnie.

Pojechałem na Ukrainę. Pracuję jako lekarz-psychiatra. Patrę na dzieci, na młodzież. Marzę, czekam na to, iż może dla nich odsłonią się nowe horyzonty życiowe. Wierzę, że moje marzenia nie będą bezpłodne, przecież tyle trudnych dróg pozostało za mną. Ludzkość zapłaciła straszliwą cenę za każde odkrycie, za zniszczenie iluzji. Wśród huraganów losu, wśród rozczarowań, w ogniu strasznej bitwy wyrasta nowa świadomość. Już przed oczami ludzi współczesnych jawią się niezziemskie drogi — ludzie pragną wyjść w kosmos...

Opowiedziałem panu, Mychajle Kuźmiczu, o sobie... Może nieskładnie, lecz za to szczerze. Czy pomogła panu moja opowieść? Czy rozwiała jakieś wątpliwości?

Po wysłuchaniu spowiedzi lekarza Mychajło zamyślił się. Był pod wielkim wrażeniem tej relacji. Skomplikowane, tragiczne losy Sokoła przestąpiły jego własny dramat, wносиły nowe czynniki, pomocne w zrozumieniu własnego nieszczęścia, osłabiały osobiste odczucie bólu. Gdzieś w głębi świadomości Sahajdaka rodziły się nowe nadzieje — niewiarygodne, dziwaczne...

— Niezwykła opowieść — wyszeptał. — Jak baśń...

— Dla mnie całe życie jest baśnią — odezwał się lekarz. — Do dziś jestem pełen podziwu dla wszystkiego, co napotykam w życiu. Dla kwiatów, szczebiotu ptaków, zabaw dziecięcych. I rad jestem, że nie stałem się pesymistą. Życie jest ciężkie, pełne sprzeczności, lecz zarazem piękne. Dzięki czemu? Dzięki walce! Czy może być coś radośniejszego niż pokonywanie oporu żywiołów w dążeniu do pięknego celu?

— Rozumiem — zgodził się Mychajło. — Rozumiem... i zgadzam się z panem... Ale kwiat, dziecko i ptaki można spotykać codziennie, a to, o czym pan opowiadał — jest legendą. Dlaczego pan nie ogłosił drukiem swoich wspomnień? Istnieje obecnie mnóstwo hipotez o przybyściach z innych planet, o kontaktach z nimi, o ich wysokim poziomie umysłowym. Pan, jako naoczny świadek...

— Naoczny świadek? — powtórzył sceptycznie Sokół, unosząc siwe brwi. — A co moje świadectwo pomoże prawdzie? Pan sądzi, że przybysze potrzebują moich świadectw? Gdyby chcieli — dawno zamanifestowałyby swoją potęgę. Ale tak się nie stało. Wynika stąd, że nie życzą sobie. Jakże ja mam prawo postępować wbrew ich woli?

— To prawda. Nie pomyślałem o tym. A może...

— Co?

— Czy nie pomyślał pan kiedyś, że to się panu...

— Przyśniło? Uroiło? — uśmiechnął się dziwnie lekarz.

— Tak...

— Myślałem. I dotąd przychodzi mi to czasem na myśl... Wąwóz... Mgła... Nasze gorące pragnienie... Zobaczyłem to, czego pragnęło moje serce... Tym więcej, że nie zabrałem żadnych materialnych dowodów rzeczowych...

Lekarz zamilkł, zamyślił się. Po chwili w jego oczach zabłyśły iskierki radości.

— Nie, nie, niech pan nie wątpi. Nie wolno wątpić nawet w najdziwaczniejszą legendę. Bowiern pomaga stać się lepszym, czystszyrn, męźniejszym — niech pan wierzy w bajkę. A poza tyrn... poza tyrn, moja Ksenia... ona też widziała... Nie może być mowy o takiej uzgodnionej zbiorowej halucynacji...

— Cudownie byłoby spotkać się — szepnął Mychajło.

— Z kim?

— Z nimi...

— Niech pan spróbuje — rzekł zagadkowo Sokół. — Może się panu poszczęści. Dziś jest łatwiej. Era kosmiczna. Loty międzyplanetarne. Zbliża się godzina. Może się panu uda...

— Doktorze, jestem panu wdzięczny. Lżej mi się zrobiło na sercu. Ból tkwi we mnie — nic na to nie poradzę. Lecz zrozumiałem — nie wolno zamykać się w skorupie egoistycznego bólu. Życie jest jedno — kształty różne. Kształt nieśmiertelny — to śmierć życia. Ciężko jest utracić ukochaną istotę, lecz żyć iluzjami — to hańba...

— Dlaczego utracić? — rzekł cicho lekarz, patrząc w zamyśleniu przez okno. — Nauka nie stanęła w miejscu, odkrywa nowe tajemnice bytu. Może wkrótce rozwiązana zostanie tajemnica nieśmiertelności...

— Nieśmiertelności? Przecież sam pan powiedział...

— Co powiedziałem? Że nieśmiertelność formy statycznej to absurd. Nieśmiertelność dynamicznego potoku — to piękne. Zachowujemy jednolitą świadomość od dzieciństwa do starości, lecz w praktyce wiecznie umieramy. Jednak nasze ciało w dzieciństwie, w młodości, w starości, to coś całkiem innego. A świadomość jest jedna. Znaleźć możliwość przeniesienia świadomości do innej formy, udoskonalać tę formę — oto znakomita idea dla poszukiwaczy...

— O tym marzy Rishideva — szepnął Mychajło.

— Rishideva? — powtórzył Sokół. — Słyszałem to nazwisko. Hinduski biopsycholog?

— Tak. To mój stary przyjaciel. Zetknęliśmy się w ciężkich chwilach. Poznałem jego i jeszcze jednego człowieka. Staliśmy się przyjaciółmi. Doktorze, przypomniałem sobie o nich we właściwym czasie. Proszę o papier i atrament. Napiszę do nich. To jest niezbędne...

Wkrótce nadeszła odpowiedź z zagranicy. W depeszy z Ameryki było kilka zdań:

Kochany przyjacielu Mychaju, bądź mężny. Tak jak wówczas, w obliczu śmierci. Całe życie jest bohaterskim czynem. Tak ja pojmuję powołanie człowieka. W moim życiu — radość i niepokój. Nowy etap. Lecę na Księżyc. Sam rozumiesz — nie ma pewności, czy uda mi się wrócić. Wierzę. Prześlij mi najlepsze życzenia. Przejdę nad otchłanią, jak wówczas kiedy szliśmy pod kulami wroga.

Do zobaczenia, Mychaju. Pozwól mi uścisnąć twoją rękę.
Harry.

Swami pisał w liście:

Mój bracie Mychaju, zmartwił mnie twój list. Wiem, jak ci jest ciężko. Nie pocieszam ciebie — wiem, że jesteś silny, że wytrwasz, nie ugniesz się.

Prawdę mówiąc, cieszę się, że nie krocysz łatwymi drogami. W cierpieniu hartują się bojownicy życia. Ty należysz do nich.

Pytasz o gości z innych planet? To jest teraz modne. Ja nie lubię mody.

My w Indiach dawno wiemy o nich. Lecz Hindusi nie lubią sensacji. Umieją ochraniać piękne pojęcia. Wolą milczeć niż profanować. Twój znajomy lekarz słusznie powiedział — jeśli trzeba będzie, zgłoszą się sami. Czy należy ich szukać? Tak. Lecz poszukiwacze powinni jasno sformułować w swych sercach koncepcję konieczności takiego kontaktu. Ciekawość? To nie wystarcza. Pragnienie uzyskania nowej informacji? I tego za mało. Jeszcze nie daliśmy sobie rady z własną informacją. Właśnie tak, rozpatrując po kolei wszystkie zagadnienia konieczności, poszukiwacz dotrze do sprawy zasadniczej. O niej — nie powiem. Pomyśl sam.

Kiedy przyjedziesz do Indii — pomówimy poważniej, głębiej. Mam nadzieję, że spotkamy się w najbliższym czasie.

Zapytujesz, czy można wskrzesić człowieka ze stanu anabiozy środkami wiedzy współczesnej? Można. Przeprowadziliśmy pewne doświadczenia. Ale nie pochwalam takiej metody rozwiązywania problemu długowieczności lub nieśmiertelności. Dlaczego? Dlatego, że w danym wypadku ignorowane są podstawowe prawidłowości życia. W zamrożonym ciele (nie piszę, w czym, ale wiem,

o kim pisałeś), już nie ma tamtej osobowości, Mychaju. Przecież osobowość, indywidualność — to nie tylko ciało, lecz również niepowtarzalna informacja o jej życiu, doświadczeniu plus bezgraniczne doświadczenie minionych pokoleń przekazane jej genetycznie. A wszystko to powiązane jest nie tylko z komórkami organizmu, lecz także z dynamicznym elektromagnetycznym wnętrzem człowieka, które tworzy jego osobowość. W zamrożonym ciele nie ma już ani pola psychicznego indywiduum, ani żywej dynamiki uczucia. Poszły one, ich impulsy, już dalej, łącząc się w nieskończonym potoku ewolucji z nowymi energiami, z nowymi przejawami Jedyne-go Życia. Otóż wskrzeszone ciało już nie będzie ową osobowością. Może się nawet stać kretynem, istotą, którą trzeba będzie uczyć od nowa. Wiem — taka perspektywa jest gorsza od śmierci.

Nie zmartwię cię. Bo wierzę, wiem o innych drogach wiodących do osiągnięcia nieśmiertelności. Właśnie pracujemy nad tym. Powiem krótko: cybernetyka subtelnych energii. Czy mówi ci coś takie pojęcie? Pomyśl. To z zakresu terminologii współczesnej. Istnieją już pewne wywołując nieprzerwanie ich psychikę, elementy ich organizmów odpowiednio do potrzeb ewolucji. Można będzie przyrządy. Można będzie tworzyć nowe ciało dla ludzi, odnawiać do życia również zmarłych, ale to będzie o wiele bardziej złożone. Dużo będzie zależeć od żywych. Więcej nic nie powiem. Reszta — kiedy się spotkamy.

Nie chciałbym przyrzekać niepotrzebnie, lecz pozostawiam dla ciebie nadzieję. Wchodzimy w okres niestetychanych dokonań, w erę legend. Wszystko jest możliwe...

Czekam na ciebie, mój bracie... Czekam...

Swami Rishideva.

Łzy płynęły po twarzy Mychajły, oddychał z trudem. Przycisnął list Swamiego do piersi jakby chcąc powstrzymać przyspieszone bicie serca. Czy to możliwe? Czy do tego kiedyś dojdzie? Niechby nawet nieprędko, nawet wówczas, jak już będzie zupełnie stary i słaby. Ujrzeć znów w świecie błękitne oczy, usłyszeć drogi głos. Za taką chwilę można oddać całe życie...

W kilka dni później nadeszła tragiczna wiadomość: podczas eksperymentalnego lotu na Księżyc zginął astronauta amerykański Harry F. Thawn. Radio podawało dramatyczne szczegóły katastrofy, a Mychajło, wstrząśnięty nową stratą, płakał jak dziecko.

— Doktorze, jakże to? Czy człowiek może wytrzymać... I po co? Doktorze, może bawimy się z panem w optyzmizm? A krwawa Kali drwi sobie z nas...

Sahajdak wyciągnął ręce do starego lekarza, a lekarz nachmurzywszy się, surowo odpowiedział:

— Mychajło Kuźmiczu... Dla mnie jest to jeszcze jednym dowodem, że pan nie rozumie życia. Nie przemyśleliśmy czegoś, nie zrozumieliśmy... Chwilczkę, proszę się nie denerwować... Człowiek rodzi się, człowiek umiera. Gdy się rodzi — panuje radość, kiedy umiera — płaczą. Dziwne. Przecież to są fazy jednego i tego samego procesu. Uczyniliśmy ze śmierci absolut. Zrobiliśmy z niej postrach. A może to nie tak? Słyszysz pan, przyjacielu? Może to całkiem nie tak...

Sahajdak milczał, zasłaniając twarz rękami. Docierały do niego ostatnie słowa lektora radiowego:

— ...Meteoryt przebił ściankę „Apolla”, rozhermetyzował kabinę. Śmierć astronauty nastąpiła momentalnie. Przyrządy nawigacyjne zostały uszkodzone. Statek minął Księżyc i zagłębia się w przestrzeni kosmicznej. Upřednie obliczenia wykazują, że za dwa miesiące spadnie na Słońce...

Spadnie na Słońce! Na Słońce! Małe pluśnięcie... Miniaturowa protuberancja... Wszystko, co było niegdyś Harry'm Thawnem, nieustraszonym, szczerym chłopcem amerykańskim... A może to dobrze? Może to jest piękne, doktorze? On nie spadł na Ziemię z wietnamskiego nieba, nie umarł w krematorium Buchenwaldu... Jego śmierć jest piękna! Błysk słońca, powrót do ognistego łona, które zrodziło życie...

Słowo siódme — samadhi

I już cały bezkres stanie
przed oczami mymi,
jak stronica rozpostarta,
niby światło, co nie błyska,
lecz spokojnie, czysto płynie;
bez zagadek i bez granic
napłynie do duszy szczęście,
jak olbrzymi blask pożaru.
Zacznę rosnąć w nieskończoność,
wszystko poznam, wszystko przejrzę...

Iwan Franko

Sahajdak wrócił do domu. Powitała go radosna, szczęśliwa żona. Trochę zmieszana, trochę figlarna, uwijała się dookoła niego, obejmowała go, sadowiła za stołem, kładła przed nim różne smakołyki.

— Jedz, Michasiu, pij, Michasiu! Tak się cieszę, tak się cieszę, że z tobą wszystko w porządku. Bo gdy przywieźli cię ze wsi, matka — jak z krzyża zdjeta — mówi: gorączka, maligna. Przecież tak nie chciałam, żebyś jechał do tej dziury... Ach, wybacź, ja nie o rodzicach, ja o wsi. Sama byłam winna — nie dostrzegłam, że byłeś chory... Przy sposobności, czy słyszałeś o tragedii? Harry Thawn zginął! Zdaje się, że był twoim przyjacielem? Jakie nieszczęście! Pozostała wdowa i czworo dzieci! Jak ona nieszczęśliwa to przeżyje? Zresztą te Amerykanki są dość lekkomyślne. Popłacze, popłacze i znajdzie sobie nowego...

— Nino! — rzekł z naciskiem Mychajło, rzucając na nią smutne spojrzenie. — Jak możesz?

— A co ja powiedziałam? Życie jest życiem. No, dobrze, nie będę. Jesteś jeszcze chory, niezrównoważony. Powinam była wówczas nie dopuścić do obrony dysertacji, przenieść na inny termin. Ale już załatwiłam wszystko. Porozumiałam się. Stare będzie zapomniane, wkrótce — obrona. Cieszysz się?

— Nie chcę żadnej obrony — powiedział obojętnie Sahajdak odsuwając talerz z kotletami. — Będę pracować jak dawniej bez tytułu doktora. Na co mi on?

— Jak to, na co? — zawołała oburzona Nina. — Ciągłe robisz jakieś kawały! Masz rodzinę, masz syna...

— Wystarczy mi mój zarobek — rzekł Mychajło. — Nie biedujemy. Są ludzie, którzy otrzymują dziesięć razy mniej. I żyją. Lepiej od nas...

— Dlaczego chcesz zrównać się z tymi, którzy żyją gorzej? Co to za reakcyjny światopogląd? Im więcej, tym lepiej! Michasiu, ja z tobą nie żartuję! Jesteś moim mężem i powinienesz...

— Nie jestem nic nikomu winien — odparł surowo Mychajło, wstając od stołu. — Tylko narodowi. Jemu zwrócę swój dług pracą. W całości. Dokąd mi sił starczy — będę pracować. A dla pieniędzy nie chcę. Tytuł naukowy nie dodaje rozumu. Jeżeli zasłużę na to — nadadzą mi stopień bez obrony. To wszystko...

— W takim razie nie jestem twoją żoną — powiedziała ostro Nina. — Myślałam, że się trochę opamiętałeś, a ty...

— Co, ja?

— Chcesz uchodzić za oryginała? To nie jest teraz modne...

— Nie uganiam się za modą. Chcę być sobą...

— Bądź sobą poza rodziną. Rozejdziemy się...

— Proszę bardzo. Dziś jeszcze opuszczam mieszkanie. Razem mogą mieszkać przyjaciele, a nie poszukiwacze życiowych wygód... Jestem uczonym...

— Ja też jestem naukowcem...

— Ty jesteś konsumentką nauki. Ja chcę ją tworzyć...

— Idź — rzekła nienawistnie Nina, blada z przejęcia. — Twórz. Lecznica Pawłowowska stoi otworem, zawsze można do niej trafić...

— Lepiej mieć do czynienia z porządnym wariatem — odpowiedział oschle Mychajło, idąc do drzwi — niż z normalnym łajdakiem...

— Alimenty będziesz płacić sam czy mam podać sprawę do sądu? — krzyknęła za nim Nina.

— Zabieram syna.

— Nigdy. Nie chcę, żeby syn też stał się schizofrenikiem...

— Zapytam go. Jeśli zechce, niech mieszka tutaj. Dopomogę mu w miarę możliwości. Żegnaj, Nino. Pozostawiam ci wszystko, nie kłopotz się — mieszkanie, meble. Prócz moich książek i rękopisów.

Sahajdak zbliżał się do obserwatorium z uczuciem dziwnej ulgi. Jakby wykonał dawny, ciążyący na nim obowiązek. Jakby zrzucił z siebie ohydny ciężar. Między drzewami spieszył na jego spotkanie wujaszek Jakub, uśmiechając się życzliwie. W pole surduta niósł czerwone jabłka.

— Dawniutko, dawniutko nie widziałem pana. Przygotowałem dla pana gościniec. Proszę skosztować, Mychajło Kuźmiczu. Jabłuszka takie, że się od nich nie oderwiesz. Jak Boga kocham!

— Dziękuję, bardzo dziękuję — rzekł wzruszony Mychajło. — Jesteście prawdziwym czarodziejem. Wychodowaliście takie cuda...

— Przyroda, przyroda — ucieszył się ogrodnik. — My tylko jej pomagamy. No, jak tam, do Boga jeszcze nie dobraliście się?

— Szukamy — zażartował Mychajło. — Ale na razie jeszcze nie widać...

— No, no, szukajcie — śmiał się chytrze ogrodnik. — Może złapiecie Go za brodę...

W gabinecie czekało na Sahajdaka mnóstwo listów. Zaczęła je powoli przeglądać. Z Czechosłowacji, Węgier, Anglii, Iraku — tak długo nie był w pracy. Teraz będzie musiał poświęcić trzy dni na pisanie odpowiedzi... Stany Zjednoczone... Nie, ten nie jest od Harry'ego, od niego już listów nie będzie... Meksyk... Japonia... Indie... Indie? Od kogóż to? Nieznany charakter pisma... Adres Rishidevy...

Serce zaczęło mu gwałtownie bić. Rozciął grubą kopertę. Wypadł z niej mały zeszyt w lakierowanej okładce i zielonkawy arkusz papieru. Na zeszycie ręka Swamiego napisała: *Dla Mychajły Sahajdaka, Kijów, Obserwatorium Astronomiczne, Ukraina*, po ukraińsku, a nieco niżej — po angielsku. List napisał jednak ktoś inny. Kto to może być?

Drogi mister M. K. Sahajdak!

Pan był przyjacielem mojego męża Swamiego Rishidevy. Dużo mi o panu opowiadał...

Dlaczego „był”? Dlaczego pisze ona, a nie Swami?

Swami Rishideva opuścił ziemię. Spełniam jego ostatnią, wolę, przesyłam panu jego notatki. Śmierć nastąpiła przed trzema dniami. Nie wyszedł ze stanu nirwakałpa-samadhi. Pracował nad badaniami tego fenomenu psychicznego i był przygotowany na to, co się stało...

Co ona pisze? Swami opuścił ziemię. Dlaczego opuścił? Skąd ta lawina tragedii?

Podszedł do okna, otworzył je na oścież. Duszno, nie ma czym oddychać. Usiadł na parapecie, z daleka zabrzmiał tęskny krzyk żurawi, w ogrodzie spadały na ziemię żółte liście z drzew.

Sahajdak otworzył zeszyt, jeszcze nie wierząc temu, co przeczytał w liście, nie chcąc uznać świadectwa rzeczywistości.

Mój kochany bracie, zapewne jednocześnie dowiedzieliśmy się o tragedii w kosmosie. Tragedia czy też może początek nowej drogi? Każdy ujmuje to na swój sposób. Ja widzę w koronie słonecznej błysk iskrzącego kwiatu. Można oczekiwać owocu słonecznego. Taka jest apoteoza życia naszego brata.

Wkrótce nadejdzie również moja godzina. I twoja, mój bracie! Kto przysiągł oddać życie dla wspólnego dobra, ten zna przepaści rozpacz i uniesienia. Ty nie zapomniałeś, Mychaju?

Teraz o tym zeszycie. Trafi do ciebie dopiero wówczas, gdy mnie już nie będzie na ziemi. Wyjaśnię ci, dlaczego to może się stać...

Od dawna ustaliłem sobie cel — odsłonić tajemnicę śmierci. Wieczny Sfinks — jakie zagadki czają się w jego obojętnym uśmiechu? Jaką drogą pójść? Fizjologia? Psychologia? Parapsychologia? Studiowałem wiele dziedzin nauk i pseudonauk. Zatrzymałem się na samadhi. Samadhi — to stan zagłębienia się w siebie, kontaktu z energiami kosmicznymi. Przeczytasz o tym w moich notatkach, przeznaczonych dla ciebie. Ty pracowałeś nad

problemami kosmogonii i kosmologii. W moich notatkach znajdziesz pewne koncepcje z tej dziedziny — w formie nietradycyjnej. Może to będzie ci pomocne, czasami trzeba wyprowadzać swój intelekt ze zwykłej ścieżki.

Jestem zawsze z tobą. Słyszysz, Mychaju? Cokolwiek się stanie, jesteśmy razem. Zrodzeni przez słońce — wrócimy do niego...

Jakie to dziwne. Jaki niezwykły stan. Swamiego nie ma, a serce jest spokojne. A może istnieje pewna granica obciążenia? Zbyt wiele było wzruszeń i strat. I serce stawia niewidzialną barierę. Nie, nie. To coś innego. Rozum jeszcze nie może się pogodzić, tradycyjne myślenie buntuje się, płacze, lecz już rodzi się nowe, młode jeszcze uczucie... Tak powinno być, tak urzeczywistnia się piękna tajemnica życia. Swami, czy ciebie nie ma? Co za nonsens! Przecież czuję tuż obok twój oddech, czytam twoje słowa. Ty żyjesz, słyszysz, ty żyjesz!

„Tajemnica śmierci — to zarazem tajemnica życia. Są nierozdzielne. Właśnie to jest zagadką bytu w najwyższym rozumieniu, zagadką zjawienia się naszej świadomości, powstania zjawiska indywidualności, która nadała sobie imię — ja.

A więc zagadnienie poznania. By rozwiązać zadanie starożytnego Sfinksa, należy włączyć potężną broń poznania. Tą bronią jest uczucie (instynkt), rozum, intuicja. Wielka triada. Ale my lekceważymy dwa składniki tej triady. Uczucie uważa się za coś niższego od rozumu. Intuicję uważa się za wyjątkowy refleks myślenia. Nie nadaje się jej samoistnego znaczenia. A szkoda!

A więc rozum. Na nim spoczywa ciężar poznania. Czy stanowi on broń uniwersalną?

Rozum ludzki jest dzieckiem przyrody. Czyli częścią przyrody. Czy częśćka może poznać całość, pozostając częścią?

Całość poznaje siebie przez części. My jesteśmy jednym z ogniw poznania. Przyroda nie mogła poprzestać na stworzeniu jednego tylko potoku rozumu — ludzkiego. Byłoby to zbyt niezwykle, zbyt wyjątkowe. Taka koncepcja prowadzi nieuchronnie do idealizacji człowieka ziemskiego, jego mózgu, jego możliwości i misji. To nie jest nauka. To dziedzina ortodoksyjnej wiary.

Czy istnieją na Ziemi (na razie na Ziemi) inne przejawy rozumu, prócz naszego, ludzkiego? Zdecydowaliśmy, że nie. Dlaczego?

Czym jest rozum? W czym on się przejawia?

W transformacji wielkich mas materii, w zmianie oblicza planety?

Wszak w ten sposób działają również rośliny, owady, zwierzęta, choć na mniejszą skalę. A w kosmosie odbywają się gigantyczne przemieszczenia materii, o jakich nie śniło się nawet rozumowi ludzkiemu — tworzenie się asocjacji gwiazdnych, eksplozje nowych gwiazd, kształtowanie się mgławic planetarnych, pulsacje jąder galaktycznych, rozchodzenie się galaktyk.

Powiedzą — człowiek przesuwa masy substancji świadomie, celowo. Wszystko inne — to tylko ślepe przemieszanie materii, bez celu, bez potrzeby. Ale jak tego dowieść? Przecież nie możemy przykładać własnej, ludzkiej miary do nieludzkich procesów.

Odrzućmy ten aspekt rozumu. Weźmy pod uwagę jego najważniejszy przejaw. Samoświadomość. Przywilej samowiedzy przypisaliśmy wyłącznie sobie. Dlaczego?

Co my wiemy o, powiedzmy, florze planety? Czym ona jest w swym całokształcie? Jest całkiem prawdopodobne, że drzewa, trawy, kwiaty, lasy stanowią wspólny organizm, który posiada samoświadomość w skali planetarnej, a więc i rozumu. Na czym polega życie takiego nadorganizmu? Kto wie? Stwarza on atmosferę kwasoazotową, oczyszcza ją, syntetyzuje energię słoneczną w miriadach zielonych odbiorników, żywi niezliczone mnóstwo zwierząt i ludzi. W praktyce, nadorganizm roślinny jest podstawą nawet rozumu ludzkiego, ogniwem łączącym słońce z naszym życiem i myśleniem.

A owady? A ptaki, które nieustannie wędrują? Co wiemy o ich funkcjach? Wydaje się nam, że to tylko sezonowe przeloty, a w istocie rzeczy — nosiciele nieznanej nam jeszcze informacji planetarnej. Kto temu zaprzeczy?

A samo życie planety? Jej nieznane wnętrze? Trzęsienia ziemi, które są tak ściśle związane z rytmiką słońca? Jej burze i inne zjawiska elektryczne? Czy burza nie jest jakimś planetarnym procesem myślenia? Może również w naszym mózgu huczą własne pioruny, rozbłyskują

wyładowania elektryczne, gdy myśliciel rozwiązuje złożone zadanie lub bohater powstaje przeciw samowoli?

A Słońce? Jego promienie, którymi żywi planety i wszystko, co żyje? Uważamy jego działalność za mechaniczną, nieświadomą? Co nam dało prawo tak myśleć? Tylko to, że nie możemy skontaktować się ze świadomością planety lub Słońca?

Jesteśmy ogniwem niezmiernego systemu światów. Nasz rozum jest również ogniwem w systemie mnóstwa innych rozumów. Na razie jesteśmy ogniwem wrogim przyrodzie. A szkoda. Przyroda leczy. My — niszczymy. Jeszcze dotychczas nie znaleźliśmy drogi do jedności ludzkości, nie mówiąc już o jedności planetarnej lub wszechświatowej...

O co chodzi? W czym tkwi fałsz naszej drogi? Może w absolutyzacji naszych metod? Naszego myślenia? Badamy części jedności. Części, a nie samą jedność. Podejście analityczne do zrozumienia wspólnoty jest nieuzasadnione. Analiza jest tylko jednym z mnóstwa aspektów poznania. Gromadzimy wiele wyjaśnień tego lub innego zjawiska, zapominając o tym, że wielosłowie oddala od prawdy. W słowie »słońce« jest więcej informacji o Słońcu niż w informatorze astronomicznym, w którym wylicza się parametry Słońca, jego charakterystyki czy hipotezy o jego pochodzeniu. W słowie »człowiek« (w jego najistotniejszej treści) tkwi większe znaczenie, niż w opisie organów trawiennych czy serca organizmu ludzkiego, funkcji myślenia czy ruchu.

A jeszcze więcej treści zawiera się w milczeniu. Żadne słowa nie oddadzą istoty rzeczy. Jest ona poza słowami. Wiedzą o tym myśliciele. Wiedzą o tym poeci. I tu właśnie zbliżamy się do intuicji..."

Zadzwonił telefon. Sahajdak drgnął. Co to jest? Kto wtrąca się do jego rozmowy z przyjacielem? Tak wyraźnie odczuwał jego obecność, tak dobrze było mu na sercu. I znów — rozbiegły się myśli, rozdarła się jedność. Jedność... Ona istnieje tak długo, dopóki istnieje myśl tego, z kim się łączysz. A myśl jest nieśmiertelna...

Mychajło podniósł słuchawkę.

- Kto mówi?
- Michasiu, to ty?
- Ja.
- Nareszcie cię złapałem. Jak się masz...
- Witam. Kto to?
- Lihosow. Eugeniusz.
- Wybacz, nie poznałem. Głowę mam jak we mgle...
- Rozumiem, starszku. Skomplikowana sytuacja. Jak wyglądają twoje sprawy z Niną? Ni ładu, ni składu...
- Eugeniuszu, sprawa jest zdecydowana. Nie ma potrzeby wracać do niej...
- Ale bieda z wami. Takie małżeństwo. Jaki to przykład dla młodzieży — pomyślałeś o tym?
- Nie powinieneś tak mówić. Jeden system cybernetyczny nie zgodził się z innym systemem cybernetycznym — zwykła sprawa...
- Nie kpij sobie! Ja mówię poważnie. A zresztą, słuchaj. Ja w innej sprawie...
- Jakiej?
- No, domyśl się. Tam, w piwnicy, leży...
- Rozumiem, rozumiem — Mychajle zaparło dech. — Na miłość Boską, co się stało?
- Nic takiego. Nie denerwuj się. Po prostu chciałem cię uprzedzić. Sytuacja wygląda tak, że nasz wydział ma być zlikwidowany. Możliwe, że przejdę do Instytutu Cybernetyki. Nie mógłbym wówczas dać gwarancji, że ona...
- Rozumiem, Eugeniuszu. Więc co robić?
- Pomyśl. Jutro dasz odpowiedź. Albo niech pozostanie jako eksponat, ale wtedy kto wie, kiedy i w czyje wpadnie ręce. Nie chciałoby się, żeby na niej eksperymentowano. Chociaż twoim zdaniem jestem człowiekiem oschłym, to jednak... Albo... zabierz ją i pochowaj...
- Przecież mówiłeś, że nie można.
- Porozumiewałem się. Powiedziałem, że znaleźli się przyjaciele. Krótko mówiąc — można zabrać, dokumenty załatwimy. Pomyśl.
- Dobrze. Zadzwoń do ciebie. Dziękuję.
- Nie ma za co. Zaczekam do jutra. Rozumiem, sprawa jest delikatna.
- Mychajło odszedł od biurka. Serce biło mocno, niespokojnie. Co mu się stało? Czy się jeszcze nie uspokoiło? Nie przyzwyczaiko się?

Więc po prostu zabierze ją. Zawiezie w Karpaty. Gdzieś na przełęczy, pod gwiazdami, pod słońcem, znajdzie Hanusia spoczynek. Spocznie snem wiecznym. Można poprosić Jurka, pomoże. Dokoła będą świerki, wysokie trawy, niebieskie fale Czarnogórza...

„Wiecznym snem? — zaśmiała się Hanusia. — Jaki ty jesteś dziwny, Mychajło? Czy istnieje wieczny sen?”

Co to? Skąd? Może to wiatr za oknem? Czy daleki łoskot pociągu? Czy śpiew ptaków? Nie można pojąć, nie można rozpoznać...

Opadają żółte, purpurowe, czerwone liście za oknem. Bezszelestnie stąpa Hanusia po jesiennej ziemi. Lekko jak chmurka siada na parapecie. Uśmiecha się.

„Pochowaj ciało — szepcze. — A pozostaw miłość. Miłość jest z tobą, ukochany. Chciałeś mnie wskrzesić? Śmieszne, po co?”

— Tak mało byłem z tobą — skarży się Mychajło. — Chciałem znów dotknąć twojej ręki, zajrzeć w oczy, iść obok ciebie.

„Przecież wcześniej czy później nadejdzie rozłąka — kiwa głową Hanusia. — Jakaż to różnica, czy spotkaliśmy się jeden raz czy sto? Jaka różnica?”

— Istotnie... Nie ma różnicy — mówi szeptem Mychajło. — I tak jesteś zawsze ze mną.

„No to dobrze, Michasiu. Zrozumiałeś. Cieszę się. Ciekam na ciebie.”

Rozpływa się mgła w oczach. Wilgoć na policzkach. Dlaczego? Nie ma nikogo. Cisza.

Do gabinetu zagląda Wala. Ujrzała na biurku stos listów, krzyknęła z zachwytu.

— Mychajło Kuźmiczu! Oj-ej-ej! Takich znaczków jeszcze nie mam! Niech mi pan nie odmawia!

— Bierz, bierz! Wszystkie są twoje, Walu!

Sahajdak uśmiecha się. Ciesz się, dziewczynko, zachwycaj się. Najmniejszy zachwyt zawiera w sobie cudowne skarby uczucia, bowiem wywodzi się z piękna. Kochaj wszystko — znaczki, chmurki, chłopców, drzewa, motyle, zachód słońca... Ale kochaj, nie kolekcjonuj!

Szczęśliwa Wala wychodzi z gabinetu. Sahajdak zabiera się znów do notatek Swamiego.

„Intuicja to synteza świadomości. Rozum, intelekt — porównuje, ocenia, integruje, układa z części jakiś model poznania. Zaś intuicja błyskawicznie ogarnia całość, poznaje istotę, staje się ową istotnością. Nie znamy jeszcze tajemnicy tego niezwykłego procesu. A rozwiązanie może być całkiem proste.

Jesteśmy częstką całości, jak już pisałem. Częstka może się łączyć z innymi częstkami. A połączywszy się, uzyskać świadomość całości lub jej aspektu. Jakby niespodziewany kontakt z innym światem. Jak przelot na bajecznym latającym dywanie do krainy legendy. Jak więc opanować darem intuicji? Zbyt to rzadki rajski ptak. Czy nie można go oswoić?

Samadhi. Stan koncentracji duchowej. Od dawna znany na Wschodzie. Dokoła tego pojęcia powstało wiele legend, domysłów metafizycznych, mistycznych plotek. Samadhi przeniesiono do kategorii samonarkozy, podobnej do zjawisk, jakie wywołuje zażywanie narkotyków. Zapewne, w niektórych przypadkach tak jest — wtedy, kiedy do ekstazy dochodzi świadomość prymitywna, fanatyczna. Ja mam na myśli wysoki stan samadhi, który prowadzi do odkrycia praw rządzących światem, tworzenia genialnych poematów, prognoz społecznych, epokowych wynalazków. Ale nawet i tak wielkie osiągnięcia znajdują się w sferze zwykłości. Samadhi pozwala zagłębiać się tak daleko we wnętrze bytu, że myśliciel może pojąć prawa nowych stopni wszechświata, na których nasze tajemnice, nasze tragedie czy radości z okazji narodzin lub z powodu śmierci — są tylko falami na powierzchni oceanu życia.

Pisałeś mi, Mychajle, o twojej koncepcji zamkniętych światów. To piękna i głęboka idea. Spotykałem w starodawnych rękopisach na temat kosmogonii podobne idee, co prawda w formie symbolicznej.

Ezoteryczne zapisy hinduizmu informują, że Brahman — twórca świata — stworzył nasz świat bezprawnie, że ukrył go przed Mahadewą (Najwyższym Duchem). Wisnu i Siwa odkryli tę tajemnicę i zmuszają Brahmana do przywrócenia świata do jednego łona.

Niezwykłe — prawda? Zdobycze współczesnej myśli pozwalają rozszyfrować dziwny symbol. Brahman (nasz świat zamknięty) — tak również ty uważasz, Siwa (im-

puls wybuchu) — zmusza go do otwarcia się, Wisznu (prawo ewolucji) — poznaje prawa tego zamkniętego świata i szuka z niego wyjścia, by zsyntetyzować jedność.

Wychodząc z tych założeń można zrozumieć, iż mikro-kosmos ludzki nie da się oddzielić od nieogarniętego makrokosmosu bytu. Człowiek jest jak kropla, która odbija w sobie, w swojej świadomości, sercu, intuicji całą złożoność bytu. Wszechświat poznaje siebie przez nas, przez człowieka i poznaje siebie w nas. A człowiek, ogarniając myślą bezmiar wszechświata, poznaje w praktyce sam siebie, swą nieskończoną istotę. Tak łączą się dwa potoki poznania — jeden bierze swój początek w mikronieskończoności, drugi napełnia źródło meganieskończoności. I to jest jedność w ocenie wieczności.

Żyjemy w niezwykłym czasie. Mogą odsłonić się przed nami, nowe, nieoczekiwane możliwości. Nie należy negować żadnego kierunku poznania, ponieważ otwiera on drzwi wolności. Wolności rozumu, ducha — to jedyne powołanie nauki. Dość już byliśmy niewolnikami przyrody, płynąc posłusznie w nurcie ewolucji. Obecnie wybiła godzina synów. Dość już ślepego naśladownictwa praw przyrody, choćby genialnych. Niechaj człowiek tworzy własne prawa działania i twórczości. I będą to prawa miłości, a nie męczarnie i ciągle pożeranie się, jak to ma miejsce w przyrodzie. Niewolnik wykonuje posłusznie wolę pana, syn ma prawo stworzyć nowy świat...

Oto czym jest dla mnie samadhi, bracie...

Pozostało za mną wiele dróg. Były przepaście, były szczyty. Szkoda, że nie mogę ci przekazać wszystkiego. Chciałbym jeszcze zbadać stan nirwa-kalpsamadhi. To stan ogarnięcia całości. Nie wiem, czy go osiągnę. Nie wiem, czy powrócę. Dlatego zostawiam ci te notatki..."

Mychajło uśmiechnął się, w oczach miał łzy. Można pozazdrościć takiemu życiu. Niby orzeł w niebie tak przeleciał Swami przez życie, nie lękając się jego szumu, jego otchłani, jego zagadki. I ja powinienem czynić to samo! Jak wówczas, w dalekich Alpach. Wśród ciemności, pod kulami, na wąskim kamiennym gzymsie...

Swami, Hanusiu, Harry, nie zapomniałem o was, idę...

Dzień dogasał. Krwawiło niebo na zachodzie. Wielka cisza milczenia spływała w serce Sahajdaka.

Do gabinetu wszedł Saszko. Zobaczył łyzy na twarzy Mychajły. Zakłopotany dreptał na progu.

— Witaj, Mychajło Kuźmiczu — rzekł cicho. — A ja...

— Co, przyjacielu? — uśmiechnął się Mychajło i wyciągnął do niego rękę. — Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem szczęśliwy. Wiesz, płacze się również ze szczęścia...

— Skoro tak, to dobrze — odezwał się śmieiej Saszko. — Bo przyszedłem zaprosić...

— Dokąd?

— Na wieczorek. Do naszego stowarzyszenia...

— „Kosmos i ja”? — spytał Sahajdak, chowając listy.

— „Kosmos i ja” — odparł poważnie Saszko. — Dziś będzie dużo młodzieży. Bardzo interesujący chłopcy i dziewczęta. Nie pożałujesz, rosną tacy wojownicy, że ho-ho!

— Prowadź, Saszko! — rzekł wzruszony Sahajdak. — Chcę widzieć młodych. Będziemy poszukiwać razem.

Poszli ulicami pięknego Kijowa, pod pąsowymi koronami drzew. Przyroda przywdziewała kolorowe jesienne szaty, przygotowywała się do zimy, ale nie było smutku w jej uroczystym biegu. Nie smutek, lecz radosne oczekiwanie nowego zmartwychwstania, nowej wiosny...

Wszystko przed nami — myślał Mychajło, idąc obok Szaski. — Nic się nie skończyło, nic nie zostało stracone. Może tylko iluzje. Ale wszystko, co piękne, nie zginie. I zresztą gdzie się może zapodziać? Gdzie — z jedyne go łona bezmiarów?

Matko moja, jak możesz umrzeć, zniknąć, kiedy jesteś nieśmiertelna we mnie, w twojej miłości, która zrodziła mnie, moje dzieci, przyszłych wnuków, w wielkiej pracy, która odnawia i odnowi rodzinną planetę!... Mamo, możesz z pełnym prawem powiedzieć: „Jestem!” Tylko tobie odpowiada ta stara formuła nieśmiertelności!

Nie zaginie śpiewny mój język, który przyniósł mi w swym cudownym brzmieniu echo tysiącletnich walk i poszukiwań ukochanego narodu, którego droga wiedzie w nieśmiertelność.

Mowo moja! Czarne źródło mądrości i natchnienia, poznania i nadziei na wspianiałą przyszłość! Nie znieważyły ciebie wieloletnie wysiłki wrogów, nie zubożyły nieudolne próby nieuków. Niesiesz w swym wnętrzu niezmierne

bogactwa, skarby przeszłości i przyszłości dla całej planety, dla całej ludzkości. Twardo oświadczasz, oświadczysz: „Jestem!”

Ukraino moja, ziemio bajeczna, rozśpiewana matko nasza! Nie pokonała cię przemoc szlachecka, nie zdławiła katorga otomańska, nie deptało twej ziemi carskie więzienie, nie złamały hordy nohajskie. Pewnym krokiem wychodzisz na płomienną drogę nieśmiertelności w potężnym okręgu wolnych narodów i władczo, uroczyście mówisz: „Jestem!”

Ziemio — planeto płonąca! Palisz się na ogniskach złości, wstrząsasz ramionami, by uprzędzić swe szalone dzieci, pragniesz uwolnić się od upiora wojen i szaleństwa, by wejść w cudotwórczą melodię kosmosu kryształowym akordem miłości i ludzkości. Dźwignij się, matko ziemio, ze śmiertelnej choroby barbarzyństwa, rozkwitaj w gwiazdzistym wieńcu braterstwa powszechnego. I powiedz razem ze zbrataną ludzkością: „Jestem!”

Nadejdzie taka godzina. Nieuchronnie.

A do tego czasu — niech toczy się walka. Nie boję się niczego. Przyjmę wszystko, wszystko, co jest, co będzie. Bo wiem, dokąd idę.

Podłość i chciwość uczy mnie być człowiekiem. Wrogowie hartują moją odwagę. Niebezpieczeństwa umacniają wolę dotarcia do celu.

Idę — niezwyciężony; twórca i twór, idę z łona matki ziemi do łona matki wszechświata. I powiem jej — matce bezmiarów:

Jestem! Nie pyłek, matko, nie efemeryda, nie marność. Twój syn rodzony! Odsłoń oblicze, chcę ujrzeć ciebie w całym niewymownym pięknie. Pozwól napić się z jedynego źródła prawdy. Matko, powracam z długiej wędrówki i błędzeń. Otwórz drzwi ojczystej chaty, zapomnianej z dawien dawna. Chcę popatrzeć w twe drogie oczy, posłuchać odwiecznej bajki....

Nawet śmierć z twoich rąk będzie dla mnie pucharem Amrity — Pucharem Nieśmiertelności. Gdzie mój puchar? Matko? Słyszysz? Idę...



Polaris

Dea

63/121

* Sirrah

104/39

* Hgenih